

epea

ISSN 1733-8352

nr 2/2020 (5)

pismo literackie



„Wakacje
z wilkami” –
reportaż Zofii
Piłsiewicz

Jakub
Sosnowski
o tym, co łączy
gry wideo
i literaturę

Nasi goście:
Wojciech Kass
Krystyna Konecka
Teresa Radziejwicz
Igor Brejdygant

KSIĄŻNICA
PODLASKA
im. Łukasza Górnickiego w Białymstoku



Kiedy pisałam słowo wstępu do poprzedniego numeru, wydawało mi się, że rok 2020 obarczył nas takim ciężarem, że nie jesteśmy w stanie unieść więcej. A jednak unosimy... każdego dnia zmagając się ze strachem, brakiem poczucia bezpieczeństwa i niepewnością, wyrwani z tego, co znamy i zmuszeni do skonfrontowania się z nową rzeczywistością.

Odchodzi kolejni przedstawiciele świata kultury, a sama kultura zmienia swoje oblicze, sięgając po nowe tematy i formy. Coraz mniej doświadczamy bezpośrednio – sztuki plastyczne, spektakle teatralne i operowe konsumujemy za pośrednictwem Internetu, i chociaż słychać głosy, mówiące o tym, że dzięki temu kultura, również ta wysoka, stała się bardziej dostępna, z przeżeniem obserwuję, jak zanika sztuka najważniejsza – spotkania człowieka z człowiekiem...

Ten numer wymknął się pierwotnym założeniom, ukształtowany został w dużej mierze właśnie przez spotkania, przez rozmowy zmieniające perspektywę, uwrażliwiające na drugiego człowieka, skłaniające do myślenia o sprawach najważniejszych, granicznych... Życzę Państwu, byście się zaczytali, zamysłili, wzruszyli, oddali wspomnieniom... Życzę, byście się na chwilę zatrzymali i odnaleźli spokój, którego tak bardzo teraz potrzebujemy.

Justyna Sawczuk
redaktor naczelna



fot. Bogumiła Maleszewska-Oksztol

ESEJ

- 4 / **Waldemar Smaszcz** / W kręgu literackich przyjaźni – ks. Jan Twardowski – Jan Paweł II – Jerzy Pietrkiewicz

ROZMOWA

- 16 / **Środek**, czyli o metafizyce spotkania – rozmowa z **Wojciechem Kassem**
 21 / **Życ**, nie rozpaczając – rozmowa z **Teresą Radziejwicz**
 24 / **Sonet** to moja druga skóra – rozmowa z **Krystyną Konecką**

POEZJA

- 28 / **Krystyna Konecka** / Sonety 0 i IV z tomu „Kruchość”
 30 / **Wojciech Kass** / W MIEŚCIE W. PORANEK; W MIEŚCIE O. PULS
 32 / **Arkadiusz Aulich** / Wrózenie z chmur; Ocalony od czytania
 34 / **Stanisław Kwiatkowski** / czyste myśli; stachuriada
 35 / **Katarina Lavmel** / *** (Gdybym była twoją morelą); *** (I po co...)
 36 / **Małgorzata Dobkowska** / TERAZ TWOJA KOLEJ; SAMO – WYTRĄCANIE
 38 / **Marek Górynowicz** / Berlin; Kijów
 39 / **Wojciech Muszyński** / Pojutrze Rubikon; The End
 40 / **Piotr Janicki** / Dumna zmierzanina; Moje bieżące myśli
 41 / **Marika Aleksandra Sochoń** / Wiatr
 42 / **Patricia Meunier** / Valovie [Na Wąlowej Górze]; Witow [Witów]
 44 / **Malika Ledeman** / Mężczyzno na M., chciałabym wiedzieć; Kobieta wyciera Maryjkę z kurzu

- 46 / **Anna Czartoszewska** / To nieprawda, że
 47 / **Teresa Radziejwicz** / lekcja; wigilie
 48 / **Michał Ciruk** / Przepraszam; Mim
 49 / **Józef Zenon Budziński** / *** (Nie mam); *** (Ziemia); *** (Zmarszczki)
 50 / **Artur Jan Szczęsny** / A jeśli; Biały atrament

AKTUALNOŚCI

- 52 / V Festiwal Literacki „Autorzy i książki. Podlaskie podsumowanie” / 11. Konkurs Literacki PIK „Tutaj jestem”

RELACJA

- 53 / **Justyna Sawczuk** / Orfeusz po raz dziewiąty / **Piotr Mitzner** / LUSTRACJA; NA DZIEŃ MATKI / **Antoni Libera** o twórczości Piotra Mitznera / **Stanisław Raginiak** / Moje Crow River / **Jarosław Ławski** o twórczści Stanisława Raginiaka
 59 / Zakończył się projekt Bibliotek@ON

ROZMOWA

- 60 / W nowej formule – z **Katarzyną Sawicką-Mierzyńską** rozmawia Justyna Sawczuk

PROZA

- 62 / **Małgorzata Sochoń** / Blok
 64 / **Eligiusz Buczyński** / Egoizm twórcy

LITERATURA DLA DZIECI

- 66 / **Marzanna Kołodziej** / Wrózenie z chmur; Ocalony od czytania
 69 / **Marta Hapunik** / Nigdy nie przestawaj marzyć

ROZMOWA

- 74 / Kobiety wydają mi się ciekawsze... – rozmowa z **Igorem Brejdygantem**



REPORTAŻ

- 78 / **Martyna Bielska, Marcin Poważa** /
„Wśród nocnej ciszy płaczemy”
84 / **Zofia Piłasiewicz** / Wakacje z wilkami

ESEJ

- 89 / **Katarzyna Droga** / Kalendarze

JĘZYK

- 92 / **Regina Kantarska-Koper** /
O odmianach, składni i zdumieniu
słów kilka

KULTURA

- 96 / **Jakub Sosnowski** / Zagraj w książkę

OKIEM KSIĄŻNICY

- 98 / **Jolanta Gadek** / Nie wszystko
jest do opowiedzenia

ESEJ

- 100 / **Łukasz Zabielski** / Gloger, grantomania
i ugory wiedzy zdigitalizowanej.
Obserwacja zaangażowana

WSPOMNIENIE

- 106 / **Justyna Sawczuk** / Wiktor
107 / Tak było... – wspomnienie
rozmowy z **Krzysztofem Gedroyciem** /
O Krzysztofie Gedroyciu: **Justyna
Sawczuk, Małgorzata Dobkowska**

RECENZJA

- 110 / **Ewa Szarkowska** / Trochę rapu, trochę
Nikifora [Michał Ciruk, *Noceany i Popapranki*]
112 / **Dorota Sokolowska** / Kim jesteśmy
w czasach zarazy? [Krystyna Konec-
ka, *Kruchość. Sonetti a corona*]

- 114 / **Artur Jan Szczęsny** / Pan ś nie jest
okrutny. Jest niezawodny [Teresa
Radziejewicz, ś]

GŁOS CZYTELNIKÓW

- 116 / **Erazm Stefanowski** / Jaśniejące strofy

NASZE NOWOŚCI WYDAWNICZE

- 121 / **Maria Konopnicka** / Stefek
Burczymucha

- 121 / **Celina Zubrycka** / Lalka Lucy

- 121 / **Celina Zubrycka** / Osioł Mateusz

- 122 / **Agnieszka Suchowierska** / Miasto
ze Złotym Sercem

- 122 / **Katarina Lavmel** red. / Azulejo chabrem
ubrane [Azulejo vestido com centáureas].
Antologia poezji polskiej i portugalskiej

- 122 / **Patricia Meunier** / Na Walowej Górze

- 123 / **Artur Jan Szczęsny** / Zdroje niespokojne

- 123 / **Wojciech Kass** / Metaf. 20 wierszy
o położeniu

- 123 / **Zofia Piłasiewicz** / Ćwiczenia z pamięci

- 124 / **Irena Batura** / Borówki: reportaże z lat
odległych

- 124 / **Ewa Cywińska** / Mój Tykocin

- 125 / **Katarzyna Droga** / Doktor Irka.
Wojna, miłość i medycyna

- 125 / **Marek Kochanowski** / Miasto rebus.
Eseje o Białymstoku

- 126 / **Sebastian Markiewicz** / Było. Dwanaście
miniatur nostalgicznych

- 126 / **Jerzy Rajecki** / Klimaty Podlasia.
The atmosphere of Podlasie. Fotografia



Waldemar Smaszcz

W kręgu literackich przyjaźni

– ks. Jan Twardowski – Jan Paweł II – Jerzy Pietrkiewicz

Spośród wymienionych w tytule trzech wielkich Polaków w kraju najmniej znany jest Jerzy Pietrkiewicz (1916–2007). Pisarz i uczonek, jedyny uznany przez Watykan tłumacz dzieł poetyckich Jana Pawła II na angielski, o dorobku, którym można by obdzielić kilku innych twórców i jeszcze każdy uchodziłby za kogoś wybitnego – w polskiej literaturze niemal nie istnieje. Zaważyła na tym jego biografia. Opuścił Polskę po klęsce wrześniowej i przez Rumunię i Francję dotarł do Anglii, by ostatecznie zatrzymać się w Szkocji. Z powodu stanu zdrowia nie dostał się do wojska, więc po uzyskaniu skromnego stypendium podjął studia na najstarszym szkockim

Uniwersytecie St. Andrews. Na tym nie poprzestał, w krótkim czasie na Uniwersytecie Londyńskim – jako pierwszy Polak – obronił doktorat z poezji angielskiej, by ostatecznie sięgnąć po najwyższe godności naukowe jako profesor tej szacownej uczelni i dziekan Wydziału Literatur Słowiańskich.

Nie powrócił po wojnie do kraju, przez co uznany został za wroga „nowej” Polski i skazany na zapomnienie. Do lat osiemdziesiątych XX wieku nie ukazała się u nas żadna z jego książek ani literackich, ani naukowych, chociaż należał do nielicznego grona – jak to ujął Jerzy Starnawski we wstępie do wydanego w roku 1986 tomu studiów i rozpraw *Literatura polska w perspektywie europejskiej*¹ – „najwybitniejszych badaczy literatury polskiej przemawiających o niej z katedr obcych uniwersytetów”, dodając przy tym: „Polak z urodzenia, żyjący od lat czterdziestu pięciu poza krajem, wszedł do literatu-

ry angielskiej, ale nigdy nie zapomniał o tym, co winien jest swej Ojczyźnie”².

O Jerzym Pietrkiewiczzu wiele wiedziałem zanim jeszcze poznałem jego dokonania i jego samego. Był bowiem przyjacielem młodości ks. Jana Twardowskiego, z którym łączyła mnie, trwająca niemal ćwierć wieku, serdeczna znajomość, a potem przyjaźń. Ksiądz-poeta był zaś Jerzym zafascynowany od czasu poznania go w połowie lat trzydziestych ubiegłego wieku. Tak mówił o nim podczas jednej z naszych rozmów: „Jerzy jest dla mnie zjawiskiem i w literaturze, i w życiu. Był lubiany przez wszystkich (...). Ma w sobie coś z króla życia. (...) Zachował swoją indywidualność i odrębność. Utalentowany wszechstronnie, nie zmarnował żadnego talentu. Poeta, prozaik, eseista, tłumacz, profesor, poliglota. A przy tym uroczy człowiek”³.

Właśnie Jankowi Twardowskiemu, który jako uczeń Gimnazjum im. Tadeusza Czackiego w Warszawie redagował międzyszkolne czasopismo literackie „Kuźnia Młodych”⁴, Jerzy Pietrkiewicz zawdzięczał swój debiut poetycki⁵. A przyszły pokorny kapłan był surowym redaktorem (nie zakwalifikował do publikacji m.in. prozy gimnazjalnej

¹ J. Pietrkiewicz, *Literatura polska w perspektywie europejskiej. Studia i rozprawy*. Warszawa 1986.

² J. Starnawski, *Jerzy Pietrkiewicz – badacz literatury polskiej i porównawczej*, [w:] tamże, s. 5.

³ „Ludzie, których spotkałem”. Waldemara Smaszcz rozmowy z ks. Janem Twardowskim. Wyd. 2 rozszerz., Białystok 2001, s. 66.

⁴ „Kuźnia Młodych. Czasopismo Młodzieży Szkolnej” wydawane od grudnia 1931 do czerwca 1936 roku w Warszawie, najpierw jako miesięcznik, a od marca 1933 jako tygodnik. Redaktorami byli uczniowie warszawskich gimnazjów, m.in. późniejszy ksiądz-poeta Jan Twardowski. Przez łamy pisma przewinęło się wielu znanych później pisarzy: Erwin Axer, Kazimierz Brandys, Gustaw Herling-Grudziński, Zygmunt Kałużyński, Jan Kott, Juliusz Krzyżewski, Alfred Łaszowski, Ryszard Matuszewski, Jerzy Pietrkiewicz, Jan Twardowski, Wojciech Żukrowski.

⁵ *Święto*, „Kuźnia Młodych”, 1934, nr 15.

Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, za co po latach przeproszał wybitnego pisarza), częściej „odradzał” niż „doradzał”. W przypadku Jerzego Pietrkiewicza było zupełnie inaczej...

Poeta z Fabianek, po ukończeniu w 1935 roku Gimnazjum we Włocławku, przybył na studia do stolicy z wydanym jeszcze w „szkolnej ławie” zbiorkiem poetyckim *Wiersze o dzieciństwie*⁶. Ponadto był już laureatem konkursu poetyckiego warszawskich „Wiadomości Literackich”, co wówczas było prawdziwą nobilitacją dla początkującego autora.

Młodzi poeci zaprzyjaźnili się wręcz od pierwszego spotkania. Ks. Twardowski wspominał niekończące się wspólne włóczęgi po Warszawie, „niekiedy do białego rana”. Z Jerzym przeżyli jedno z najważniejszych wydarzeń młodości związane z... Marszałkiem Józefem Piłsudskim, tuż przed śmiercią Naczelnika Państwa Polskiego: „Pamiętam, że kiedyś podczas spaceru w Łazienkach, spotkaliśmy Marszałka Piłsudskiego, przechadzającego się w towarzystwie adiutanta. Zdjęliśmy czapki z głów i ukłoniliśmy się, Marszałek odpowiedział nam salutując. Jerzy też zapamiętał to wydarzenie, bo kiedy niedawno spotkaliśmy się u mnie, zaczął o tym opowiadać, co sfilmowała pani Barbara Folta z Wrocławia, która kręciła film o naszym spotkaniu”⁷.

I zwracając się do mnie, powiedział z uśmiechem: „Rozmawiasz z człowiekiem, przed którym Marszałek salutował...”

„Jerzy – zdaniem księdza-poety – miał tak własne, odmienne gusta literackie, że już to samo było niezwykle. W czasie dominacji w polskiej poezji skamandrytów, on zupełnie odrzucał ten model wiersza. Wydawał mu się zbyt kataryniarski, nadmiernie ułatwiony.

„studia w izolacji (...) dokonały
czegoś więcej
niż rozszerzenie horyzontów
literackich i życiowych.
Przemieniły
one początkującego,
obiecującego polskiego
poetę, któremu łatwo mógł
był grozić prowincjonalizm,
w dojrzałego
pisarza europejskiego”

Raziła go też mieszczańskość tej poezji, przejawiająca się zarówno w tematyce ich twórczości, jak i adresatach, do których kierowali swoje utwory. On zaś ostentacyjnie wręcz podkreślał swoje zainteresowanie przyrodą, wiejskością, prowincją. (...) Był niezachwiany w poglądach na sztukę, z ogromnym przekonaniem mówił zarówno o swoich sympatiach, jak i niechęciach. (...) Jako jeden z nielicznych od początku był entuzjastą prozy Witolda Gombrowicza,

bardzo wysoko cenił *Ferdydurkę*. Łatwo nawiązywał kontakty z wybitnymi pisarzami starszego pokolenia, między innymi zbliżył się z Waławem Berentem”⁸.

Przyjaciele przez pięć lat niemal się nie rozstawali. Rozdzieliła ich dopiero wojna. Jerzy – co już zostało tu wspomniane – podobnie jak wielu innych, wyruszył na południe Europy, by dostać się na Zachód do tworzącej się polskiej armii. Pozostający w Warszawie Janek Twardowski nie miał o nim żadnych wiadomości. Po pewnym czasie dowiedział się, że Jerzy nie żyje, co potwierdził nekrolog w jednej z gazet. Dopiero po wojnie młodemu kapłanowi, przebywającemu na swojej pierwszej parafii w Żbikowie, zamieszkały nieopodal znany pisarz Władysław Jan Grabski przekazał wiadomość, że Jerzy Pietrkiewicz żyje, a nawet uzyskał tytuł doktora na Uniwersytecie Londyńskim.

Powróćmy raz jeszcze do wspomnień księdza-poety:

„Po kilku latach, było to już po roku 1956, niespodziewanie odezwał się Jerzy. Był w Polsce. Spotkaliśmy się i to było naprawdę niezwykle. Ta nasza przyjaźń stała się jeszcze bardziej żywa, czas i odległość wcale jej nie zaszkodziły.

Byłem zdumiony. Jerzy Pietrkiewicz, którego znałem jako poetę, teraz okazał się profesorem akademickim, dziekanem slawistyki w *School of Slavonic and East European Studies* w Londynie, a także autorem kilku powieści napisanych po angielsku. Wszystko to było dla mnie ogromnym zaskoczeniem”⁹.

⁶ J. Pietrkiewicz, *Wiersze o dzieciństwie*, 1935.

⁷ „Ludzie, których spotkałem” ..., dz. cyt., s. 64.

⁸ Tamże, s. 63-64.

⁹ Tamże, s. 64-65.

Z tych wypowiedzi ks. Twardowskiego najważniejsze wydają się uwagi o odrębności przyjaciela, jego na wskroś własnym stosunku do literatury; dodajmy, że nie tylko literatury. Stefania Kossowska (1909–2003), wielka dama naszego życia literackiego czasu wojennej i powojennej emigracji, ostatnia redaktorka legendarnych londyńskich „Wiadomości”, z którą poetę-profesora łączyła serdeczna przyjaźń, tak go charakteryzowała:

„W czasie wojny Pietrkiewicz znalazł się w Anglii. Trochę pisał do polskich pism, widywało go się w małym wtedy «polskim» Londynie. I nagle zniknął. Nieobecność kogoś nie zwracała wtedy uwagi – żołnierze zjawiali się w Londynie na urlop i znowu ich nie było. Ale Jerzy nie był w wojsku, nie dostał się do niego z powodu zdrowia. Dopiero później wyszło na jaw, że kilka lat spędził w Szkocji na uniwersytecie w St. Andrews. Gdy wrócił do Londynu, by zrobić doktorat z literatury angielskiej na Uniwersytecie Londyńskim – pozostał nadal niewidoczny. Nie była to fizyczna nieobecność, lecz całkowicie wyłączenie się z polskiego środowiska – o co wielu (...) miało mu nieraz za złe. [podkr. – W.S.]

Dopiero później przyszło zrozumienie, że była to mądra i przewidująca gospodarka swoimi siłami. Gdyby był brał udział w codziennym polskim życiu, wciągany w sprawy nie zawsze ważne, w pisanie artykułów, w przekomarzenie się polityczne i literackie, i rozpraszał

na nie swój czas i zdolności, nie byłby w stanie zrobić tego, co zrobił”¹⁰.

Jeszcze ciekawsze wydają się próby autorki wniknięcia w głębsze motywacje obranej przez poetę postawy:

„Przy całym uznaniu i podziwieniu dla osiągnięć literackich i naukowych Pietrkiewicza może najbardziej mi imponuje jego ówczesna decyzja. Miał już dwadzieścia cztery czy dwadzieścia pięć lat, a więc był w wieku, gdy kończy się studia uniwersyteckie, miał za sobą kilka tomików poezji – trzy wydane przed wojną w Polsce, czwarty w roku 1940 i powieść *Po chłopsku*, która ukazała się w roku 1941, zaczynał sobie wyrabiać literackie nazwisko – i zostawił to wszystko, by zacząć od początku, od nauki języka, od położenia solidnych podstaw pod swoją twórczość. [podkr. – W.S.] Podziwiam to zarówno jako jego osobiste osiągnięcie, ale także bardziej ogólnie – jako zerwanie ze złą polską tradycją literackiego dyletancstwa. (...) Pisarze polscy niestety bardzo często poprzestają na swoich wrodzonych zdolnościach i pierwszych sukcesach i idą ustaloną rutyną i wyrobionym nazwiskiem, bez ambicji, by poprawiać młodzieńcze błędy, by się zmieniać, doskonalić. (...)

Te studia w izolacji (...) dokonały czegoś więcej niż rozszerzenie horyzontów literackich i życiowych. Przemieniły one początkującego, obiecującego polskiego poetę, któremu łatwo mógł być grozić prowincjonalizm, w dojrzałego pisarza europejskiego”¹¹.

Stefania Kossowska była – jak już zostało tu wspomniane – zarówno wytrawnym redaktorem, jak i niezwykle czynnym uczestnikiem emigracyjnego życia literackiego. Znała całe środowisko pisarskie, z wieloma twórcami przyjaźniła się, stąd jej teksty, wydane w tomach *Jak cię widzę, tak cię piszę*, w *Galerii przodków* czy *Przyjaciele i znajomi*, są prawdziwą kopalnią wiedzy o naszej literaturze emigracyjnej. Wyraźnie zafascynowana Pietrkiewiczem, okazała się niezwykle przenikliwa w ujęciu jego osobowości, o czym świadczył już sam tytuł szkicu o pisarzu i uczonym: *Magiczna sztuka znikania*, który tak rozpoczęła:

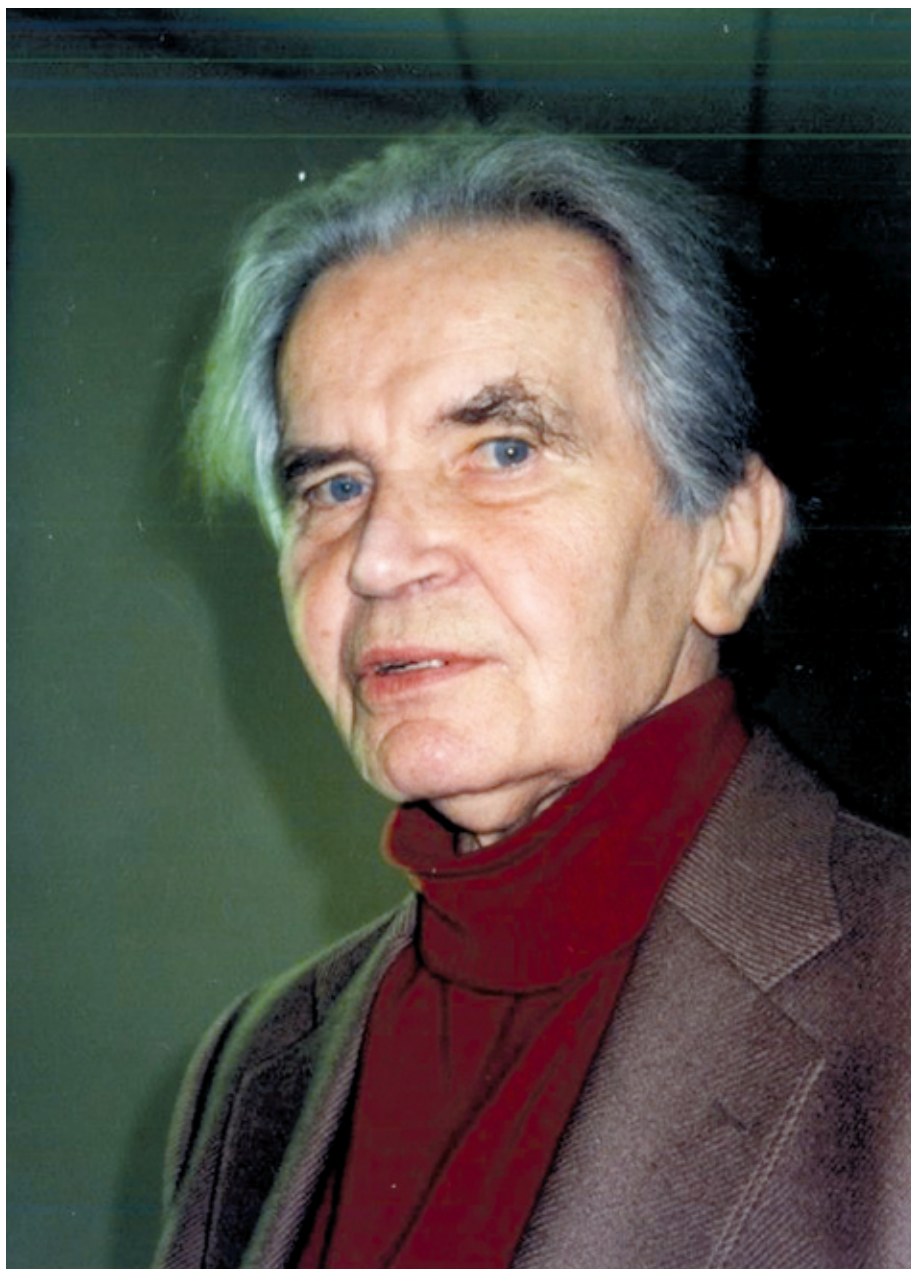
„By mówić o Jerzym Pietrkiewicz, trzeba mówić nie o jednej, lecz o kilku osobach. Od której zacząć? Polski poeta – angielski powieściopisarz – znakomity tłumacz – uczony znawca języka i literatury – profesor uniwersytetu – wychowawca polonistów – tajemniczy odludek?”¹²

W tym miejscu chciałbym skupić się przede wszystkim na twórczości przekładowej poety-profesora. I od razu prawdziwe zdumienie. Młody uchodźca przybywszy na Wyspy Brytyjskie w roku 1940 nie znał w ogóle angielskiego. W Polsce ciągle jeszcze żywa była wówczas tradycja nauki języka francuskiego. Nawet jeżeli młody człowiek nie wynosił francuszczyzny z domu, to gimnazjum opuszczał już z biegłą znajomością tego języka. Chcąc studiować w Szkocji, Pietrkiewicz musiał zaś opłacać angielski. Równie godna podkreślenia jest determinacja niedosłego żołnierza, by w warunkach wojny, pośród narastających zwycięstw wojsk hitlerowskich, podjąć naukę w obcym kraju, w oderwaniu od polskich skupisk.

¹⁰ S. Kossowska, *Magiczna sztuka znikania*, [w:] S. Kossowska, *Galeria przodków*. Warszawa 1991, s. 90.

¹¹ Tamże, s. 90-91.

¹² Tamże, s. 89.



Jerzy Pietrkiewicz

fot. Jadwiga Marlewska (zdjęcie z prywatnego archiwum Waldemara Smaszczka)

nymi z międzywojennej Warszawy, przeciwko któremu występował od początku swojej obecności w literaturze.

Zajęty nauką i zdobywaniem kolejnych stopni naukowych chyba jednak nie do końca orientował się w przemianach, jakie dokonały się w kręgu literackiej emigracji. Przede wszystkim doszło do ostatecznego rozłamu wśród poetów dawnego Skamandra: Julian Tuwim i Antoni Słonimski jednoznacznie opowiedzieli się po stronie „nowej” Polski. Na emigracji pozostali zaś Kazimierz Wierzyński, Jan Lechoń, Stanisław Baliński, Maria Pawlikowska-Jasnorzewska (która jednak zmarła zaledwie w dwa miesiące po wojnie). Zdrada aliantów i cofnięcie przez nich uznania dla legalnego rządu polskiego na uchodźstwie sprawiły, że liberalne „Wiadomości Literackie” z okresu warszawskiego utraciły swoje sympatie – powiedzmy delikatnie – „postępowe”, a nawet nie stroniły od współpracy ze środowiskami pravicowymi, z którymi Pietrkiewicz był przed wojną związany.

Chłopski syn z Fabianek po powrocie ze Szkocji do Londynu i obronie doktoratu nie szukał więc możliwości realizacji swoich dążeń w środowisku polskiego uchodźstwa. Zajmując się naukowo literaturą polską i angielską, obejmującą zasięgiem niemalą część świata, widział przed sobą wielką panoramę – jak to ujął w tytule wspomnianego tu zbioru najważniejszych prac badawczych – *Literatury polskiej w perspektywie europejskiej*. To w znacznej mierze określiło odtąd jego związki z literaturą ojczystą. Przymusowa emigracja sprawiała, że twórczość naszych pisarzy poza krajem

Pietrkiewicz zaś – co było bodaj najważniejszą cechą jego charakteru – potraktował sytuację, w jakiej nieoczekiwanie się znalazł, nie jako dolegliwość losu, lecz szansę. Przez lata anglojęzycznych studiów kontynuował – także z konieczności zarobkowych – swoją

dotychczasową twórczość, ale wraz z zagłębianiem się w literaturze i – szerzej – w humanistyce angielskiej, w tym widział przed sobą znacznie szersze perspektywy. W „polskim Londynie” dominowało środowisko skamandryckie z „Wiadomościami”, niejako przeniesio-

z jednej strony stała się niedostępna nad Wisłą, z drugiej zaś, nie podlegając totalitarnej cenzurze, ludzie pióra mogli służyć wolnemu słowu. Sytuacja Jerzego Pietrkiewicza i w tym aspekcie była inna. Pracując na uniwersytecie mógł szerzyć wśród studentów własne widzenie zagadnień nie tylko przecież literackich, jak i prowadzić badania w owej „europejskiej perspektywie”.

Znakomicie obrazuje to choćby bardzo wczesna, bo z 1948 roku rozprawa *Kolęda kontrastów*, poświęcona arcydziełu Franciszka Karpińskiego *Bóg się rodzi*. Jej pierwsza strofa, oparta w całości na niebywałych paradoksach, wciąż przykuwa uwagę badaczy. Młody polski uczonej już ponad siedemdziesiąt lat temu ukazał ją – użyjmy raz jeszcze tego słowa – w perspektywie przyprowadzającej o zawrót głowy:

„Franciszek Karpiński – pisał – może zaniepokoić swoją osobliwą kolędą tych, którzy by chcieli widzieć w nim tylko poetę lirycznej prostoty, autora melancholijnego *Powrotu z Warszawy na wieś*. Gdyby styl Karpińskiego był jednolity, można by podejrzewać w pieśni *O Narodzeniu Pańskim* wpływ lektury, źródło o mocniejszym nasileniu niż uczuciowość autora; ale podobne efekty stylistyczne znajdujemy i w innych utworach poety, choć są one niezauważalne. (...)

Barokowe właściwości stylistyczne nosi wiersz *Do mojej przyszłej*:

*Nie chcę cię młodym ozdobionej
wiekiem,
Ani przyprawnych jagód róży
z mlekiem:*

*Zima nadchodzi, minąłem się z latem,
Na cóż na mrozy narażać się
z kwiatem?*

Zwrot: «Zima nadchodzi, minąłem się z latem» (...) przypomina przedśmiertną elegię Tichborne’a (ścięty w 1586 r.), opartą na kontrastach.

Na grze przeciwstawień budowali wiersze poeci szesnastego wieku (jak Spenser w sonecie *Słodka róża, ale na cierniach wyrasta*) wszyscy ci różnojęzyczni petrarkiści, potem – w pełni baroku – używali metaforycznych kontrastów uczniowie Hiszpana Góngory, Anglika Donne’a i Włocha Marina, zderzają się idee w epigramatach Friedricha von Logau, w ascetycznych wierszach Gryphiusa, w emblematkach Zbigniewa Morsztyna, («Przykowanym do ziemi, a lotnemi pióry / Pragnie duch mój związany wylecieć do góry»), w rymach duchownych imitatora Włochów, Sebastiana Grabowieckiego, w makabrycznych conceptach Bartłomieja Zimorowica. (...)

W poszukiwaniu kolędowych kontrastów udajmy się (także dla kontrastu) do literatury angielskiej i hiszpańskiej. (...) interesuje nas szczególnie trop, który wiedzie krętymi drogami aż do *Pieśni nabożnych* Franciszka Karpińskiego, wydanych w Supraślu w 1792 roku, do kontrastów spiętrzonych w pierwszej zwrotce najślawniejszej polskiej kolędy. Nagle wśród zamazanych liter hiszpańskiego druku z 1673 roku znajdujemy *villancico*, zaczynające się od typowych zresztą słów: «Zagalejos, pues no esta-

mos lejos» («Pastuszkowie, przecież już nie jesteśmy daleko»). (...) kontrasty [w kolejnych frazach – W.S.] obracają się w pojęciach:

*Pasterz Boski – człowiek;
znany – ukryty;
monarchowie – bydłota.*

Dalej hiszpański poeta kolędowy przeciwstawia cechy Chrystusa, który przychodzi bogaty, a jest biedny, jest poza czasem i w czasie, sprawia radość, a sam płacze. W konkluzji znajdujemy zestawienie tronu z szopą i słowa: «Iżemnie kochasz, obrażam Cię tedy»¹³.

I – jak przystało na „dojrzałego pisarza europejskiego” – sformułował wniosek godny tego miana:

„Poprzez kolędę Karpińskiego – jak przez okno barokowe – spojrzeliśmy na Europę i zobaczyliśmy w perspektywie zamazane ślady ludzkiej wyobraźni.

Ustawiona w kontekście cywilizacyjnym kolęda polska zyskuje na znaczeniu. Nad nią wisi wyobraźnia poetycka rozpięta jak niebo: tylko tam ogień krzepnie, a blask ciemnieje”¹⁴.

Cytat ten ukazuje metodę pracy Jerzego Pietrkiewicza nad przekładami poetyckimi. Najpierw były to zawsze rzetelne studia historycznoliterackie i filologiczne, dające gruntowne rozpoznanie badawcze, a dopiero potem tłumacz wkraczał na niezmierzone wręcz pole językowe.

Pamiętam z jakim poruszeniem ks. Twardowski mówił o talencie translatorskim przyjaciela, który potrafił tłumaczyć ze staroangielskiego na staropolski, co ujawniało już najwcześniejsze jego dzieło, *Antologia liryki angielskiej 1300–1950*¹⁵, przygotowana w ramach pracy doktorskiej. W *Przedmowie do pierwszego wydania* czytamy:

¹³ J. Pietrkiewicz, *Kolęda kontrastów*, [w:] J. Pietrkiewicz, *Dla pokrzepienia mózgow. Szkice literackie z lat 1940–1948. Nowoczesność w tradycji. Essay o poezji. Trust the trees*. 2002, s. 42–45.

¹⁴ Tamże, s. 45.

¹⁵ J. Pietrkiewicz, *Antologia liryki angielskiej 1300–1950*. Wydanie dwujęzyczne. Wyd. II. Warszawa 1997.

„Ukończyłem tę antologię przeszło dziesięć lat temu. Stanowiła ona część pracy doktorskiej, w której spróbowałem zestawić formy liryki angielskiej i polskiej. Przekłady poniekąd ilustrowały metodę, gdyż praca tłumacza zaczyna się od krytycznego «odczytania» tekstu, a więc od analizy, a kończy na zestawieniu odpowiedników językowych w ostatecznej wersji, a więc na syntezie. (...)

W Polsce liryka angielska jest na ogół nieznaną, a to, co było już tłumaczone, niekoniecznie dobrze wyraża jej ducha. Przekład, który odsuwa czytelnika od oryginału, nie spełnia swego zadania; przekład, który zaciekawia, często potrafi nakłonić do zapoznania się z oryginałem. Tutaj ułatwiono ten bezpośredni kontakt przez druk oryginałów obok tłumaczeń. Jeśli tłumaczenia zawiodą, pozostaną przecież teksty angielskie; wybór i układ też mają swoją wymowę.

Obok utworów typowych, znanych z wielu przedruków (...), wybrałem wiersze ilustrujące formy i okresy liryki angielskiej od anonimowej poezji średniowiecznej do chwili obecnej¹⁶.

Właśnie te najstarsze, anonimowe wiersze, które w przekładzie Jerzego Pietrkiewicza zachowały urok staropolszczyzny, w połączeniu z łaciną, tak zafascynowały ks. Twardowskiego, że przytaczał je z pamięci:

*Której uroda wielmi krasna
velut maris stella,
Nad światłość dnia wždy barziej jasna,
parens et puella,
Słysz, Pani, wołam Cię w potrzebie,
Za mnie się módl do Syna w niebie,
tam pia,
Iżbym mógł zbożnie przyjść do Ciebie,
maria.*

*Pociechą jesteś na frasunek,
felix fecundata;
W znoju wždy ulży twój ratunek,
mater honorata.
Proś słodko, iżby Syn jedyny
Krwiał wszystkie nasze obmył winy
in cruce,
Iżbyśmy mogli przyjść do Niego
in luce.*

*Bo cały świat ten w nędzy brodził
eva peccatrice,
Nim Pan nasz Zbawca się narodził
de te genitrice,
Z ave porzucił ziemskie kraje,
Noc ciemna blednie, dzień już wstaje
salutis,
I źródło jasne tryska z głębi
virtutis.¹⁷*

W cytowanym fragmencie *Przedmowy* bardzo istotne jest porównanie sztuki translatorskiej do krytyki literackiej: „praca tłumacza – powtórzmy – zaczyna się od krytycznego «odczytania» tekstu, a więc od analizy”. To, oczywiście, dopiero początek, ostateczny efekt wszakże jest funkcją wiedzy krytycznoliterackiej i talentu poetyckiego tłumacza. Gdy zaś talent dorównuje trafnemu „odczytaniu” oryginału, nie ma wówczas niezadkiego przecież rozdarcia: przekład wierny czy piękny, a wierny i piękny to przekład kongenialny. Takie były przekłady Jerzego Pietrkiewicza. Powracaliśmy więc z ks. Twardowskim zwłaszcza do tych najstarszych wierszy angielskich, które brzmiały po polsku jakby – użyjmy tego słowa – wykołysał je nasz język, może sprzed wieków, ale zadziwiająco nam bliski:

¹⁶ Tamże, s. 7.

¹⁷ Tamże, s. 15.

¹⁸ Tamże, s. 19.

*Żywotem ziemskim
Wiatr włada marnie:
Płacz i ciemności
Oraz męczarnie.
Z wiatrem kwitniemy,
Z wiatrem spadamy,
Z płaczem idziemy,
Z płaczem znikamy.
W męce się kończym,
W męce się rodzim,
Z trwożą żyjemy,
Z trwożą odchodzim.¹⁸*

Czytając te znakomite przekłady nie mamy wątpliwości, że w sztuce translatorskiej Jerzy Pietrkiewicz odnalazł swoje wielkie powołanie, wyrosłe z jego niezwykle sumiennych studiów filologicznych. Bo wszystko to wymagało – mówiąc obrazowo – zanurzenia się w kulturze angielskiej, nie tylko w warstwie semantycznej tłumaczonej poezji, lecz w różnorodnych subtelnościach mowy Szekspira na przestrzeni stuleci.

Po kolejnych trzech latach studiów na Uniwersytecie Londyńskim Jerzy Pietrkiewicz – powtórzmy – został doktorem nauk humanistycznych i podjął – przez kolejne trzy lata – pracę jako lektor języka polskiego w *Scholl of Slavonic and East European Studies*, by od 1950 roku zostać profesorem stołecznej uczelni.

Dzięki znajomości wielu języków zagłębiał się coraz bardziej w literaturze europejskiej. Po francuskim, angielskim

i niemieckim, skupił się na hiszpańskim. Jego wielką fascynacją stał się Federico Garcia Lorca; poznał przyjaciół poety – Gregoria Prieto i Louisa Cernudę. Mógł też czytać *Dzieła* wielkiego mistyka hiszpańskiego św. Jana od Krzyża w oryginale, co okazało się niezwykle ważne podczas pracy nad przekładami poezji Karola Wojtyły – Jana Pawła II. Kiedy zaś pozwoliła mu na to sytuacja materialna, nabył niewielką posiadłość w Andaluzji. Spędzał tam wiele czasu, zwłaszcza w późniejszych latach, dzięki czemu mam swoją kolekcję kartek, w tym dla mnie najcenniejszą, przyslaną po lekturze mojej książki *Słowo poetyckie Karola Wojtyły*.

Sama aura tej korespondencji była niezwykła, chociaż nie ukrywam, że nie było łatwo zdobyć miejsce w – mówiąc nieco żartobliwie – ściśle „limitowanym” gronie adresatów kolorowych, gęsto zapisanych po jednej stronie kartek...

„Drogi Panie,

patrzę na zatokę i na moje krzewy aloesu, piszę o zachodzie słońca z Andaluzji, ale to co napiszę, wyślę z Londynu, bo poczta do Polski idzie stąd b. wolno.

Dzięki za Pańskie studium o poezji Karola Wojtyły¹⁸, według mnie, dobrze ujęte, zawsze na temat, bez dłużyzny powtórzeń. Polski Czytelnik takiej książki potrzebuje, bo język i myśl Papieża *in statu nascendi* odstrasza leniwych, nawet pobożnych. To, co wydaje się odporne w Jego słowach, właśnie chroni oryginalność wywodu i ton Jemu właściwy.



Pocztówka z Hiszpanii (prywatne archiwum Waldemara Smaszcz)

Przekład musi to uwzględniać w każdej frazie – przedzierać się przez semantykę dwu języków, nie dać się skusić na ułatwienia i tradycyjne piękności.

Wyczytałem ostatnio w posłowie pewnego krytyka, że już sporo, nawet dużo, języków ma przekłady papieskiej poezji. Ale nie przyszło mu do głowy, że większość ich używała angielskiej wersji tekstów.

Cieszę się, że Pan przytoczył moje słowa o cyklu *Samarytanka*; jest tak wieloznaczeniowy, że do pomocy przywołuje modlitwę. *Rozważania ponowne* jakże niełatwe do utrzymania tonu monologu.

A w tym studziennym odbiciu *I* oraz *Eye*¹⁹, jednakowo wymawiane

pozwalają na piękny zestaw znaczeń w angielskim²⁰.

W zakończeniu listu autor kieruje do mnie kilka najzupełniej już prywatnych zdań w szczególnej tonacji, podobnie jak czynił to w kolejnych listach. Chociaż w przypadku pana Jerzego podobne sformułowania nadawały korespondencji niepowtarzalny urok, by przywołać życzenia na Boże Narodzenie owego niezwykłego roku 1999:

„Wesołych Świąt dla Waldemarowej rodziny i milenijnej przygody na wiele lat!

Życzę, bo pamiętam o Panu, i dobrze byłoby spotkać się w stolicy, lub w jakimś zakątku Ziemi Dobrzyńskiej.

Sursum Corda!

Jerzy Pietrkiewicz²¹

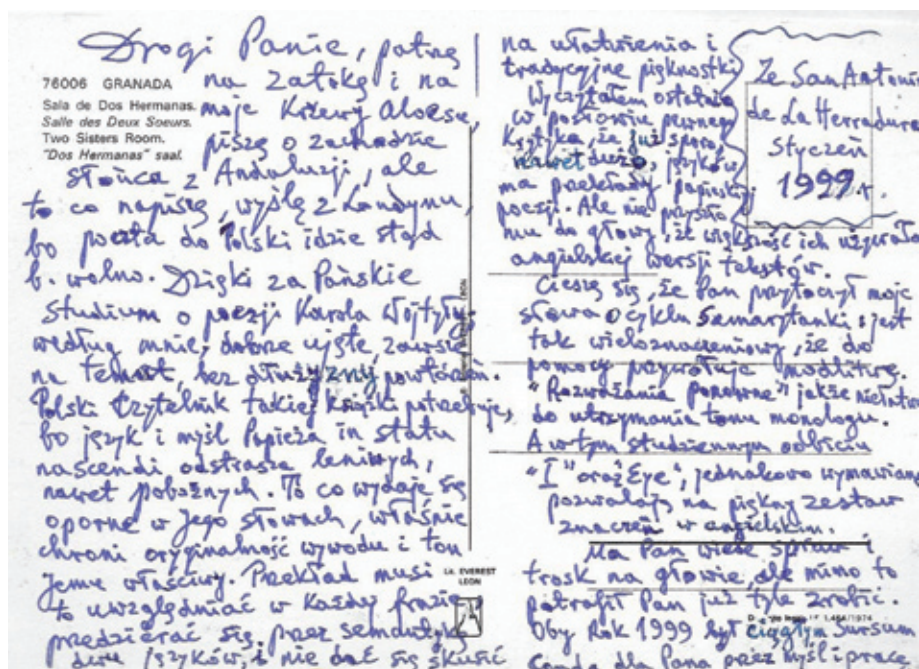
Osobisty kontakt nawiązaliśmy w 1994 roku, kiedy pojawił się w Warszawie, by odebrać przyznaną mu w roku 1993 Nagrodę im. Włodzimierza Pietrzaka, najważniejsze wyróżnienie

¹⁸ W. Smaszcz, *Słowo poetyckie Karola Wojtyły*. Warszawa 1998.

¹⁹ Autor tak skrótowo określa dwie pierwsze części cyklu *Pieśń o blasku wody*: 1. *Nad studnią w Sychem* oraz 2. *Gdy otworzysz oczy w głębi fali*.

²⁰ Por. reprodukcję listu.

²¹ Por. reprodukcję listu.



Pocztówka z Hiszpanii (prywatne archiwum Waldemara Smaszcza)

Stowarzyszenia Civitas Christiana. Przygotowałem wówczas rozmowę z ks. Janem Twardowskim o Laureacie, szkic o nim, a także z księdzem-poetą niewielki wybór jego poezji zatytułowany *Wiersze dobrzyńskie*. Wszystko to sprawiło, że od początku zostałem potraktowany jak dobry znajomy.

Obecni na uroczystości przedstawiciele Ziemi Dobrzyńskiej, ukochanej domowej ojczyzny Dostojnego Gościa, zaprosili mnie do Rypina z prelekcjami – jak to ujęli z wielkim szacunkiem – o „Panu Profesorze”. Przyznam, że ta formuła nieco mnie zaskoczyła. W rozmowach z ks. Twardowskim słyszałem wciąż o „Jerzym-poecie”, poznałem wiele anegdot z ich wspólnej młodości, a także z późniejszych już lat Przyjaciela Księdza, nawet te nie do końca dyskretne, co – przyznam – sprawiło, że mając świadomość jego wyjątkowej pozycji, jednocześnie uważałem go za kogoś bliskiego.

W czasie pobytu w Rypinie okazało się, że w miejscowym środowisku osób zainteresowanych literaturą i rozmilowanych w „domowej ojczyźnie” regionalistów już wcześniej zrodziła się inicjatywa uhonorowania wielkiego Syna Ziemi Dobrzyńskiej szczególną nagrodą, która ostatecznie przyjęła nazwę Nagrody im. ks. Czesława Lissowskiego Ośrodka Kultury Ziemi Dobrzyńskiej przy Oddziale Miejskim Civitas Christiana w Rypinie. Miał nią być piękny witraż z Matką Boską ze Skępego, której Jerzy Pietrkiewicz od dzieciństwa był wielkim czcicielem. Już w Londynie napisał *Modlitwę do Matki Boskiej Skępskiej na dzień 8 września*, która wyryta na kamiennej tablicy została umieszczona w murze okalającym skępski klasztor; dodajmy, że muzykę do niej skomponował nasz wielki kompozytor, Andrzej Panufnik, z którym poeta przyjaźnił się w Londynie:

*Z jeziora na jezioro, z kępy na kępę
pogańskie Skępe.*

*Aleś ochrzciła je uśmiechem
Panno, pochylona nad grzechem.*

*Na obraz i podobieństwo
czekającego dziewczęcia
wywiodło Cię doczesne dłuto,
izby nawet z drewnianego poczucia
wióry cudu padły w pokutę.*

*Aniele, stróżu mój –
którego nie znam z twarzy ni z imienia,
Ty zawsze przy mnie stój
na urwistą odległość sumienia.*

Podczas uroczystego obiadu zwrócono się do mnie o przewodniczenie Kapitulie. Zdziwiłem się po raz kolejny, bo (poza tym, że z Rypina pochodził mój przyjaciel z akademika, kiedy studiowałem na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu) nie miałem żadnych związków z historyczną Ziemią Dobrzyńską. Kiedy jednak usłyszałem, że „Pan Profesor” tak miło o panu mówił, nie miałem argumentów, by nie przyjąć owej zaszczytnej propozycji. A dowiedziawszy się, że uroczystość wręczenia nagrody odbędzie się w Ośrodku Kultury im. Fryderyka Chopina w Szafarni, czułem się naprawdę wyróżniony. Wydałem wcześniej książkę *Życie Chopina* Kazimierza Wierzyńskiego, w której rozdział o wakacyjnych pobytach młodego Fryderyka w Szafarni należał do najpiękniejszych, a nigdy wcześniej tam nie byłem.

Same uroczystości przerosły moje najsmielsze wyobrażenia. Jerzy Pietrkiewicz w mowie Laureata okazał się wręcz zjawiskowy. Swoim wystąpieniem w sensie jak najbardziej dosłownym zawładnął salą. Dobrze, że zadbano o utrwalenie jego wypowiedzi:

„Proszę Państwa, jeżeli patrzymy na to miejsce, na Szafarnię, trzeba wiedzieć, że wślawiło się Chopinem. (...) Oto patrzę przez okno na wodę w stawie i wiem, że ten młody chłopak – lat 14, lat 15 – biegał tutaj, że grał na dożynkach. Nie orientuję się, czy obecnie używacie jeszcze wyrazu «okrężne». Tak nazywano dożynki za moich młodych czasów. Chopin słusznie mówi w swoim długim liście, że to było «okrężne» – i on słuchał, «chudy kieby pies» warszawiak, jak śpiewano o nim przed dworem tu właśnie. I ten warszawiak – bo tak go ci ze wsi nazywali – biegał po polach tutaj. (...)

Ziemia Dobrzyńska, jej wieś, była dla niego bezcenna. Dlatego, że był tu, mając 14 i 15 lat. Moja teza – odnosząca się w ogóle do twórczości – jest taka, że artysta, który czerpie z wrażeń w dzieciństwie, właśnie ten artysta, tworzy formę przetwarzającą zastane formy, które tak, jak przeżycia, nakładają się jedna na drugą. Chopin słyszał przeróżne tony muzyczne jak był dzieckiem, tam, gdzie się urodził, w Żelazowej Woli; słyszał je w Warszawie. Ale w Ziemi Dobrzyńskiej był już w bardzo formatywnym dla twórczości okresie. (...) I «przedostała» się do twórczości genialnego artysty, a Chopin musiał się stać genialnym artystą, żeby uzyskać własny głos. Ktokolwiek usłyszysz, gdy padnie jego ton – wie, że to Chopin; nie ma pomyłki. Ktokolwiek usłyszysz Mozarta – nie ma pomyłki, że to jego głos.

Jak taki głos powstaje? Przecież Chopin miał otoczenie niebywale dla siebie przyjazne, ale potrzebował słów, kontrastów. I w tej ziemi, jak mówi, był na

Pietrkiewicz (...) potraktował
 sytuację, w jakiej
 nieoczekiwanie się znalazł,
 nie jako dolegliwość losu,
 lecz szansę. Przez lata
 anglojęzycznych studiów
 kontynuował – także
 z konieczności zarobkowych –
 swoją dotychczasową twórczość, ale wraz z zagłębianiem się
 w literaturze i – szerzej –
 w humanistyce angielskiej,
 w tym widział przed sobą
 znacznie szersze perspektywy.

«okrężnem», to znaczy na dożynkach; gdy śpiewano mu o chudym warszawiaku, to mu wtedy rzępolono na trzech strunach. To rzępolenie było ważne. (...) Nie wygładzanie. On brał kontrasty, on rozumiał, jaka w nich siła. (...)

I to pochodzi z soków ziemi. Literatura twórcza czy muzyka nakładają przeżycie jedno na drugie. Co widział

Mickiewicz przed napisaniem *Pana Tadeusza* – jaką wieś widział? Widział wieś litewską? Nie! Widział wielkopolską. Ile jest elementów w *Panu Tadeuszu*, gdzie są nałożone obrazy wielkopolskie na pamięć dzieciństwa? Nie upraszczajmy wyobraźni artysty. To jest tajemnica. Tajemnica Ducha Świętego. (...) ten proces nakładania dlatego ogromnie jest ważny, że tylko dzięki niemu zrozumiemy, co wyniósł ze wsi Chopin. Z tej tu ziemi. W wieku dla artysty niebywale ważnym. (...) Sztuka powstaje z tych przeżyć głębokich dziecka, które potem ożywają w procesie przetwarzania się tożsamości, kiedy artysta szuka formy i znajduje tę formę²².

Miałem sposobność kilkakrotnie słuchać wystąpień Jerzego Pietrkiewicza, jednak to w Szafarni było niezrównane, wyjątkowe, jakby działał szczególny, chopinowski *genius loci*...

Poeta osobny *passus* poświęcił też najważniejszemu wydarzeniu dla wszystkich Polaków – wyborowi kardynała Karola Wojtyły na Stolicę Piotrową, ponieważ zaważyło ono i na jego dalszej drodze twórczej:

„W 1978 roku spadł piorun z jasnego nieba, mianowicie Polak stał się papieżem. (...) Zaszczyc mnie spotkał – może wyrok losu, że stałem się tłumaczem Jego poezji na język angielski, łacinę naszego wieku, że On mnie wybrał i zatwierdził. W kraju padają niektóre głosy bardzo naiwne co do poezji papieża. Nie wszyscy wiedzą o tym, że poza granicami Polski są także ludzie, którzy studiują biografię papieża, którzy chcą zbadać, w jaki sposób ten człowiek doszedł z małego miasteczka, poprzez Kraków, do stolicy papieskiej. Czytają Jego wiersze²³.”

Postanowiłem bliżej zainteresować się tą stroną twórczości Jerzego Pietrkiewicza...

²² W. Smaszcz, *Ksiądz Jan w Płocku*. Płock, 2000, s. 23.

²³ W. Smaszcz, *Niezwykły autor. „Civitas Christiana”* 2020, nr 1, s. 39

Poezja Papieża sama w sobie była dla badacza literatury, a przy tym człowieka głęboko wierzącego, zjawiskiem niezwykłym. Pracując nad *Antologią liryki angielskiej (1300–1950)* zadbał o wyraźne zaznaczenie poezji religijnej na przestrzeni wieków. Posługując się metodą analizy porównawczej, zestawił poezję angielską z polską, zaznaczając:

„Pierwsze poezje w języku polskim mają charakter liryczny, nasilony przez tematykę religijną zaczerpniętą ze źródeł wspólnych średniowiecznej Europy: pieśni o krzyżu, żale Matki Boskiej, a później kolędy”²⁴.

Takie liryki otwierają jego antologię. Znalazły się w niej między innymi: *Hymn do Boga, mego Boga, w czasie choroby* Johna Donna, *Na rany ukrzyżowanego Pana naszego* Richarda Crashawa, *Ave Maria...* George’a Gordona Byrona, *Święty w głębinach i na wysokościach* Johna Henry’ego Newmana, *Ballada do Matki Boskiej Częstochowskiej* Hilairego Bellocka czy uroczą *Kołysanka* Williama Butlera Yeatsa.

Po wyborze kardynała Karola Wojtyły na Stolicę Piotrową okazało się, że Jerzy Pietrkiewicz znalazł jego drukowane poezje, chociaż jak wiadomo – były publikowane pod kilkoma pseudonimami. Oto bowiem już 23 października 1978 roku – a więc zaledwie tydzień po pamiętnym *Habemus Papam!* – wysłał list do Ojca Świętego:

„Wasza Świątobliwość, piszę po angielsku, aby prosić o pozwolenie na przełożenie poezji publikowanych pod pseudonimem Andrzej Jawień. Jako poeta i autor antologii *Five*

Centuries of Polish Poetry (opublikowanej przez Oxford University Press), czuję, że jest bardzo ważnym stworzenie możliwie najlepszej wersji Waszych tekstów oddających sprawiedliwość polskim oryginałom. Fragment z *Kamieniołomu* w moim tłumaczeniu był czytany w brytyjskiej telewizji i wzbudził zrozumienie i zainteresowanie odbiorców. Czy mogłaby Wasza Świątobliwość dać mi upoważnienie do przetłumaczenia i opublikowania Waszych wierszy po angielsku?

Z synowskim oddaniem
Jerzy Pietrkiewicz”²⁵

Nie znamy odpowiedzi Jana Pawła II, ale musiała być pomyślna, skoro już w następnym roku ukazał się tom zatytułowany *Easter Vigil and Other Poems*²⁶, zawierający czterdzieści dwa utwory: z poematów *Matka*, *Pieśń o blasku wody*, *Myśl jest przestrzenią dziwną*, *Kamieniołom*, *Profile Cyrenejczyka*, *Kościół i Narodziny wyznawców*.

W *Podziękowaniach* otwierających tom Jerzy Pietrkiewicz napisał m.in.:

„Teksty wybrane do tej książki są reprezentatywne dla stylu i tematu. Ale, poza wszystkim, wskazują one różne fazy w duchowym rozwoju przyszłego Papieża. Daty ich publikacji wskazują na dramatyczne zmiany w nim i świecie dookoła niego, od 1950 (kiedy on był młodym wikarym i studentem) do 1962, roku Soboru Watykańskiego II, w którym uczestniczył jako biskup, i w koń-

cu 1966, kiedy świętowano milenium chrystianizacji Polski, i on napisał swoją *Wigilię Wielkanocną 1966*. Rok później został kardynałem”²⁷.

To wydanie części dorobku poetyckiego było pierwszą prezentacją twórczości literackiej Papieża. Ujawniono wprawdzie wcześniej fakt, że nowo wybrany Ojciec Święty jest poetą, co wzbudziło zrozumiałe szerokie zainteresowanie, ale na rynku księgarskim nie było żadnej jego poetyckiej książki. Polska edycja wydawnictwa „Znak” nosi wprawdzie datę wydania rok 1979, ale już po uważnym wczytaniu się w metryczkę tomu dowiadujemy się, że: „Oddano do składania 1 X 1979”, lecz: „Podpisano do druku 27 VII 1980” (!), zaś „Druk ukończono we wrześniu 1980”, czyli niemal dokładnie w rocznicę oddania do składania... Nawiązując do języka biblijnego, możemy zauważyć: zaiste, „władza ludowa” od początku miała wielki kłopot z „tym Papieżem”.

Jerzy Pietrkiewicz pierwszy ukazał światu nieznaną stronę osobowości nowo wybranego Następcy św. Piotra, którego poezje napisane w ojczystym języku najpierw stały się dostępne w wersji angielskiej – powtórzmy za tłumaczem – „w tej współczesnej łacinie”.

A jakie było zainteresowanie angielską edycją, świadczą kolejne wydania: K. Wojtyła, *Easter Vigil and Other Poems*, transl. J. Peterkiewicz, Auckland: Hutchinson of New Zealand 1979, Richmond of Australia 1979, New York: Ran-

²⁴ J. Pietrkiewicz, *Literatura polska...*, dz. cyt., s. 33.

²⁵ Cyt. za: R. Moczkoan, *Ile było wersji poezji Karola Wojtyły w przekładzie Jerzego Pietrkiewicza. Wstępne rozpoznanie tematu*. „Tematy i konteksty” nr 10 (15).

²⁶ K. Wojtyła, *Easter Vigil and Others Poems*, transl. J. Peterkiewicz, London: Hutchinson 1979.

²⁷ Cyt. za: R. Moczkoan, dz. cyt., s. 103.

dom House 1979; Richmond, Vic. Sydney Brisbane, Perth: Hutchinson 1979; London: Arrow Books 1980; Victoria Park, W.A. 1985²⁸.

Jerzy Pietrkiewicz nadal pracował nad przekładami poezji Ojca Świętego i już po trzech latach ukazała się edycja Karol Wojtyła, *Collected poems*, trzykrotnie obszerniejsza od poprzedniej²⁹. We wstępie tłumacz pisał:

„Niniejsze wydanie zbiorowe ukazuje się po opublikowaniu wyboru wierszy Karola Wojtyły przez wydawnictwo Hutchinson w 1979 r. Faktycznie było to pierwsze w ogóle wydanie jego poezji w formie książkowej. (...) Dziwnym zrządzeniem losu wersje angielskie stały się bardziej dostępne od oryginalnych.

Gdy w październiku 1978 r. Karol Wojtyła został obrany papieżem, niewiele osób było świadomych, iż pisał on wiersze, jako że nigdy nie publikował ich pod własnym nazwiskiem. «Andrzej Jawień» to nazwisko związane z jego poezją od 1950 r., gdy był już księdzem, do lat 1960-tych. Ten literacki pseudonim był tajemnicą dobrze strzeżoną przez wydawców dwóch periodyków katolickich, «Tygodnika Powszechnego» i «Znaku», w których ukazywały się jego wiersze. Posługiwał się też pseudonimem literackim Gruda. W języku polskim słowo to znaczy tyle, co bryłka ziemi³⁰.

Pietrkiewicz, podobnie jak sam Jan Paweł II, wskazał na Cypriana Norwida, jako poetę najbliższego Karolowi Wojtył:

(...) na każde
Boże Narodzenie
pan Jerzy otrzymywał
od Ojca Świętego
opłatek z ułamanym
rogiem, symbol
wigilijnego łamania się
opłatkiem.
Ks. Jan Twardowski
lubił powtarzać,
że wierszem dzieli się
jak
opłatkiem (...)

„W swej ojczystej literaturze Wojtyła miał dobry wzorzec w twórczości Cypriana Norwida, post-romantycznego poety, odkrytego na nowo dla pokolenia Wojtyły. (...)

Norwid, człowiek genialny, stawiał sobie za cel (...) semantyczne przewartościowanie języka, który odziedziczył,

stąd jego eksperymenty z metrum i związkami rzeczownikowymi (co nie było dotąd w tradycji polskiego stylu poetyckiego). Mogło się wydawać, że Wojtyła wiele nauczył się od Norwida, łącznie z manierą wiersza gnomicznego z jego pytaniami obosiecznymi. Jednak ostatecznie znaczące w tym było powinowactwo umysłów i głęboka chrześcijańska wiara w zbawczy sens życia. Widziane z tej perspektywy nawet mała rzecz czy nieważne zdarzenie mogą oświetlić tę ukrytą prawdę, która w naszej zabieganej egzystencji zbyt często nam umyka. Im bardziej zgłębiamy rzeczy, tym bardziej odkrywamy w nich wewnętrzne podobieństwo. Ręce opisane przez Wojtyłę jako krajobraz serca, należą do tego sposobu widzenia świata fizycznego. Także profil jest nagłym objawieniem osoby. Dla poety Norwida profil był przejawem Boga, ponieważ nigdy nie możemy widzieć naszego Stwórcę twarzą w twarz. Piękno, tak jak światło, rozjaśnia wiele profili Boga³¹.

W roku 2002 ukazał się – jak wiadomo – *Tryptyk rzymski*, który wywołał niemiędsze poruszenie, niż ujawnienie twórczości poetyckiej Karola Wojtyły po wyborze na Stolicę Piotrową. Przez niemal ćwierć wieku co pewien czas pojawiały się głosy, czy Papież nadal pisze wiersze. Nie doczekano się żadnej informacji na ten temat. I nieoczekiwanie, nieomal w przeddzień dwudziestej piątej rocznicy tego niezwykłego pontyfikatu, ukazały się zapowiedzi, że pojawi się nowy tom – *Tryptyk rzymski*.

Jerzy Pietrkiewicz natychmiast przystąpił do pracy i już w roku 2003 w Krakowie ukazał się tom John Paul II, *Roman Triptych. Meditations*, translated by Jerzy Peterkiewicz.

Jacek Dąbala poświęcił temu przekładowi wnikliwe studium – „*Nośność*

²⁸ Por. ibidem.

²⁹ K. Wojtyła, *Collected poems*. Translated with an introductory essay and notes by Jerzy Peterkiewicz. Hutchinson 1982

³⁰ J. Peterkiewicz, *The Poetic Profile of Karol Wojtyła* [w:] tamże, s. 9, przekład Jerzy Kopania, za co serdecznie dziękuję W.S.

³¹ Tamże, s. 14.

pierwo-słowa”. *Rzecz o Jerzym Pietrkiewiczzu – tłumaczu poezji Papieża*³². Cieszy szczególnie, że autor przypomniał przy tej sposobności postać znakomitego tłumacza, który „W ten nietypowy sposób (...) przybliżył obcokrajowcom wiarę, mądrość i wrażliwość człowieka, który miał odpowiadać za Kościół przez blisko kilkadziesiąt lat. Tłumacz podjął się pracy, która z pewnością nie należała ani do zwyczajnych, ani prostych, ponieważ przekraczała wymiar świata literatury”.

Mam nadzieję, że czytelnicy choćby tego szkicu nie mają wątpliwości, że znakomity poeta i uczonec, a przy tym człowiek głębokiej wiary, był jak nikt inny predysponowany do podjęcia tego zadania. A jak bardzo Jan Paweł II cenił Jerzego Pietrkiewiczza, dowiemy się, kiedy ujrzy światło dzienne korespondencja tych dwu niezwykłych ludzi na-

szych czasów. Dodam tylko, że na każde Boże Narodzenie pan Jerzy otrzymywał od Ojca Świętego opłatek z ułamanym rogiem, symbol wigilijnego łamania się opłatkiem. Ks. Jan Twardowski lubił powtarzać, że wierszem dzieli się jak opłatkiem, a wymienioną w tytule trójkę naszych „wielkich” – poza przyjaźnią – łączyła właśnie poezja.

³² J. Dąbala, „Nośność *pierwo-słowa*”. *Rzecz o Jerzym Pietrkiewiczzu – tłumaczu poezji Papieża*. „Ethos” 2004, nr 3/4, s. 355-367.

WALDEMAR SMASZCZ

– urodzony w 1951 roku w Gdańsku, pisarz-eseista, historyk literatury, krytyk literacki i tłumacz. Ukończył polonistykę na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu, gdzie studiował pod kierunkiem prof. Konrada Górskiego i prof. Artura Hutnikiewicza. Opracował kilka antologii poetyckich, m.in. *Światło pszennego chleba. Eucharystia w poezji polskiej* (wyróżniona na Targach Wydawców Katolickich w Warszawie), *Bóg czyta wiersze* (wraz z ks. Janem Twardowskim), *Poezje zebrane Kazimierza Wierzyńskiego* (nagroda „Złotej Sowy” na Targach Dobrej Książki w Warszawie), zbiorowe edycje wierszy ks. Jana Twardowskiego: *Wiersze, Wiersze o miłości, nadziei i wierze, Wiersze największej nadziei*, dziewiętnaście tomików w serii poetyckiej „Z Listkiem” (główna nagroda Targów Wydawców

Katolickich w Warszawie) oraz wybory wierszy poetów polskich od baroku po współczesność. Autor książek, m.in.: *Słowo poetyckie Karola Wojtyły*, *„Obsypany Twymi dary”*. *Rzecz o Franciszku Karpińskim*, *„Serce nie do pary”*. *O księdzu Janie Twardowskim i jego wierszach*, *Krzysztof i Barbara podobni jak dwie krople łez*, *Juliana Tuwima życie o imieniu dziewczęcym*, *Ignacy Jan Paderewski dla Niepodległej Polski*, *Z AVE spacer dzieci wśród słów księdza i poety Jana Twardowskiego* (dla dzieci).

Odnznaczony Złotym Krzyżem Zasługi, Medalem 100-lecia Odzyskania Niepodległości. W roku 2000 papież Jan Paweł II przyznał W. Smaszczowi za twórczość literacką insygnia Najczcigodniejszego Krzyża Pro Ecclesia et Pontifice.

fot. Bogumiła Maleszewsha-Oksztol



Środek, czyli o metafizyce spotkania

– rozmowa z Wojciechem Kassem



fot. Bogumiła Maleszewska-Oksztol

Dorota Sokołowska: **Zacznijmy od tytułu Pana najnowszego tomu poetyckiego – *Metaf. Bycie poe*ta to dążenie do skrótu, wydaje mi się, że ten tytuł też jest skrótem.**

Wojciech Kass: Jak manifa od manifestacji, mist od mistyki. Może w ten sposób mrugam okiem do popkultury i mó-

wię: proszę, oto ważne dla mnie słowo, które w jego zewnętrznej osłonie skrajam podług tendencji w mowie, esemesie i messengerze, przykrajam do wymiaru tych popkulturowych skrótów jak „super”, „mega”, „oki”, „sorki”, „ekstra”, „lał”, etc. Ale tylko zewnętrznie, bo jego treść „wewnętrzna” jest niedosiężna i w gruncie rzeczy niepoznawalna, a tym samym niewypowiedziana. Człowiek jest dla mnie zjawiskiem metafizycznym, a więc

istotą wielopiętrową, dlatego wielopoziomowymi są struktury umieszczonych w tym tomie wierszy. Właściwie można je sobie przedstawić jako wysokie, sięgające chmur bloki mieszkalne, posiadające piwnice, partery, półpiętra, piętra, antresole, poddasza, a nawet tarasy. Osiągnięcie tarasu, z którego widać więcej, to nie lada wyczyn w duchowym życiu człowieka. Stopień wolności istoty ludzkiej jest wprost proporcjonalny do ilości tych duchowych

pięter w nim samym. Im mniej pięter, tym więcej w nim materiału do zniewolenia i tresury, na którą podatne są zwierzęta. Im więcej pięter, tym bardziej staje się niepochwytym i w razie zagrożeń zewnętrznych, posiada dość pięter, aby w którymś z nich znaleźć schronienie, bo zawsze jest taka głębia, gdzie zniewoliciel i agresor się nie przedostaną, której nie zaburzą, której nie zburzą. Wracając do samego słowa metaf, to jego wynalazcą jest Jarosław Ławski, wybitny humanista i pisarz-myśliciel. A popkultura musi zdać sobie sprawę z tego, że skracając słowa, więcej – upraszczając język, redukuje kulturowy dom człowieka do nędznych lepiank i prowizorycznych kolib, w sensie duchowym – podkreślam. Socjalne zdobycze, w tym poprawa warunków mieszkaniowych człowieka, nie muszą iść w parze z jego zamieszkaniem w kosmosie kulturowym. Zajmujesz lokal w apartamentowcu, pełna zgoda lecz w oglądzie zewnętrznym, ale jako człowiek wewnętrzny możesz zajmować piwniczny kąt.

Są ludzie, którzy pragną słowa poetyckiego i pragną spotkania z drugim człowiekiem. Co jest w spotkaniu takiego ważnego dla Pana, że możemy sobie spojrzeć w oczy, zadać pytanie, podejść, ucieleścić tę materię?

Ludzie żyjący w wielkich skupiskach już dawno zatarli w sobie istotę spotkania, które jest momentem świętym, nawet wtedy, gdy sobie tego w ogóle nie uświadamiamy. Czytając *Opowieści myśliwego* Turgieniewa (cóż to za wspaniały kulturysta zdania, on po wschodniej stronie, Flaubert po zachodniej), zobaczyłem ów cud spotkania człowieka z człowiekiem, jednego z drugim, innego z innym. Pisarz rosyjski osadza te swoje opowieści w Rosji środkowej, w jej nieprzebytych i cią-

gnących się po setki mil lasach. Słowem, w przyrodzie rzecz się dzieje, w kosmosie tej przyrody, w której – jak powiadają mądrzejsi ode mnie – wszystko zimno i obojętnie żyje koło siebie oraz jedno po zera drugie. W każdym razie w tych opowieściach idzie sobie taki myśliwy przez las, tropi zwierzynę, a przed nim przestwór natury, tropi samotnie, tyczy swoją tropę, jakby rzecz ujął Mariusz Wilk, niekiedy przez całe dni nie napotyka żadnej istoty ludzkiej. I nagle widzi, jest człowiek, wylania się jak zjawisko, powiedzmy nietypowe, osobliwe, wylania się istnienie metafizyczne. I co następuje? Zaczyna się opis tego zjawiska, tego konkretnego istnienia, które wynurzyło się ze scenerii, tła. Opis zajmuje stronę, dwie, całe skupienie skierowane jest na sylwetkę napotkanego człowieka. Ten opis jest pokłonem mu złożonym, jest jak adoracja, bo zdarzył się cud spotkania, a ono z kolei jest fundamentem kultury, spotkanie, a do tego dialog, który wywiązuje się między spotykającym i napotkanym. Tego typu myślenie o spotkaniu obróciło się w ruinę. Człowiek nie może kochać wszystkich i wszystkiego, może kochać tą, tego i jeszcze kilku, to, tamto i jeszcze trochę innych rzeczy, ale nie wszystkich ani wszystkiego. Tymczasem napiera na niego ze wszech stron – przestrzeni publicznej i instytucjonalnej, przestrzeni mediów i sieci – taka ilość informacji i wydarzeń, ludzi oraz ich powiązań i relacji z innymi, że on w tej zupie zjawisk realnych i wirtualnych przestaje się orientować, dlatego czuje się zagubiony. Przestaje rozróżniać, co jest widmowe, a co realne, co prawdziwe, a co iluzoryczne, co jest rzeczywistym, a co złudzeniem. Słowem: nigdy psychika ludzka nie była poddana takiemu atakowi na jego istotę, na jego duszę. Ja nie wiem, czy człowieczeństwo to wytrzyma. Moim zdaniem nie wytrzyma. Czy w tych warun-

kach spotkanie człowieka z człowiekiem w sensie turgieniewowskim, jest jeszcze możliwe? Zamiast spotkania mamy raczej do czynienia z wzajemnym odpychaniem. Idea spotkania podlega postępującemu „zamazywaniu” ze względu na cywilizacyjny „speed” oraz to, że „wszystko przeraasta ludźmi” – jak pisze Brodski. Ludźmi, ale przede wszystkim ich multiplikacjami w sieci, na ekranach telewizorów i smartfonów oraz na atakujących przestrzeń obrazkach, od reklam wielkogabarytowych i ruchomych po morze reklamarskiego gadżetu, etc. To, to – kultura sprowadzana do obrotu gadżetem. Gadżet jako zasłona dymna tego, co w kulturze najważniejsze i istotne.

Zawsze to bogactwo...

„Bogactwo”, które zadymiło i zaczęło to, co rzeczywiste i to, co nazwałbym architekturą sensu życia poszczególnych jednostek, jak i społeczeństw. W przeważającej części jest to „bogactwo widmowe”. Sieć i cały przemysł medialny ma charakter widmowy, a widma – wiadomo – są narzędziem sił nieczytych.

Czyli mamy do czynienia z pozorem spotkania?

Właśnie. Z pozorem, który jest wynikiem rozwarstwiania, czy też rozrywania idei spotkania, jeszcze inaczej – zakłócania jego istoty, która wydaje mi się być sakralną. Jak reagować ma mężczyzna, który wyprawił się z żoną na bezinteresowny spacer, a więc taki, który nie ma specjalnego celu ani nawet kierunku, który ma być właśnie spotkaniem w spacerze, a tymczasem jego zmysły napastują rozmaite obrazy reklamarskie młodych ciał, urodziwych i wypreparowanych z jakichkolwiek uchybień wywołującymi się należeć do jakichś bogiń,

nimf, istot niebiańskich. Zaś idąca obok niego żona urodziła mu troje dzieci, wzorowo prowadzi dom, lecz nie bardzo ma czas na dbanie o wygląd zewnętrzny i zdaje sobie zarazem sprawę, że ten cały przemysł urody to zmyślna pułapka. Ma lekką nadwagę tu i ówdzie na ciele, z dnia na dzień jest zdradzana przez czas, którego jedną z postaci jest zmarszczka, uwiąd. Więc te przekazy szarpią jego zmysłami i odciągają od spotkania w spacerze, a on zaciska zęby, przymyka oczy i zaklina: Kochaj swoją żonę taką, jaką Jest. Bo Jest.

Te rzeczy utrudniają spotkanie?

Przeszkadzają w skupieniu się na sobie. Ciekawości siebie i wzajemnej czulej uważności na siebie. To są widzialne mury, to są przeszkody w spotkaniu człowieka z człowiekiem w całej jego ludzkiej złożoności (tej wielopiętrowości), a więc z tym, co jest jego bogactwem i nędzą, co jest w nim cudowne, bo w sumie człowiek jest cudem, a co jest w nim złowrogie, bo człowiek potrafi być także bestią, z tym, co stanowi o jego sile i ruchliwości, a tym, gdzie zaczyna się strefa jego bezbronności. Te mury nie tylko utrudniają spotkanie międzyludzkie, ale również spotkanie człowieka z krajobrazem i przestworem, bo naturalną rzeczą jest, że twór, jakim jest człowiek tęskni do przestworu. Proszę zwrócić uwagę, jak rzecz ma się na poziomie lingwistycznym. Przed słowem „twór” stawiam przedrostki „po-” lub „przes-”, ta ruchliwość językowej materii ilustruje również byt człowieka, zarówno na poziomie egzystencjalnym, jak fantazmatycznym. Stopień intensywności spotkania wpływa na tonaż naszej pamięci. I odwrotnie – bylejakość spotkania tę pamięć „zwalnia”, nie doposaża jej w „towar” zwany przeżyciem lub doznaniem, pozbawia ją obrazów tegoż przeżycia i doznania. A chodzi o to, abyśmy zapa-

miętał człowieka w naszym z nim spotkaniu, abyśmy jak najmniej zapomnieli z sylwetek naszych przodków: naszych rodziców, krewnych, przyjaciół, żon, mężów, sąsiadów. Nasz umysł masowo atakowany jest przez rozmaite obrazy transponowane przez technologię i inżynierię, one sprawiają, że zaczynamy – i to jest paradoks – ślepnąć i mniej widzieć. Nie widzimy napotkanego człowieka we właściwym świetle, widzimy go tak jak podają go nam wszelkie nośniki, które go formatują i amputują z jego metafizycznej wielopiętrowości, odpowiednio go stygmatyzują lub „wyświęcają”, czyniąc z niego produkt. I ten produkt bez przerw „zaciera” autentyczność daru i łaski spotkania. Na człowieka spotkanego nakłada się ten podawany, ten nam podtykany, choćby z telewizora w chwili, gdy spożywamy kolację, a obok nas spożywają ją najbliżsi, lecz my zapatrzeni w ekran nie jesteśmy w relacji spotkania z nimi.

Pisanie jest formą pamięci spotkania w jego nietypowości?

Jak najbardziej. Jest po to, aby nie zapomnieć wstrząsu spotkania. Wstrząsu wywołanego niespodzianką spotkania. I zarazem po to, aby zwabić taką niespodziankę i spowodowany nią wstrząs w sieć słów.

Z kim lub czym to spotkanie?

Z czymś, co jest większe od nas i co w gruncie rzeczy jest niepoznawalne, a co chce wejść w literę, co chce w literze pozostawić cień, piórko ze swojego niewidzialnego skrzydła. A z kim? Z tym Innym sobą, Innym w sobie, ze swoim najgłębszym „Ja”, które jest inne niż nasze wyobrażenie o sobie samym, „Ja” ludzkie bowiem jest wielokrotne i wielowymiarowe. Nie mylił się Rimbaud, kiedy w swoim liście-manifeście zapisał: „Ja to ktoś inny”.

To odbywa się w interiorze aktu twórczego, a czytelnik?

A to już kolejny etap spotkania. To już jest spotkanie w literze zastygłej, literze scalonej. To jest spotkanie w strukturze wiersza (każdy żywioł strukturalizuje się, dajmy na to – ulewa w kałuży, wiatr w powalonym drzewie, wulkaniczna lava w warstwie geologicznej, napór kry zostawia znak w postaci wypiętrzonego pomostu, a ogień w postaci pogorzelińska). A o strukturze wiersza decyduje napór słów, im bardziej jest on bezwzględny i nieprzewidywalny, tym struktura wiersza silniej oddziałuje na czytelnika. Słowa są żywiołem żywiołów, bo są nośnikami sensu. I w tym sensie miał rację któryś z poetów pisząc, że język to konstrukcja podpierająca świat.

Co to znaczy struktura wiersza?

To jest zapis. Jak mówi, mrużąc oko, Maciej Melecki: to jest taki słupek, z lewej równy, a z prawej postrzępiony. A poważniej, i tutaj przywołajmy Jacka Gutorowa, to jest coś, czego nie da się powiedzieć inaczej. Struktura wiersza da się opisać z zewnątrz pojęciami ustalonymi przez teorię poezji, czyli poetykę, jak również przez rozmaite wytrychy, które wytwarzają szkoły i metody literaturoznawcze, ale w środku, we wnętrzu największych utworów, w nich panuje królestwo bezmiaru, w których poruszają się cienie impulsów duszy nieskończonej.

Co jest bardzo charakterystyczne dla Pana tomiku i w ogóle dla poezji to jest to, że poeta wie, że oprócz sytego ciała, mamy też nienasyconą duszę, którą w jakiś sposób musimy...

No tak, o tym właśnie mówimy. Poezja jest formą rozciągania duszy za pomocą ekwiwalentów językowych. Tej



fot. Bogumiła Maleszewska-Oksztol

naszej bezbronnej duszy, która w *Elegii na śmierć Johna Donna* Brodskiego, utworze prawdziwie wielkim, kwili. Tak, kwili! Wszystko wokół zamarło, na łóżku stygnie ciało angielskiego poety, słychać tylko kwilenie duszy. Nie wiadomo, gdzie się ona podziewa i ku czemu wyrwa. Ale podziewa, ale wyrwa. Więc sądzę, że ta dusza, aby nie szczyła w nas, tę duszę należy rozciągać jak najdrogocenniejszy mięsień naszego organizmu. Mięsień – powiedziałbym – wymiaru sakralnego. W przeciwnym razie skazujemy się na automatyzm i bezwiedną powtarzalność, jakby nas ktoś programował lub na wegetację truposza, czyli umarłego za życia, pragmatycznego widma, chodzącego cienia. A życie, o tym trzeba pamiętać, jest chwałą. Czym jest niespodzianka? Jest zaskoczeniem, jest spotkaniem z czymś lub kimś niespo-

dziewanym, a więc jest sytuacją nową, nadzwyczajną, dotąd niezdefiniowaną. Mandelsztam pisze, że „niespodzianka jest powietrzem poezji”, tym samym, może ona być również powietrzem spotkania. Czy my jednak jesteśmy w stanie odnowić nasze myślenie o tym cudownym fakcie? Otrząsnąć nasze istnienie ze zlogów stereotypów, skamielin schematyzmu? Wymaga ten proces wielkiego wysiłku i trudu ujrzenia człowieka na nowo w spotkaniu z nim, ujrzenia w jego niewinności i bezbronności.

Gdzie rodzi się metafizyka?

Ona Jest. Słowo Jest równa się metafizyka. Rzeczywistość jest zjawiskowa; coś lub ktoś zjawia się i raptem znika. Jest, a dotąd nie było – to fakt metafizyczny. Spotkaliśmy się, lecz zaraz się pożegnaliśmy – to fakt metafizyczny, czysta zjawi-

skowość. Zjawilo się nam spotkanie i my w tym spotkaniu zjawiliśmy się sobie. To samo dotyczy otoczenia człowieka. Czy ogon, który wystaje zza krzaka jest tylko ogonem, czy fragmentem całości, a więc kota, którego nie widać? – pyta poeta Krzysztof Kuczkowski.

Co wynika z toku Pańskiej refleksji?

Niewiele i zarazem bardzo wiele. Przede wszystkim, tak mi się wydaje, poeta spostrzegł rzeczywistość jako fenomen zjawiskowy, mniej jako proces. Coś (każdy konkretny świat – cegła, kwiat, jezioro, dukt, ulica) lub ktoś (zwierzę, człowiek, anioł) pojawia się i zaraz znika z pola naszego widzenia. A kiedy znów się pojawia, to jest już inne, choćby starsze o sekundę, godzinę, miesiąc, lata, lecz my tego nie dostrzegamy. Nam

się wydaje, że wszystko jest powtarzalne, a przez swoją powtarzalność i mechaniczność tej powtarzalności staje się nudne, powszednie. A ja przypuszczam, że to co jest, za każdym razem jest inne, niepowtarzalne, jest cudem. Ulica, którą codziennie przemierzasz, codziennie jest inną w swoim istnieniu i świeceniu. To samo dotyczy spotkania, nawet jeśli godzina w godzinę spotykasz się z bliskim człowiekiem, to każde z nich, choć częste w natężeniu swoim, jest innym spotkaniem i więcej się nie powtórzy, choć ty uważasz, że są one identyczne. Może podobne, lecz nie identyczne. A skoro tak, to mamy do czynienia z wiecznym pulsowaniem cudu życia. Jak to odczuć, jak ujrzyć w codziennej praktyce życia? Nie wiem, ale ten, kto dozna istoty zjawiskowości już nigdy nie zazna spokoju i z uporem, z pomocą dostępnych instrumentów oraz ćwiczeń duchowych będzie dążył do odnowienia swojej postawy widzeniowej i przesuwania środka ciężkości swojej uczuciowości. Och, jakie to trudne. Wręcz niemożliwe.

Rzecz to nie nazbyt atrakcyjna dla przeciętnego zjadacza chleba?

Bo ja nie mówię o rzeczach atrakcyjnych, mówię o tym, co trudne. Czym mierzyć, co jest trudne, a co łatwe? Właśnie zasięgiem. Jeśli coś jest w naszym zasięgu, powiedzmy na wyciągnięcie ręki, to jest na pewno łatwe i ledwie płycizną jest, mielizną. Mój anielski chlebobawca Gałczyński napisał, że tylko to, co trudne warte jest uwagi. A trudnym jest to wszystko, co dotąd nie zostało ogarnięte przez rynek i praktykę komercji, tudzież dostępności. Trudnym jest walka ze skamieliną, która jest w każdym z nas i która małodusznością się nazywa. Chodzi o to, aby w zastygłej skamielinie naszej psy-

chiki, która w sumie ma niewiele imion, a kilka z nich to przyczajenia i schematyzm w działaniu i myśleniu, wygodnictwo, które z czasem staje się niewygodne, może więc należałoby zmienić partnera (co za okropne słowo!)? Lecz nie w partnerze tkwi problem, a w setkach obrazów nowoczesnego człowieka, niby wyzwolonego, które podtykane są nam od rana do wieczora z wielkich ekranów świata, aż niepostrzeżenie przedostają się one na ekrany naszego mózgu i na nich to panoszą się ze swoim, podkreślam, widmowym, istnieniem. To nie żarty, to jest walka na śmieć i życie, to jest wielka kulturowa bitwa o nasze dusze. Chodzi więc o to, aby w skamielinie tejże „socjalnej” psychiki drążyć własną ścieżkę duchową, jedyną w swoim rodzaju, bo to przez nią rodzi się twoja wolność. Przez nią, a nie na arenie procedur demokratycznych i demokracji, która jest, jak się jej dobrze przypatrzeć, demagogią i to nie mniejszą niż inne, którymi nas straszą telewizyjni mędrkowie. Dlatego rzecz nie w partnerze, ale w odnowieniu w sobie zdolności do spotkania z nim i zobaczenia tego spotkania w odwiecznym misterium zjawiska, jakim jest nasze życie, spotkania z tym, co zewnętrzne, ale i tym, co puka do nas z wewnątrz i dopomina się kształtu. Dlatego, jeszcze raz podkreślam, nie mówię o atrakcjach, a tym bardziej o gadżetach, ale o naszym istnieniu, jedynym i nie do powtórzenia od zarania do końca świata, mówię o tym, bo wzięło się nie z tego wymiaru, a więc jest rzeczą nad wyraz poważną, wręcz świętą.

Pragnienie niemożliwego?

O tak – to wydaje się mieć sens. Lepiej niemożliwego niż ograniczonego do niskiego nieboskłonu atrakcji i wąskiego horyzontu gadżetów.

Co Pana martwi?

Doprawdy wiele rzeczy. Martwi mnie na przykład fakt, że poddała się filozofia. Swojego czasu wodziła prym i mówiła ludziom, jak mają żyć. Wtórowała jej w tym religia, a nawet sztuka. Podała się i zdradziła swoje powołanie odwracając się plecami od człowieka, tym samym pozostawiając go na pastwę acedii i rozpacz, zmęczenia i dezorientacji, także na pastwę rozmaitych maści ideologicznych hochsztaplerów. Sama zaś zajęła się wycinkami bytu np. języka. Gdyby moje rozumowanie przełożyć na profesję lekarską, to brzmiałoby ono następująco: filozof miał prowadzić człowieka, prowadzi tylko jego część – wątrobę. Po drugie, dzieła ludzkiego umysłu i talentu przestały powstawać z myślą o Bogu. Po trzecie człowiek traci natchnienie do życia, podkreślając jednocześnie w sobie namiętność do posiadania, stał się chciwy posiadania, bo ponoć dla nieposiadających nie ma na tym świecie miejsca. I po czwarte, za swoje autorytety uznał celebrytów, których zajęciem jest ekspozycja samych siebie i wygadywanie różnych głupot. I po piąte, godnym naśladowania uczynił sąsiada i stan jego posiadania, zapominając o Jezusie Chrystusie. Ale Bogoczłowiek jest w zasięgu i zarazem poza nim – i to jest trudne.

Czym zakończymy naszą rozmowę?

Czytajmy dobrą poezję, bo w ten sposób zwiększamy naszą zdolność dawania odporu oszustwu. Świat bowiem zaczyna jawić się jako gigantyczny kombinat produkcji oszustwa. Biznes ten nieźle się rozkręcił, a pośród składających zamówienia na metody i sposoby, jak wywieść głupi lud w pole, stoją reprezentujący omal wszystkie profesje i dziedziny ludzkie.

Dziękuję za rozmowę.

Życ, nie rozpaczając

– rozmowa z Teresą Radziewicz



foto. Dział Digitalizacji Książnicy Podlaskiej

Justyna Sawczuk: Co było pierwsze w życiu Teresy Radziewicz, poezja czy teatr?

Teresa Radziewicz: Obie sprawy pojawiły się chyba jednocześnie, jako rzecz zewnętrzna, w której uczestniczyłam czytając bądź oglądając spektakle.

Zacząło się właściwie w szkole podstawowej, bo mieliśmy wymagającego polonistę – Jana Zalewskiego, który jednocześnie był miłośnikiem literatury. Kiedy byłam w VIII klasie, pan Jan opo-

wiadał o Edwardzie Redlińskim, który pochodzi z mojej gminy – Juchnowiec Kościelny. Następnie była szkoła średnia i Herbert, który do tej pory brzmi – w moim przypadku – wyjątkowo.

Teatr zaczął się w szkole średniej, kiedy wychodziliśmy na spektakle, a może i wcześniej... Kiedy rozmawiamy, to zdaję sobie sprawę, że literatura i teatr wiążą się z moją edukacją, że to było coś ważnego – nie tylko w szkole, ale i poza lekcjami.

Związków literatury z teatrem nie trzeba nikomu udowadniać, ale zastanawiam się jak doświadcze-

nie teatralne – czy to reżyserskie, czy aktorskie – wpływa na poetę?

Nie zastanawiałam się nad tym. W moim przypadku chyba się trochę rozdziela, ale też nie da się pisać, tworzenia rozdzielić całkowicie. Wydaje mi się, że jestem pogodną osobą, ale mówią, że w moich wierszach jest dużo smutku, melancholii, natomiast teksty, które pisałam przez kilka lat dla teatru amatorskiego dorosłych Trylobit, który prowadzę w Ośrodku Kultury w Gminie Juchnowiec Kościelny, były tekstami komediowymi. Szukaliśmy swojej drogi, zastanawialiśmy się, co chcemy grać i jak,

i doszliśmy do wniosku, że na początek, jako teatr amatorski, chcemy się po prostu dobrze bawić, bawić publiczność, dać ludziom trochę radości. Więc taka była różnica między poezją a teatrem. Później powaga pojawiła się też w teatrze, więc tam, gdzie trzeba, to się splata, a tam gdzie trzeba – rozchodzi się odpowiednio.

Twój najnowszy tomik, wydany przez Książnicę Podlaską, ma bardzo tajemniczy tytuł – ś. Spróbujmy jednak uchylić rąbka tajemnicy...

Pojawiały się różne pomysły na tytuł... Miał być *pan ś, osławianie pana ś* i w pewnym momencie stwierdziliśmy z moimi redaktorami – Krzysztofem Korotkichem i Januszem Taranienką, że może tylko ś.

Szukając tytułu, który ująłby to, co jest w książce, odczuwam niepokój, ale kiedy przychodzi moment, gdy już wiem, że to jest to, ogarnia mnie spokój, nabieram dystansu.

Mam nadzieję, że czytelnik w trakcie lektury tomu odkryje, dlaczego ś. Motta wprowadzające do książki są podpowiedzią, choć jednocześnie chciałam, żeby to ś nie było tak jednoznaczne, żeby nie nazywać wprost, a raczej żeby można było szukać, zastanawiać się, czy może znaczyć coś innego. Czy ś to tylko jedno słowo, a może kilka?

Muszę powiedzieć, że kiedy czytałam wiersze z tego tomu, trudno mi było oprzeć się wrażeniu, że u podstaw ich powstania leżały jakieś traumatyczne przeżycia...

Pytanie, co to jest traumatyczne przeżycie? Na ile to, co nas spotyka w życiu, w codzienności, jest traumą, a na ile wydarzeniem, które musi w pewnym momencie zaistnieć?

Część tekstów, zawartych w tym tomie, to wiersze, część to niewielkie prozy poetyckie, które nazywam „wywiedzionymi z rzeczywistości”. Rzeczywiście miały źródło w wydarzeniach z mojego życia, dlatego właśnie pytam, czy były traumatyczne, czy to były po prostu sprawy, które zostawiły we mnie jakiś ślad? Ten tom jest dla mnie, jako autorki, trudną książką, bo najbardziej sięgam w głąb siebie, a to jest zawsze trudne, gdy człowiek ma odczucie, że się odsłania, choć sama poezja jest tak naprawdę – w pewnym sensie – zasłanianiem się, „oszukiwaniem”. Zawsze mogę powiedzieć – to nie ja, to podmiot liryczny.

Przyznaję, że wielokrotnie złapałam się na tym, iż czytając, nieświadomie zaczynałam utożsamiać podmiot liryczny z autorką.

Czasami rzeczywiście tak jest, ale czasami buduję tę osobę mówiącą, buduję tego bohatera, który w wierszu ma powiedzieć coś za mnie. Zresztą lubię to robić. W paru książkach – mówię o *Samosiejkach* i o tomie *Sonia zmienia imię* – wykorzystałam tzw. lirykę maski.

To daje poczucie bezpieczeństwa?

Na pewno większe, niż kiedy tak jak w prozach poetyckich z tomu ś, piszę: „ja”, „moje”, „o mnie” itd.

Pan ś przynosi rozwiązania ostateczne. Ludzie się go obawiają, Ty go oswoiłaś. Zaczęłam go nawet lubić, współczuć mu, bo tak ciężko pracuje, a ta jego praca jest taka niewdzięczna...

Myszę, że powinnam teraz wspomnieć książkę Anny Markowej *Śmierć*, z której zaczerpnęłam jedno z trzech mott, znajdujących się w tomiku ś i ono brzmi tak:

Jesteśmy różni, a zarazem stanowimy Jedność. Jedną osobę, jeżeli w ogóle można tu mówić o osobie w potocznym znaczeniu tego słowa. Nikt z nas nie przypomina (...) kościstej staruchy...

Właściwie pomyśl na pana ś pojawił się w czasie, kiedy trwały prace redakcyjne nad książką Anny Markowej. Na całość składają się opowiadania i każde jest o czymś odejściu, o śmierci. „Ten z góry” przysyła do umierającego osobę, zawsze inną, by pomogła przejść człowiekowi na drugą stronę. Te postacie zainspirowały mnie, stąd wziął się „mój” pan ś.

Myszę, że ta obawa, o której wspominałam, strach, jest w nas bardzo mocno zakorzeniony, a zapominamy, że czasami pan ś może być wybawieniem.

I to jest podwójnie skomplikowane, gdy ktoś odchodzi, ale mamy świadomość, że gdyby żył, cierpiałby tak, że to jest trudne do uwierzenia. Pytamy, co jest lepsze w takiej sytuacji. Myszę, że są to raczej same pytania, odpowiedzi nie znamy...

Kiedy dzisiaj rano sięgnęłam po ś, uderzyła mnie myśl, że znaleźliśmy się w takim momencie historii, w takich czasach, że ten tomik wybrzmiewa dużo mocniej. Pan ś ma teraz dużo pracy i mam wrażenie, że to oswojenie, które tutaj „serwujesz”, jest nam teraz potrzebne bardziej niż kiedykolwiek.

Jest to zaskakujące, ponieważ książka powstawała jeszcze przed czasami „covidowymi”. Nie miała nic wspólnego z tym, co miało nastąpić. Fakt, że ten czas się tak związał z czasem wydania tomu, mnie też zaskakuje. Jeżeli pan ś mógłby rzeczywiście pomóc w godzeniu się z tym, co się dzieje, to myszę, że to byłoby dla mnie bardzo ważne. Bo tak na-

prawdę chciałam tchnąć trochę nadziei, podtrzymać czytających na duchu, dać komuś wsparcie i ta myśl towarzyszyła mi przy pisaniu niektórych tekstów.

A skąd w poetach ten upór w ciągłym pisaniu o przemijaniu, o odejściu?

Najważniejsze tematy: miłość i śmierć...

Ich wszechobecność sprawia, że trudno jest stworzyć coś oryginalnego, wymaga to sporo pracy, sporo wysiłku.

Dlatego nie gonię za oryginalnością, za czymś nowym, za fajerwerkami. Nie taką drogę wybieram. Raczej szukam możliwości powiedzenia czegoś ważnego dla mnie, w moim języku. To jedynie mogę zrobić.

Czy miano poetki to powód do dumy?

Chyba tak...?

Skąd ta niepewność?

To wielkie słowo i przykładanie tego słowa do Teresy Radziejewicz zawsze wydaje mi się górnolotne. Skoro piszę wiersze, wydaję książki, to jestem poetką, ale częściej jestem po prostu kobietą, nauczycielką, córką, siostrą, przyjaciółką, a poetką chyba bywam.

Użyłaś słowa górnolotny. Kiedy byłam w szkole, nie znosiłam poezji. Nie znosiłam jej dlatego, że wydawała mi się niezrozumiała, pełna patosu, niezwykle odległa od tego, co ja jako dziecko, a później młoda dziewczyna, obserwo wałam wokół mnie. Kiedy czytam twoje wiersze, mam z kolei wrażenie, że one są blisko człowieka.

To jest trudna sprawa, znalezienie miejsca dla siebie pomiędzy kiczem, tekstem, który jest źle napisany, bo zbyt prosto, zbyt wprost podany, a tekstem, który jest bardzo hermetyczny, niezrozumiały. I to chyba też rzecz, której szukam w swoim pisaniu.

Pozwól, że odniosę się do słów Krystyny Koneckiej, wypowiedzianych w Książnicy Podlaskiej podczas jednego z sejmików poetyckich. Pani Krystyna wspominała, że w księgarniach dzisiaj nie ma już nawet działu poezja, że my w XXI wieku nie czytamy poezji, poezja się nie sprzedaje. Zamieniliśmy ją na kryminały, reportaże, filmy, różnego rodzaju gry czy inne rozrywki. Dlaczego?

Przyzwyczajiliśmy się do łatwości, a poezja jest przedstawiana jako coś, co jest trudne, skomplikowane. I rzeczywiście wymaga często intelektualnego wysiłku. Pracuję z dziećmi, z młodzieżą, uczę polskiego i staram się, gdy mamy lekcje związane z tekstem poetyckim, żeby wiersz do nas przemówił, stał się przygodą, wyzwaniem. To samo powiedziała-bym czytelnikom, żeby traktować książkę jako przygodę. Fajnie, że ludzie czytają, że sięgają i po reportaż, i po thriller, i po kryminał, romans itd. Człowiek potrzebuje różnych rzeczy, ale nie odpuszczajmy poezji, bo wydaje mi się, że potrafi do nas wyjątkowo mówić i nas zmieniać.

Jest więc do wykonania pewna praca u podstaw, żeby w ogóle zmienić myślenie o poezji.

Chodzi nie tylko o poezję, ale o każdą dziedzinę sztuki. Po to, co łatwe, krótkie, przyjemne ludzie chętnie sięgają, a gdy trzeba zmierzyć się z czymś trudniejszym, bardzo często się wycofu-

ją i to wydaje mi się problemem naszych czasów – uciekamy od wyzwań. Chcemy żyć lekko, miło i przyjemnie, nie przejmować się niczym. I chyba za tym idzie problem z kulturą wysoką.

Po co i dla kogo piszesz? Przecież nie czytamy...

To jest trudne pytanie. Wydaje mi się, że im więcej piszę, tym jest to trudniejsze. Pierwsze książki się we mnie działy „same”, często dawały radość, poczucie, że wypisałam się, coś odkryłam. W przypadku tomu *ś* mówienie wcale nie było takie łatwe, a mimo to czułam, że chcę coś powiedzieć. Dlatego piszę. A dla kogo piszę?

Wielu autorów odpowiada, że dla siebie...

Nie tylko dla siebie. To, że kolejne książki się pojawiają, oznacza że chcę, żeby mój głos został usłyszany. Chcę, żeby ktoś przeczytał. Czytają moi przyjaciele, znajomi, dla nich piszę, dla bliskich, ale jeżeli znajdzie się ktoś dalszy, kto przeczyta i usłyszy, to staje się podwójnie niezwykle.

Czego nauczył cię pan ś?

Myszę, że cały czas uczę godzenia się – z czasem, ze światem, z przemijaniem. Musimy się tego nauczyć, jeżeli chcemy żyć nie rozpaczając.

Rozmowa jest zapisem fragmentu spotkania autorskiego, zorganizowanego w ramach cyklu „Środy Literackie”, zarejestrowanego 18.11.2020 roku w Książnicy Podlaskiej im. Łukasza Górnickiego w Białymstoku.

Sonet to moja druga skóra

– rozmowa z Krystyną Konecką

Rok 2020 okazał się dla Krystyny Koneckiej niezwykle twórczy – ukazały się dwa tomiki poetyckie jej autorstwa: *Zwierciadło Marii Stuart* oraz *Kruchość. Sonetti a corona*. Nam autorka opowiedziała m.in. o fascynacji postacią królowej Szkocji, pandemii i o współpracy z Krzysztofem Korotkichem.

Justyna Sawczuk: Skąd fascynacja Marią Stuart? Bo myślę, że możemy mówić o fascynacji, skoro poświęciła Pani tej postaci tom poetycki.

Krystyna Konecka: To już kolejna kobieta, która stała się bohaterką moich książek. Wcześniej były m.in. Izabela Branicka – pani na Wersalu Podlaskim, Tove Jansson – autorka *Muminków*, fińska pisarka pisząca po szwedzku czy partnerująca malarzowi Wojciechowi Weissowi małżonka, malarka Aneri.

Jeżeli chodzi o Marię Stuart, była to autentyczna fascynacja od wczesnej młodości. Od kiedy w Polsce ukazała się jej biografia, pióra Stefana Zweiga, tłumaczona z języka niemieckiego, ciągle wożę tę książkę ze sobą. Fascynowała mnie też

postać jednego z najwspanialszych polskich romantycznych poetów – Juliusza Słowackiego, który w wieku zaledwie 21 lat napisał dramat *Maria Stuart*. Tak się zaczęło. Z czasem poznawałam coraz więcej tekstów, książek, związanych z życiem królowej Szkotów. W 1990 roku ukazała się w Polsce biografia Marii Stuart autorstwa Marii Boguckiej – znacznie inna niż ta, którą napisał Zweig. On „szedł” nurtem bardzo dramatycznym, psychologicznym, ona – rozpatrywała bardziej „po babsku” realia czasów królowej. Tak się zbudowała moja pamięć o Marii Stuart, a potem ponakładały się na to przeróżne konteksty, m.in. emocjonalna wizyta w jej edynburskim pałacu Holyrood.

Przyznam, że doszukiwałam się powiązań pomiędzy Panią i „rzuciła mi się w oczy” informacja o tym, że Maria Stuart pisała sonety.

A tak, pisała. Miała znakomitą szkołę. Jako kilkuletnia dziewczynka, została wysłana przez swoją matkę do Francji, na dwór królewski, żeby – w wielkim skrócie – uniknąć ślubu z synem angielskiego monarchy Henryka VIII, a została żoną delfina francuskiego, Franciszka II, była więc wychowywana na królową. Wydukuowano ją kulturalnie, ponieważ to był dwór słynący z rozkwitu literatury i sztuki, gościli tam poeci francuskiej

Plejady, m.in. Pierre Ronsard, wybitny autor sonetów. Wtedy wszyscy pisali sonety, a ponieważ Maria była bardzo utalentowana, także podjęła literackie próby. Pochwalona, pisała nadal, niestety – w przyszłości zaważyło to na jej losach.

Słyszę w Pani głosie bardzo dużo sympatii dla postaci Marii Stuart.

Oczywiście, że tak. Jest mnóstwo opracowań, w których potępia się ją, oskarża, że nie potrafiła spełniać swojej funkcji, że prowadziła rozwiązłe życie, że nie uszanowała korony, że była występna, że była zdrajczynią. Ja próbowałam wczuć się w losy tej femme fatale, w dramatyczne losy kobiety – królowej, która od początku skazana była na porażkę.

Zaskoczyła mnie ilość informacji historycznych, zwartych w tych sonetach. Odrobiła Pani lekcję bardzo solidnie – wszelkie zależności pomiędzy poszczególnymi władcami i powiązania z postacią Marii są dosyć szczegółowo opisane. Zaskakująco, jak na formę poetycką.

Nie wiem, czy to jest zaleta, czy wada, że ja przez całe życie byłam dziennikarką, reporterką. Często pracowałam nad bardzo trudnymi tematami,



fot. Bogumiła Maleszewska-Oksztol

bardzo głębokimi i myślę, że może to skaza, a może wartość, że mogę przetwarzać pewne spostrzeżenia reporterskie w sonet, że mogę poetycką formą pokazać cudzy los, różne wydarzenia. Zajmuję się tym od wielu lat. Powstało już trochę tomów z sonetami i cieszę się, że krytycy dostrzegają sens takiej właśnie pracy.

Ja wiem, że najpiękniejsza poezja to liryka emocjonalna, poezja miłości, która może doprowadzić człowieka do łez, ale pokazanie cudzych losów w formie poetyckiej, a jeszcze w tej archaicznej ry-

mowance jaką jest sonet, może też przynieść czytelnikowi jakąś satysfakcję.

Sonetti a corona to trudna forma – musi Pani sobie tak życie komplikować?

Ale sonet to mój świat, to moja druga skóra. Pozostaję uczennicą Petrarki i Szekspira. *Zwierciadło Marii Stuart* to rzeczywiście *sonetti a corona*, podobnie jak *Kruczość*. To już mój czawarty i piąty cykl w tej formie, z którą pierwsze doświadczenia podjęłam gdzieś w latach 90.

Nie epatuję sonetem, nie robię tego dla jakiejś prowokacji literackiej. Nie potrafię już chyba inaczej w tej chwili. Lubię tę formę, dającą swobodę mimo pozornych ograniczeń.

Zwierciadło Marii Stuart to nie tylko tytułowa bohaterka, jest w tym tomie także druga część: W szkocką kratę. Cóż to takiego?

Jest to część druga w takim sensie, że mówi bardziej o współczesności Szkocji. Szkocka krata to bardzo charakterystyczna rzecz w tradycji rodowodów klano-



fol. Bogumila Maleszewska-Oksztol

wych. Pokazuje wszelkie barwy życia, przeszłości, historii, legend, współczesności.

Pani najnowszy tomik *Kruchość. Sonetti a corona*, powstał w bardzo trudnym czasie, kiedy świat zaczął drżeć przed koronawirusem, kiedy byliśmy zamknięci w domach podczas lockdownu. Jak powstawał ten zbiór?

Zwierciadło Marii Stuart ukazało się w połowie stycznia. Dochodziły do nas pierwsze sygnały, które zlekceważyliśmy. Coś się dzieje gdzieś na świecie – Chiny, Wuhan. Nie myśleliśmy o tym. Pierwsza promocja książki odbyła się w Białymstoku, 21 stycznia. Nic się nie dzieje. Ja przeszczęśliwa. Zaczynam przymierzać się do spotkań, jestem przygotowana na cały rok. Jest radośnie. Mamy plany wyjazdowe, zagraniczne i nagle dowiaduję

się na początku marca, że w Polsce umiera pierwsza ofiara koronawirusa.

Dla mnie to był wstrząs. Zaczynają odchodzić ludzie. Pierwszy raz znajdujemy się w takiej sytuacji. Nie znamy jeszcze wyrazu *lockdown*. Wszystko nam się rozpada, znajdujemy się w sytuacji egzaminu życiowego. Co z nami będzie? Myślę, że każdy wrażliwy człowiek, nie tylko osoba pisząca, przeszedł to bardzo dramatycznie. Ja po prostu w dniu, w któ-

rym miałam wyjechać, napisałam wiersz. Jeden, autonomiczny wiersz. Nie miało to nic wspólnego z *sonetti a corona*. Bo żeby powstał taki cykl, zapisuję wszystko na kilkunastu kartkach jednocześnie i komponuję w sposób matematyczny układy rymowe, a w to wchodzi potem treściami, które nie mają nic wspólnego z matematyką, tylko z emocjami. Natomiast tutaj był jeden wiersz. Nie miało być więcej.

Tydzień po napisaniu tego utworu coś się zaczęło ze mną dziać, czułam że muszę pisać dalej. Dlaczego? Otóż dlatego, że zanim powstał ten pierwszy wiersz, dostałam nieprawdopodobną inspirację – fotografie, które towarzyszyły mi przez cały czas. Piękne fotografie przyrody Suwalszczyzny. Była też wymiana myśli. Wszystko on-line. Czy w komórkach to jest on-line? Nie wiem. Nie było żadnych spotkań. Były zdjęcia i były wysyłane wiersze. I tak tworzył się tom...

Tom, dedykowany Krzysztofowi Korotkichowi. To on stworzył fotografie, ilustrujące *Kruchość*. Mam możliwość zapytania go o tę współpracę, ponieważ jest dzisiaj z nami... Jak się pracowało z Panią Krystyną Konecką?

Krzysztof Korotkich: Oczywiście jestem zaszczycony, kuchennymi

drzwiami wszedłem do historii literatury dzięki Krystynie Koneckiej.

Człowiek wraz ze swoim dojrzeniem, wraz z mądrzeniem, powinien stawać się coraz bardziej powściągliwy. Ja jednak chyba jestem wciąż w połowie tej drogi, bo dominuje we mnie próżność. Dałem się nabrać na tę miłą grę i zapytany, czy pozwolę na wykorzystanie zdjęć, w euforii powiedziałem: „Pewnie, dlaczego nie?”. A później pomyślałem sobie, że to jednak zbyt poważna sprawa, by z takim nazwiskiem, obok sławnej poetki pojawiać się w takim poważnym wydawnictwie, a potem się jeszcze dowiedziałem, że w Kanadzie. Lepiej nie można było.

Potwierdzam, że rozmowa rozpoczęta w pociągu z Warszawy do Białegostoku, była kontynuowana SMS-ami i zdaniem wysyłanymi za pomocą komunikatorów internetowych, co jest możliwe tylko wtedy, kiedy człowiek nie potrzebuje długiej narracji, bo sprovokowanie jednym słowem jakiejś myśli, dłuższego strumienia świadomości, możliwe jest kiedy ludzie porozumiewają się poza sferą tylko i wyłącznie litery. Jestem bardzo zadowolony, że dzięki tej rozmowie ubogaciłem się. Myślę, że rozwinąłem się także troszeczkę duchowo.

Nie jestem fotografem, mimo moich młodzieńczych ambicji. Wróciłem do fo-

tografii analogowej, bo taki mam kaprys, żyję z pióra i z nauki, a aparat biorę do ręki, bo lubię. Nigdy nie miałem zamiaru upubliczniać swoich zdjęć.

Zarówno w mojej pracy zawodowej, bo zajmuję się literaturą, jak i w fotografii, szukam tego samego – sposobu opisu świata, który od zawsze narażony jest na przemijanie. Fotografia ocala go na moment, zatrzymuje. Wszystkie zdjęcia, które trafiły do tomu Krystyny Koneckiej, mają ten sam temat: światło, człowiek – nawet jeśli go nie widać, to on tam jest, no i przemijanie, rozumiane w różny sposób. Dzięki Krystynie Koneckiej mój manifest przeciwko przemijaniu znalazł się w tej niezwyklej książce.

Dziękuję Krzysztofie za tę opowieść. Na zakończenie naszego spotkania muszę zapytać o podróż, które są dla Pani impulsem do pisania. Dokąd następnym razem zabierze Pani swojego czytelnika?

Nie wiem, gdzie mnie rzuci los. Może do Skandynawii, którą uwielbiam? Kto wie... To jest wielki znak zapytania. Czasem podróżuję też w głąb świata emocji. Chciałabym, żeby skończyło się to, co w tej chwili trwa, bo nie jest to czas, który sprzyja planowaniu.

Rozmowa jest zapisem fragmentu spotkania autorskiego, zorganizowanego w ramach cyklu „Środy Literackie”, zarejestrowanego 30.09. 2020 roku w Książnicy Podlaskiej im. Łukasza Górnickiego w Białymstoku.

Krystyna Konecka

Kruchość

Krzysztofowi Korotkichowi
– autorowi fotografii

0

Właśnie mieliśmy jechać... Prześcigać marzenia...

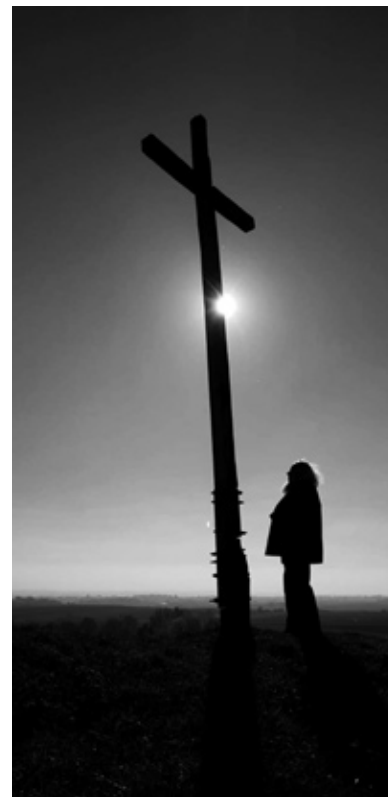
Gdy oto spadła na nas nieprzygotowanych
arytmia codzienności. I śmierć. I złamane
odwieczne rytuały nagle bez znaczenia.

Ktoś przyjazny śle zdjęcie, bym podziwiać mogła
nad jeziorem poezję zachodu. Tymczasem
widzę wążutką krwawą strużkę ponad lasem
niczym wygasający elektrokardiogram.

Gdzie skryć się? I czy można? I w czyich ramionach,
kiedy znikają ludzie dzielący się światem –
na wymarłego metra śródlondyńskiej stacji
gra ostatni pianista *Imagine* Lennona.

I myślę – za Słowackim – o kruchoj planecie
czy „Bóg ją zetrze palcem”, czy „wleje w nią życie”...

marzec, 2020



KRYSTYNA KONECKA

– poetka i dziennikarka (pracowała w tygodniku „Echo” w Tychach, w miesięczniku reportażu „Kontrasty” i „Gazecie Współczesnej” w Białymstoku, współpracuje z czasopismami w kraju oraz e-Dwutygodnikiem Literacko-Artystycznym „Pisarze.pl”). Zajmuje się też fotografią, dokumentuje tematy i środowiska literackie, publikując zdjęcia w prasie, książkach i prezentując je na ekspozycjach w kraju i za granicą.

W poezji preferuje sonety (w tym *sonetti a corona*). Opublikowała blisko dwadzieścia tomów, ostatnie to: *Ultima Thule. Głosy Islandii / Voices of Iceland* (2017), *Zwierciadło Marii Stuart / Mary Stuart's Mirror* (2020), *Kruchość. Sonetti a corona* (2020). Wiersze publikowała w licznych antologiach i prasie w wielu krajach, m.in. w Wielkiej Brytanii, Czechach, Indiach, Rosji, USA, Korei Południowej oraz we Włoszech.

Oprócz poezji uprawia publicystykę i reportaż. Członek ZLP. Od lat należy do The Anglo Polish Society of the West of England, promując polską kulturę i jej związki z Wielką Brytanią. Laureatka wielu nagród i wyróżnień (m.in. Funduszu Literatury Ministerstwa Kultury i Sztuki oraz Międzynarodowego Listopada Poetyckiego w Poznaniu).

IV

Odwieczne rytuały nagle bez znaczenia.
 Oniemiałe świątynie. Uniwersyteckie
 audytoria. Galerie. Radosnego dziecka
 śmiech nie dochodzi znikąd w nieludzkiej przestrzeni.
 Kto sprowadził TO na nas?! Kto nasz świat podpalił?!
 Tysiące ofiar związał makabrycznym tańcem
 i pozakładał żywym tekstylne kagańce?
 Żebyśmy się wzajemnie nie pozagryzali?
 „Wszystko ma sens duchowy – nic nie jest daremne”
 – czyżby Claudel się mylił? Przecież o coś chodzi,
 kiedy w szczęśliwym miejscu kołyszą się łodzie
 na bezpiecznym jeziorze. I gdy spadnie ciemność,
 księżyc na śpiącej fali składa swój autograf.
 Ktoś przyjazny śle zdjęcie, bym podziwiać mogła.



Wiersze i fotografie pochodzą z tomu *Kruchość. Sonetti a corona* (Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie, Toronto 2020)

KRZYSZTOF KOROTKICH

– literaturoznawca na Wydziale Filologicznym UwB, autor książek: *Wyobrażenia apokaliptyczna Juliusza Słowackiego. Obrazy – wizje – symbole* (2011), *Ścieżki wyobraźni. O wrażliwości i estetyce w literaturze XIX wieku* (2017), *Alchemia ducha. Studia i szkice o twórczości Józefa B. Dziekońskiego* (2019). Autor rozpraw

o literaturze romantycznej i współczesnej, wydawca dramatów Włodzimierza Szturca: *Trauma. Dramaty* (2015) i opowiadań Anny Markowej: *Śmierć* (2016), redaktor książek o pograniczach literatury, kultury i religii. Redaktor naczelny czasopisma studentów Wydziału Filologicznego „Próby”, założyciel i redaktor

Naukowo-Literackiej Serii Wydawniczej „Białostocka kolekcja filologiczna”. Redaktor Naukowo-Literackiej Serii Wydawniczej „Prelekcje Mistrzów Wydziału Filologicznego UwB”. Obecnie prorektor ds. kształcenia Uniwersytetu w Białymstoku.

Wojciech Kass

W MIEŚCIE W. PORANEK

Ona wstaje i zwinnie wciąga majtki,
słyszysz plaśnięcie gumki w nagie biodro?
Znów napiera to miasto światłem
ospałym po nocy jakby się wykluwało
reszką sił z nagrzanego parką łóżka
albo z sierści psa, którą o świcie pogłaskały
czule palce kelnerki pubu „Orfeusz”.
Ile drzwi w tej godzinie domyka się
na zawsze, ilu ludzi odwraca plecami
wzgardziwszy porankiem, ile bram otwiera
na przestrzał, na porywisty przeciąg?
W południe wtargnie tutaj gong słońca
i pokój zalśni jak staw, a co się wyśniło
to ocknie i pobłądzi pijane w poszukiwaniu
swojego obrysu, widzialnego zawiasu.
Wróbelek na balkonie wpada w cień
zmarnowanej snem sąsiadki i znika głębiej.
W jakim ciele to lśnienie, w jakim ubywanie?
Słyszysz plaśnięcie gumki, szum krwi, ty
wpatrzony w połysk mostu nad rzeką?

W MIEŚCIE O. PULS

Zbudziły mnie trzy uderzenia na zegarowej wieży,
 a więc za kilka godzin nie będzie mnie w tym mieście.
 Trzy uderzenia; po czym wypowiedziałem słowa poety:
 z tych, którzy mnie zapomnieli złożyłoby się miasto.
 I zaraz ogród; czy przyrodzona ciemność orzecha
 włoskiego, gruszy jak maszt, śnieguliczki, kutej furty,
 sekretu w ziemi, porzuconego piecyka są kolebką
 światła, czy to światło kołysze ich ciemność?
 Na czubie dalekiej latarni pulsuje złota gwiazda,
 ale to obraz z innej nocy skupionej jak sylweta sowy,
 z gąszczu zastygłego mitu, który drgnął w skale mroku,
 a więc za kilka godzin nie będzie mnie w tym mieście.
 Jeszcze chmurne spojrzenie kelnerki, ciemna brew
 jak brzeg lasu, żyłka na podbródku, ledwie wyczuwalny
 święty puls – ta żyłka budziła moją ciekawość
 jakbym był kociakiem.



WOJCIECH KASS

– poeta i eseista, autor kilkunastu tomów poetyckich. Należy do Stowarzyszenia Pisarzy Polskich i Pen Clubu. Wchodzi w skład redakcji dwumiesięcznika literackiego „Topos”. Jego wiersze tłumaczone są na język: niemiecki, angielski, wło-

ski, francuski, hiszpański, litewski, czeski, słoweński, serbski, chorwacki, bułgarski, rosyjski. Od 1997 r. pracuje w Muzeum Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego w Praniu na Mazurach.

fol. Bogumiła Maleszewska-Oksztol

Wiersze pochodzą z tomu poetyckiego *Metaf. 20 wierszy o położeniu* (Wydawnictwo Austeria, Kraków – Budapeszt – Syrakuzy 2020).

Arkadiusz Aulich

Wrózenie z chmur

Spakowałem świadomość i kilka zbędnych ziemskich fascynacji
tak z przyzwyczajenia

siedzę na walizkach czekając na ostatnią godzinę
czas zwykł igrzać ze mną już od samego końca
początku nie uwzględniając

wszystko zastygło
chmury poruszają się w tempie co najwyżej opieszałym
można by posądzić je o spisek z czasem

zawieszone w zupełnej hipnozie
druga za pierwszą czwarta za trzecią piąta za którąś kolejną
ta na końcu tamta na początku i ta w centralnym środku

z nogi na nogę
podśpiewuję melodię
wpadającą w ucho już od samego słuchania

z tejże perspektywy to już widać co najwyżej nikle światelko
przez gąszcz chmur
tych właśnie co się tak z czasem ułożyły

więc kreślę jakieś znaki na ziemi i myślę czasami o niebie
czy tam też tak bym mógł



Ocalony od czytania

To było jakieś kilka tomów temu
gdy potknąłem się o Tadeusza Różewicza
na bruku wymarłego czytelnictwa

wziąłem go pod pachę z entuzjazmem nieczytania

zamieszkaliśmy obok siebie
na jednej z moich pożółkłych półek
z innymi nieczytanymi Tadeuszami Różewiczami

nie czytamy się już od kilku tomów

ARKADIUSZ AULICH

– urodzony w 1979 w Kutnie – mieście róż. Z wykształcenia technik weterynarii. Życiowy outsider, uwikłany w życie po życiu. Poszukujący sensu istnienia w oparciu o empiryzm. Wydał tomiki wierszy: *Dom czystych myśli* („Miniatury”, Kraków 2018), *Odmienne stany świadomości* („Liberum Verbum”, Wrocław 2019). Publikował w: „Szufladzie”, „Wydawnictwie j”, „Eprawdzie”, „Helikopterze”, „Obszarach Przepisanych”, uczestnik projektu „Multipoezja”.

ra”, Kraków 2018), *Odmienne stany świadomości* („Liberum Verbum”, Wrocław 2019). Publikował w: „Szufladzie”, „Wydawnictwie j”, „Eprawdzie”, „Helikopterze”, „Obszarach Przepisanych”, uczestnik projektu „Multipoezja”.

Stanisław Kwiatkowski

czyste myśli

wpadliśmy w drzwiach
ona wychodziła z kefirem
ja wchodziłem po tytoń

w sukience na ramiączkach
z wytatuowanym ptakiem
na czole zapaliła się lampka

już prawie chwyciła klamkę
przy stoisku z warzywami
sięgnęła po banana i kiwi

staliśmy naprzeciw siebie
w kolejce tylko we dwoje
nie spuszczałem jej z oczu

po pracy zjadłem kalafiora
w samych majtkach upał
na zewnątrz duchota i parno

nad umywalką lepka aneta
położyła mi cycki na plecach
rozgrzane rondle pełne mleka

pogrążyły mnie kompletnie
w marzeniu o zimnym prysznicu
z hebanową dziewczyną z żabki

stachuriada

lekko wilgotna trawka w sandałach
nie odstresowuje ciebie w ogóle
wrzuć do torebki coś mocniejszego
mogę załatwić porcję amfetaminy

pioruny przestaną być straszne
będziesz niewyciężona jak tygrys
królewski czołg z potężną armatą
poradzisz sobie z najcięższą burzą

w nocy nie zdziwi cię widok tęczy
z podwójnie pobudzoną wyobraźnią
naprawdę wyda się tobie że możesz
nadjeżdżającą ciuchcię zrzucić z torów

torbą od jenny dzielisz ją między oczy
a co mnie tu takie pudło będzie jeździć
po mojej ścieżce wysypanej kruszywem
dalej jazda mi stąd ty biała lokomotywo

STANISŁAW KWIATKOWSKI

– urodzony w Hajnówce. Z wykształcenia filozof, absolwent Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie.

Ma dużo wolnego czasu, który przeznacza na pisanie. Obecnie mieszka w Radomiu.

Katarina Lavmel

Gdybym była twoją morelą,
szumiałabym ci na ucho o tym, jaka jestem pyszna.
Przylgnąłbyś nozdrzami do kory.
Gładziłbyś mnie po liściastej koronie.
Zrywałbyś dojrzałe owoce, sunął dłonią po pniu
od dołu do góry,
wargami okrążał korzenie,
dotykałbyś mchu. A kiedy bym właśnie kwitła,
ciągnęła soki,
obciąłbyś mi tylko suche pędy
i osłonił przed mrozem.

Przy tobie mogłabym zostać
morelowym sadem, a nawet plantacją.
Miąszkiem i sokiem
mogłabym wyżywić nas oboje, dzikie ptactwo,
mrówki, pszczoły miodne...

Gdybym była morelą
i gdybyś mieszkał w szalasiu pode mną,
miałbyś słodkie życie,
czyste serce i płuca,
konfitury i chrust na czarną godzinę.

I po co... te odejścia aby szukać przestrzeni
i labirynty pierwotnie wielkości kosmosu
cisza która – gdy rodzi się
– dźwięczy decybele bierze sobie na służbę

a jałowe chwile spiskują w głowie
przeciwko ulgom i beztroskom
de facto – knujesz sam przeciwko sobie
wierzysz że one nie są twoje tylko telewizyjne
a przecież wystarczy byś zrobił obrót w tył
zajrzał tym straszdyłom głęboko w źrenice
pamiętaj że każdy koniec
to sponiewierany początek

żyjesz w przeczuciu
że Trójkąt Bermudzki jednak wypuścił z garści
wróbla i łabędzia – twoje cherubiny

KATARINA LAVMEL (pseudonim artystyczny Katarzyny Nazaruk)

– poetka, animatorka kultury. Organizatorka i pomysłodawczyni dwóch edycji Biesiady Poetyckiej w Kobylnicy oraz siedmiu edycji konkursu poetyckiego dla uczniów szkół ponadgimnazjalnych ze Słupska i powiatu słupskiego. Autorka trzech tomików poetyckich: *Żona Beduina* (Bydgoszcz 2011), *Szept i Przestrzeń* (Warszawa 2014), *Anturaż* (Poznań 2019). Jej wiersze znajdują się w almanachach pokonkursowych,

antologiach polskich i międzynarodowych. Publikowała w czasopismach kulturalnych i społecznych na terenie Polski i Europy. Jej twórczość była tłumaczona na języki: angielski, rosyjski, portugalski, hiszpański, białoruski. Wiersze publikowała w antologiach i czasopismach: „Topos”, „Akant”, „Liry Dram”, „Poezja Dzisiaj”, „Angora”, „Mroczna Środkowo-Wschodnia Europa”, „Kontury”,

„Powiat Słupski”, „Pegaz Lubuski”, w czasopismach hiszpańskich, m.in. „ALHUCEMA” Revista Internacional de Teatro y Literatura nr 40/2020, „Luz Cultural Magazine de Informacion Cultural 12 jenero, 2020” (Hiszpania), a także na literackich stronach i blogach internetowych. Otrzymała Brązowy Medal Senatu RP za działalność na rzecz kultury w Polsce 2013 r.

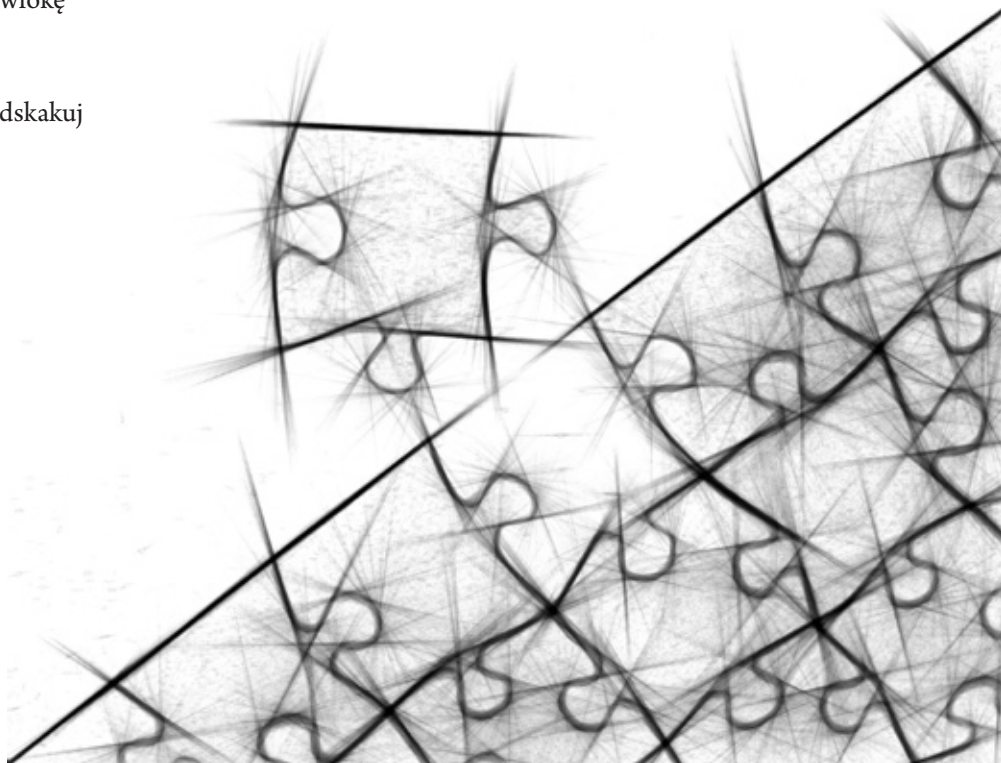
Małgorzata Dobkowska

TERAZ TWOJA KOLEJ

interesują mnie stany nieokreślone
stany przejścia
kiedy nie wiesz
co wynurza się z liścia horyzontu
co jest pomiędzy pomiędzy
przepoczwacza zmienia się
ewoluuje w kształt
przedmiot podmiot

i wtedy mówisz
witaj w tym obłoku
wymiarze skórze
tu i teraz
fascynująco piękna
i brzydka istota
zaznawaj teraz
próbuj i tańcz

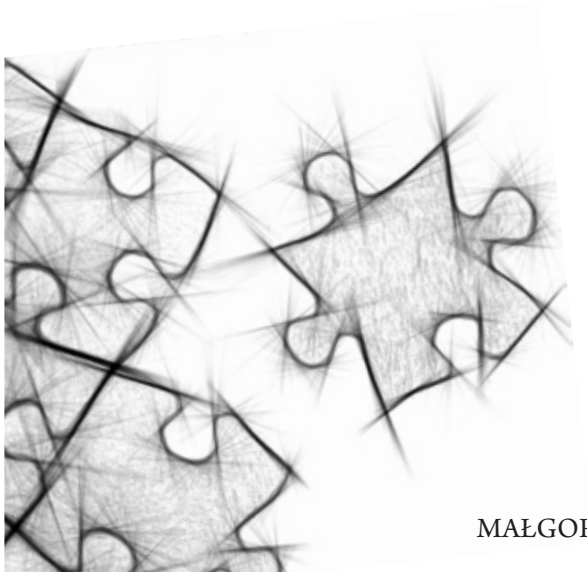
zsuwam zrzucam powłokę
bierz ją
przyjmuj pałeczkę
machaj nią ćwicz podskakuj
wyglupiaj się klej
strugaj bohatera
herosa mitu
teraz twoja kolej
twoja wersja
pieśń wędrująca
z ust do ust
kopia przechodniu



SAMO – WYTRĄCANIE

wielkość obezwładnia
 ratunek w symbolu
 znaku muszli perle
 destylacji morza

muszlę podarunek
 trzymasz w ręku
 kruchym
 zmiennym
 jak my dwoje



MAŁGORZATA DOBKOWSKA



– białostoczanka, poetka, bibliotekarz. Jej teksty prezentowane były m.in. w: „Okolicy Poetów”, „Studium”, „Kartkach”, „Kinie”, „Bibliotekarzu Podlaskim”, „Kontaktach”, antologiach (np. esperanto, litewskiej). Nagrodzona m.in. w: III Konkursie o Nagrodę Skrzydła Ikara, Katowice – Ostrawa 2000; I Ogólnopolskim Konkursie im. Anny Świrszczyńskiej, „Studium”, Kraków 1999; Konkursie na arkusz poetycki, „Kartki”, Białystok 2002; zdobyła Grand Prix w XI Ogólnopolskim Konkursie o Laur Klemensa

Janickiego, Poznań 2003. Wyróżniona m.in. w IX Ogólnopolskim Konkursie o Laur Klemensa Janickiego, Poznań 2001. Jej debiut książkowy to tomik *Zatopione w słowach*, który ukazał się w 1999 roku. Nagrodę Literacką im. Wiesława Kazaneckiego otrzymała za tom następnym *Azymut* (2006). W 2015 roku ukazały się *Przełęcz* – kolaż wierszy i zdjęć wykonanych przez autorkę, a w 2018, nakładem Książnicy Podlaskiej im. Łukasza Górnickiego w Białymstoku, ukazał się tom *Dziki ogród*.
 fot. Bogumiła Maleszewska-Oksztol

Marek Górynowicz

Berlin

nie zdejmuj kapelusza
wyczarowaliśmy to miasto na nowo
dziś jesteś już matką
wczoraj tylko nieproszonym gościem

szelest
to jeszcze nie jesień
tylko Kreuzberg w kolorze herbaty
poranni graficy malują imago

w mieszkaniu koci wzrok
S-Bahn cieniem wkrada się do okien
wiem lubisz przebudzone książki
spały ze mną w Twoich snach

nie odwracaj się
wczoraj zostało na zdjęciu
był magik i królik
potem zniknęli z Facebooka

Kijów

opowiedz mi o deszczu
gdy za oknem ruda jesień
konie biegną po niebie
nie ma słońca jest cisza
nie ma drzew zostały liście

każde słowo porywa wiatr
unosi śpiące mosty
w Pijanej Wiśni
szklanki grają na stole
kelner zamyka dzień

sen koty drapie po mordkach
idąc spać zmywam tatuaże
jutro zabarwisz mnie na nowo
pieszczoty w pierzynie
oczekują nagich ciał

otwieram wino i parasol
teraz wszystko się zlewa
w jedną sekundę rozkoszy
toast za mokrych gości
którzy zasnęli w tramwaju



MAREK GÓRYNOWICZ

– rocznik 1967, urodzony w Białymstoku. Hybryda czasów analogowych i cyfrowych, człowiek, który pamięta jak było przed Internetem i z zacięka-

wieniem obserwuje dzisiejszy świat. Amator podróży, wielbiciel śródziemnomorskich klimatów, w wolnych chwilach pisze wiersze.

fot. Justyna Sawczuk

Wojciech Muszyński

Pojutrze Rubikon

Kiedy wszystkie Twoje wiedźmy
 Odlecą już na sabat
 To znak, że pojutrze przekroczysz Rubikon
 Nowa Pascha i Nowa Jerozolima
 Jutrzenka na dalekim wschodzie Polski B
 Karta postojowa pod drzewem Bodhi straciła ważność
 Kreślone pospiesznie kamienne tablice
 Porosły erozją i mchem
 Czas wejść do Obiecanej Stolicy
 To będzie triumfalny wjazd
 Łono Kleopatry już czeka
 Lecz pamiętaj
 Jesteś tylko człowiekiem!

The End

Momenty naszego życia suną
 Majestatycznie w dół jak napisy końcowe
 To koniec projekcji i zaraz zapalą światła
 A ciszę sali przetnie kurtyna katharsis
 Jednak jeszcze nie wychodzimy i oglądamy
 Czy znasz tego Pana, czy był tylko statystą w naszym życiu?
 Czy scenariusz naszej doli pisał Billy Wilder, a może Bracia Cohen?
 I oczywiście musisz wiedzieć, czy przy tej produkcji
 Nie ucierpiało żadne zwierzę
 Wychodzimy... Fin



WOJCIECH MUSZYŃSKI

– urodzony na północno-wschodnich rubieżach Rzeczypospolitej, w Białymstoku. Za dnia bibliotekarz, „po nocach” literat. Studiował filologię polską i filozofię, aktualnie studiuje sam siebie. Po godzinach sypia w lesie, ćwiczy uważność i „ciacha” mieczem. Literacka świeżynka.

fot. Bogumiła Maleszewska-Oksztol

Piotr Janicki

Dumna zmierzanina

Człowiek, jak pierwszy poruszyciel, chciałby to czy tamto.

W obu wariantach możliwy jest świat (dziękuję ci za twoją nieustającą pracę,
 pierwszy poruszycielu; skądinąd wiemy, że całymi dniami przesiaduje z kulawą
 parką: swoim królestwem oraz nieludzkim wysiłkiem i ta parka głądzi: jak daleko dziś
 doszedłeś, a wtedy on odpowiada, że do planszy, w której sierpówki lecą nad szkołą
 w dniu wyboru butów).

Moje bieżące myśli

W pudełku nade mną stoją donaty z polewą kakaową i pasemkami białego lukru
 w rzędach co grubość palca.

Ich drażniący zapach unosi się w naszym kontenerze od marcowego Dnia Kobiet.
 Wpisałem nazwę miesiąca, żeby nie dodawać nic więcej do obrazu tego leniwego
 roku, w którym można każdorazowo wskazać powód dla nawet nieznacznego następstwa;
 na przykład już drugi kwadrans od wiejącego na ziemi wiatru na niebie kitwaszą się chmury.



PIOTR JANICKI

– poeta mieszkający w Supraślu, w latach 2005–2009 współtworzył poetycki zin *Cyc Gada*. Autor czterech tomów: *Nadal aksamit* (2006), *Wyrazy uznania* (2014), *13 sztuk* (2016) oraz tomu poetyckiego bez tytułu, określanego mianem *Psiej książki* (2018). Laureat Nagrody Literackiej Gdynia 2015 w kategorii poezja za *Wyrazy uznania*, w 2017 roku nominowany do Wrocławskiej Nagrody Po-

etyckiej „Silesius” w kategorii książka roku za *13 sztuk*, w 2019 roku zdobywca Nagrody Literackiej Prezydenta Miasta Białegostoku im. Wiesława Kazaneckiego za *Psią książkę*.

Zapytany o swój biogram, odpowiedział: „Urodzony w 1974 roku w Białymstoku. Mieszka nad rzeką. Ulubione perfumy: BOSCH. Ulubione zwierzę: słoń z wody”.

fot. Mona Al-Kaber

Marika Aleksandra Sochoń

Wiatr

Jednym westchnieniem rozwiewasz mi włosy,
 bałagan w sercu,
 myśli,
 przestudiowane wątpliwości.
 Nic więcej mi nie potrzeba – pomyślałam sennie.

Gdy już czasem się zjawisz – od święta
 to zrywasz mi z dębów wiekowych, z mego dzieciństwa wiecznego
 zaschnięte już szepty lata – teraz kolorowe.
 By utkać krwawobarwny dywan nam na złość,
 okryć nim marmurowe wspomnienie bliskiego mi zmarłego
 i osłonić skrzętnie wspomnienie małego końca
 wypisane dla pamięci: zm. 3.11.1977 r.

tak gdyby ktoś zapomniał raz do roku 1 listopada.

Kolejnym razem zjawisz się wraz z dreszczem na karku
 nam, żywym jeszcze niosąc puchową pierzynę lodu,
 by przypomnieć, że biel i szarość to też kolory życia tutaj.

I tak nieskończenie goniąc gdzieś
 obłoki na niebie, dźwięki radości, zanieczyszczenia powietrza,
 mącisz mi czule ciszę w mieszkaniu oraz porywasz
 w swym pędzie jakąś nostalgię, w której bez cudzej krzywdy
 się nie obejdzie.

MARIKA ALEKSANDRA SOCHOŃ

– urodzona w 1997 roku, absolwentka II Liceum Ogólnokształcącego im. księżnej Anny z Sapiehów Jabłonowskiej w Białymstoku, od 2016 roku studentka prawa na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Zamiłowanie do literatury, a w szczególności po-

ezji, poczuła już w szkole średniej. Obecnie swoje zainteresowania w obrębie studiów ukierunkowuje na zagadnienia nauk penalnych, przede wszystkim prawa karnego. Oprócz realizowania się na płaszczyźnie naukowej oraz humanistycznej nieodłącznym elementem jej codzienności już od

dzieciństwa są treningi pływackie, obecnie odbywające się w sekcji Akademickiego Związku Sportowego. W ramach członkostwa w tej organizacji, reprezentowała także wielokrotnie Uniwersytet Jagielloński na Akademickich Mistrzostwach Polski w pływaniu.

Patricia Meunier

Valovie

I

J'ai rêvé une maison de bois
Qui te ressemblait beaucoup
Elle faisait les milles coups
Et riait au soleil, comme toi!

II

Le bois à Valovie est tout vivant, tout en dedans
Tout grignoté mais d'une grande beauté
Les grandes personnes n'en veulent pas, non vraiment
Ils disent qu'il est tout troué, bon à jeter!

Le bois à Valovie est tout fendu, tout déçu
Il est tout mangé et tombe en poussière
D'or sur les planches de bois tordus
Il semble dire: Regarde, comme j'ai beaucoup vécu!

Le bois à Valovie est très âgé comme il y paraît
Tout usé et rempli de vieilles histoires
Qu'il aime à raconter; comment je le sais?
De toute façon vous ne voudriez pas me croire!

III

Comme Valovie est belle!
Comme tout a fleuri!
Les herbes, les feuilles, les pissenlits!
Tout a repris de plus belle!

Tout Valovie autour de moi
Chante, souffle, brûle et croît
Ici les herbes, là les oiseaux
Le chat, dans sa gueule un mulot

Tout Valovie est là, grasse et fière
Eclatante dans le petit jour
J'embrasse d'un regard ses près, ses rivières
Qui de loin me passent le bonjour!

Na Walowej Górze

I

Marzyłam o drewnianym domu
Bardzo do ciebie podobnym
Tyle zabawnych rzeczy się w nim działo
I śmiał się do słońca jak ty!

II

Drewno domu na Walowej jest żywe
Całe pogryzione, ale bardzo piękne
Wielcy ludzie naprawdę go nie chcą
Mówią, że same dziury i że nadaje się do wyrzucenia

Drewno na Walowej jest splekane i zmarniałe
Całe zjedzone i sypie się w proch
Powyginane złote deski
Zdają się mówić: spójrz jak wiele przeżyliśmy!

Drewno na Walowej jest bardzo wiekowe
Całkiem zużyte i pełne dawnych historii
Które z lubością opowiada; skąd wiem?
I tak byście mi nie uwierzyli!

III

Jakże piękna jest Walowa!
Jak wszystko znów zakwitło!
Trawy, liście, mleczce!
Wszystko zaczęło się od nowa!

Cała Walowa wokół mnie
Śpiewa, oddycha, płonie i rośnie
Tu ziola, tam ptaki
Kot z myszą polną w pyszczku

Mam tu całą Walową, wspaniałą i dumną
Promieniejącą już od świtu
Jednym spojrzeniem obejmuję jej łąki i strumienie
Które przesyłają mi pozdrowienia

Na język polski przełożył Maciej Głogoczowski

Witow

J'ai réveillé la vieille maison de bois
 Des mouches sont nées, croyant au printemps
 Au dehors la tourmente depuis plus de cent ans
 Et sifflait le vent dans les fêlures du bois
 Le vieux poêle tout barbouillé de poésie
 S'échauffait de son mieux, il était très sérieux
 Et pour vous dire la vérité, il m'aimait
 Bien! Dans le vieux buffet peinturluré
 Un peigne à myrtilles attendait son heure
 Il avait bien perdu une dent mais se savait important
 Aussi! Il y régnait toute une agitation
 Dans cette maison, que nul ne voyait
 Si ce n'est moi! Et vous savez pourquoi?

Witów

Obudziłam stary drewniany dom w Witowie
 Muchy zewsząd wylaziły, wierząc w nadejście wiosny
 Na zewnątrz od ponad stu lat trwały zawirowania
 A wiatr gwizdał przez szpary w drewnie
 Stary piec, usmarowany poezją,
 Grzał najlepiej jak potrafił, był bardzo poważny
 I prawdę mówiąc, kochał mnie
 Bardzo! W starej malowanej skrzyni
 Grzebień do zbierania jagód czekał na swój czas
 Stracił kiedyś ząb, ale wiedział, że jest ważny
 Również! Dużo się działo
 W tym domu, którego nikt nie widywał
 Oprócz mnie! A wiesz dlaczego?

Na język polski przełożył Maciej Głogoczowski

PATRICIA MEUNIER

Wiersze pochodzą z tomu
Na Walowej Górze (Białystok 2020).



– urodziła się w Paryżu, w rodzinie polsko-francuskiej. Studiowała literaturę francuską na Uniwersytecie w Paryżu (Université Paris-Est-Créteil-Val-de-Marne, „Paris XII”), później sztukę na Akademii Sztuki w Hawrze (École Supérieure d'Art du Havre) oraz na Akademii Sztuk Pięknych w Nîmes (École Supérieure des Beaux-Arts de Nîmes).

W 1998 roku przyjechała do Polski i zamieszkała początkowo na Walowej Górze w Zakopanem, gdzie pod opieką artysty rzeźbiarza Stanisława Cukra zaczęła tworzyć rzeźby w brązie. Dwuletni pobyt na Walowej Górze zaowocował tomem poezji inspirowanej naturą *Les Villageoises* (w wersji polskiej podzielony na dwa tomy: *Na Walowej Górze* i *Wieśniaczki*). Wcześniej, podczas studiów we Francji, powstał tom poezji *Les Cathédrales* (*Katedry*) zrodzony z zachwyty epoką śre-

dniowiecza. Po powrocie na kilka miesięcy do Francji, Patricia Meunier napisała powieść autobiograficzną *Une Parisienne à Zakopane* (*Paryżanka w Zakopanem*).

Od 2008 roku mieszka na Podlasiu. Na przełomie 2010 i 2011 roku w Muzeum Rzeźby Alfonsa Karnego w Białymstoku odbyła się jej pierwsza w Polsce wystawa rzeźb inspirowana sztuką średniowiecza „Rozum – Serce – Zmysłowość”. W 2011 roku wystawiała swoje rzeźby w Galerii „C” w Ciechanowie. Brała udział w Biennale Medalierstwa w Seixal (Portugalia) w 2002 roku i w Paryżu w 2003 roku. W 2002 roku uczestniczyła w VIII Krakowskim Triennale Rzeźby Sakralnej. Prowadzi w Białymstoku warsztaty z ceramiki dla osób niepełnosprawnych. W 2018 r. Maciej Głogoczowski zajął się tłumaczeniem tomiku *Katedry*, a w 2020 *Na Walowej Górze*. fot. Bogumiła Maleszewska-Oksztol

Malika Ledeman

Mężczyzno na M., chciałabym wiedzieć

chciałabym wiedzieć
dlaczego smutniejesz
gdy mówisz
o wojnie

brunatna kawa
nie musi być tym
co wypijesz
ostatnie
a myśli splątane
oddzielisz od sterty
spoconych ubrań

bo skończył się prosek
ten z dozą nadziei

czasami, gdy patrzę
to myślę o Tobie
sarnimi oczyma
rozpuszczam
energię
powoli, wzdłuż splotu
przez siedem życ
i siedem grodów
spadając jak kot
na cztery

no właśnie

cztery to dobrze
mówiła tak matka
moja czy Twoja
wszyscy siedzimy
w tej samej
ławce
uczącej przetrwania

dlatego zapytam
bo chciałabym wiedzieć
dlaczego smutniejesz
gdy mówisz o wojnie?

strach przed nieznanym
dziś tłamsi świadomość

Kobieta wyciera Maryjkę z kurzu

Pręty z żeliwa wygięte w kształt krzyża
 Pion i poziom
 W plastycznym tańcu splatają osie
 Umieszczając na środku kobietę w wianku
 Ze źrenicami niebieskimi
 Skierowanymi ku lunarnemu niebu
 I chmurze

Dłonie z koronki złożone w trójkąty
 Jajka i mleko
 Na miękko wkładane
 Do szafki w spokoju prozie
 Gładząc tradycję podlaskiej chaty

Tyka
Zegar
Bardzo
Powoli
Tak
Bez tik

Od lat

MALIKA LEDEMAN

– kobieta zgłaszająca obecność. Jak sama mówi: żyje, pisze i czyta. Żyje z pisania albo pisze, by żyć. Kolejność dowolna. Słupszczanka, która po siedmiu latach spędzonych w Poznaniu przeniosła się do podlaskiej, drewnianej chaty, by później rozłożyć swą matę do jogi na parkiecie warszawskiej kamienicy. Pielęgnuje rośliny i życiowe relacje, a stolica nie przeszkadza jej w odnajdywaniu spokoju. W okolicznych kawiarniach szeptała, że od wielu lat jest dziennikarką związaną z kulturą i sztuką – nie boi się poruszać również tematów związanych ze świadomością, ale i psychiką czy chorobą człowieka. Pierw-

sze, literackie kroki stawiała w gazecie „Freshmag”, „Vege” czy „Slow”, by później stać się współzałożycielką ogólnopolskiego wydawnictwa prasowego, a tym samym redaktorką naczelną magazynu „Kraft”. Od kilku miesięcy twórczyni autorskiej idei: Duszopisarstwa – kobiecych warsztatów pisania sercem, gdzie uczy wyrażania siebie za pomocą słowa. Kto wie, dokąd doprowadzi ją ważenie słów i bycie cyfrową maszynistką? Sprawdzi w wolnym czasie, sącząc kawę z fusami i gubiąc się w lesie. To jej recenzja spokojnego życia.

fot. Angelika Marciszewska/prywatne archiwum Maliki Ledeman



Anna Czartoszewska

To nieprawda, że

Mam w głębokim rymowaniu
to, co inni o mnie myślą.
Ubieram myśli na cebulkę.
Warstwa po warstwie zakładam nadzieję,
zdejmuję przeszłość, odkrywam przyszłość.

Przyszłość jak kolejny wiersz – niewiadomą,
uszytą na miarę, nie za ciasną.
Zwrotki zapinam na pętelki.
Pętelki liczę. Terazniejszość nie chce zasnąć.

ANNA CZARTOSZEWSKA



– członek Nauczycielskiego Klubu Literackiego w Białymstoku, pisze wiersze, opowiadania, piosenki. Współautorka wielu antologii, autorka książki *Co jest najważniejsze?.* Laureatka pierwszych nagród w ogólnopolskich konkursach literackich: „Bajka z przesłaniem”, III Konkursu Jednego Wiersza w Ciechanowcu, V Turnieju Jednego Wiersza im. Elżbiety Daniszewskiej. Nagrodzona drugim miejscem w ogólnopolskich konkursach literackich: im. Zbigniewa Jerzyny oraz im. Witolda Hulewicza,

a także „Fraszka – Igraszka – Ku pokrzepieniu serc”, „O Diamentowe Pióro” i „Herbatka u Grabskiego”. Wyróżniona w XIV i XVI konkursie im. Melanii Burzyńskiej pn. „Poezja życiem pisana” oraz drukiem w antologii pokonkursowej IV Ogólnopolskiego Konkursu Chopinowskiego „Hymn zachwytu”. Publikowała w lokalnej prasie, w Kwartalniku Literackim „Najprościej”, w „Rycerzu Młodych”. Prywatnie szczęśliwa żona, mama czwórki dzieci.

fot. archiwum prywatne Anny Czartoszewskiej

Teresa Radziewicz

lekcja

pan ś
 lekcje musi odrabiać codziennie,
 świątek czy piątek, nie ma wyjątków.
 deszcze czy śniegi, upały czy burze,
 każde zadanie wypełnia
 do końca. dużo pracuje, często nocami,
 nikt nie pyta, czy ma czas i ile.
 pan ś zabiegany, pan ś zmęczony,
 pan ś, przysypiający na kawałku nieba,
 nie wie, co to miłość, nie zdąży
 poznać jej smaku, nie zdąży
 napęlić ust wodą żywą,
 nie zdąży.

lekcje odrabia codziennie,
 nie korzysta z pomocy,
 korepetycji nie pobiera,
 nie ma zaległości.
 pan ś

wigilie

gdy kiedyś spotkam pana ś, zapytam, co robi
 w wigilię. odpoczywa? świętuje? przemawia
 ludzkim głosem? a może ucieka w kolejne strefy czasowe
 i odnajduje się w pierwszy dzień świąt? a gdyby tak

prześledzić statystyki, sprawdzić, czy liczba zgonów
 w wigilię jest porównywalna z liczbą ostatnich godzin
 w dni powszednie? a może pan ś działa przypadkowo

i nieistotny okazuje się kolor w kalendarzu? albo że
 po spotkaniu z okrutnym h, po rzezi niewiniątek,
 pracuje tak ciężko, że później bierze wolne,

a wieczorem z niejakim archaniołem g
 przysiadają za stajenką i piją zdrowie dzieciątka,
 przez chwilę spokojni o świat

Wiersze pochodzą z tomu ś
 (Książnica Podlaska im. Łu-
 kasza Górnickiego w Białym-
 stoku, Białystok 2020).

TERESA RADZIEWICZ

– autorka książek poetyckich: *lewa stro-
 na* (Łódź 2009 – Nagroda Literacka Pre-
 zydenta Miasta Białegostoku im. Wie-
 sława Kazaneckiego), *Sonia zmienia imię*

(Łódź 2011), *Samosiejki* (Olkusz 2011),
rzeczy pospolite (Warszawa 2014), *pełno
 światła* (Białystok 2016) oraz ś (Biały-
 stok 2020).

Michał Ciruk

Przepraszam

Przepraszam
 że piję czarną wodę
 i gryzę słońce
 drwię z życia jak z ochłapu
 bo szukam krzty ciepła
 zapominam o pamięci
 bo wrzeszczy we mnie goły dzieciak
 nagi malec wyśmiany przez życie

Przepraszam
 że wczoraj nie dostrzegłem
 Twego smutku
 minąłem Cię jak błąha zefir
 całkiem zatroskany swoim sobą

Przepraszam – jestem tylko
 obrazkiem Nikifora
 krzykiem za półdarmo
 i naiwnym końcem

Mim

jest podest
 puder mima
 teatralne fotele
 szminka nieuśmiechu
 kurz
 i skrzynia na której można stać
 szubienica ze statywu
 mi-kro-fon i...

trzeci dzwonek na ciszę
 cyń!... zaczynamy...

gromkie brawa na pustej sali

Wiersze pochodzą z tomu
Noceany i Popapranki (Książ-
 nica Podlaska im. Łukasza
 Górnickiego w Białymstoku,
 Białystok 2020).



MICHAŁ „CIRA” CIRUK

– raper, twórca rysunków i obrazów, poeta. Współtwórca zespołów: Panorama Paru Faktów i Fama Familia, prowadzi także solową działalność artystyczną. W jego dotychczasowym dorobku znajdują się m.in. albumy: *Zpracowany Obibok 2*, *Plastikowy Kosmos*, *Głodni z Natury*, *Niewidzialny Celebryta* oraz *Pocz-*

tówki z miasta B. (I i II część), zawierające utwory ukazujące charakterystyczne miejsca Białegostoku, przywołujące znane postaci oraz fragmenty historii tego miasta.

W 2020 roku ukazał się jego debiutancki tom poetycki *Noceany i Popapranki*.

fot. Bogumiła Maleszewska-Oksztol

Józef Zenon Budziński

Nie mam
Twarzy anioła
Ani świętego
Mam twarz
Stworzoną
Na obraz Twój
I podobieństwo
Twoje

Ziemia
To diament
Na dłoni
Boga

Zmarszczki
Powoli zamykają
Kalendarz
Podają łyk
Wiecznej kawy
Słowa milkną
Pachnie rajem



JÓZEF ZENON BUDZIŃSKI

– poeta, eseista, animator życia literackiego, teolog, z zamiłowania bibliofil, wielbiciel malarstwa, rzeźby oraz sztuki regionalnej. Autor publikacji poetycko-eseistycznych i tomów wierszy, m.in. *Przekroilem niebo krążkiem księżycy*, *Szukam Twoich śladów*, *Odmów ze mną* i *Spojrzenie słów*. Jego utwory poetyckie i eseje ukazały się w kilkudziesięciu antologiach

literackich i były tłumaczone na języki: białoruski, ukraiński i estoński. Jego twórczość zalicza się do liryki czystej, opisującej ulotność doznań i chwilowość ludzkiego życia. Członek Związku Literatów oraz Stowarzyszenia Autorów Polskich (SAP). Mieszka i tworzy w Grójewie.

fot. Bogumiła Maleszewska-Oksztol

Artur Jan Szczęsny

A jeśli

gdy słońce wczesnym rankiem przenika zza chmur
jest czas narodzin – czas wybranej modlitwy
a kiedy słońce patrzy ci prosto w twarz
to czas narodzin ale nie czas bitwy
lecz wieczna prośba – ciągle musi tu być
trwać w blasku który zaślepia nam oczy
bo jeśli będziesz widział ze wszystkich sił
nic czego nie znasz cię nie zaskoczy

a jeśli chciałbyś nagle przywołać deszcz
wmódl się w najcichszą ciszę poranka
a jeśli chciałbyś pewność mieć że jednak wiesz
to popatrz w światło między wełną baranka

a jeśli chciałbyś użyć wszystkiego co sił
pozostań drwalem bo to jest twarda droga
by używając prostych siekier i pił
wyrąbać schody do Nieba do Boga

słońce skoro świt rozfaluje ten dzień
i jasność ponad drogą ogarnie idących
w górze skowronek niżej zmieszany pył
który powietrze dzieli lecz i nas łączy
tam prosto idź i rozgarniaj lby traw
tam jest melodia której dziś nie usłyszysz
tam idź i staraj się nie spojrzeć w tył
bo kto posłucha pisku polnych myszy

a jeśli chciałbyś spojrzeć w złote oczy ze snu
to sen miej jasny i suchy jak talk
bo obraz może zjawić się przedziwny tak
że nie dostrzeżesz żadnych znajomych barw
a jeśli chcesz pod słońce skierować wzrok
pamiętaj – słońce nadwidomą ma twarz
i z ilu byś nie zechciał złuszczyć go warstw
to każda chmura odmieni ten stan

powietrze wszędzie jest i pod słońcem lśni
czy szarpia struny czy łapia za sznur
bo ludzie ludziom chętnie gotują los
kiedy czas nie liczy nocy i dni
a kiedyś ludzie zwykle wstawali co dnia
by czekać aż ich powiodą anieli
by kosić wiązać zwozić młócić i żąć
by zalec wreszcie w krochmalonej pościeli

a jeśli chciałbyś kiedyś poznać ten czas
to musisz cedzić wspomnienia ostrożnie
bo każdy często wspominać by chciał
sny i wspomnienia które sam nazbyt stworzył

a jeśli zaćmił księżyc bystry nocny twój wzrok
pamiętaj że pośród każdej warstwy ciemności
między cieniem cienia błądzi twój krok
lecz jednak tam wykwita cień kwiatu paproci

bo pośród cieni możesz odnaleźć cel
gdy świt przychodzi zanim nadejdzie zmierzch
tam właśnie dzikie cienie chowają się
tam zawsze kapie w oczy wciąż nowy deszcz
tam też cień snu przyjdzie ostatkiem sił
szary i znojny jak pełny wóz
ciemny ponury i ciężki też
lecz przecież ranek przychodzi już

a jeśli bym zawołał czy przyjdiesz tu
jasna wesoła bryzo poranka
jeśli bym zawołał czy powiesz mi
ile jagód zebrałaś do dzbanka

a jeśli bym zapytał czy warto być
tym który czeka na czas niespodziany
bo przecież niecierpliwie kłębi się lud
i czeka na cud pod świątyniami

Biały atrament

Piszę białym atramentem,
więc nie widzą moich wierszy
i nie dziwię się, bo cóż,
nie ja byłem pierwszy.

Kiedyś było, że ja też
pisałem barwami tęczy,
no i teraz przecież wiem,
tam być, to być prawie pierwszym.

I nie tym, co pierwszy ma
pomysł, który jest proroczy
lecz tym, który powie: ja
i na miejsce wskoczy.

Nie narzekam przecież – też
byłem u dojnego źródła.
Z niego piłem ciemną krew
a ciągle pełna jest studnia.

Piszę białym atramentem
nie doradzam do tej studni
iść – lecz teraz studnia sama
idzie do was – dają wodę

na natchnienie, na urodę
na wysmukłość, na przetrwanie...
Ale ciągle jeszcze jest
źródło życia – z niego bierz!

Wiersze pochodzą z tomu
Zdroje niespokojne (Książ-
nica Podlaska im. Łukasza
Górnickiego w Białymstoku,
Białystok 2020)



ARTUR JAN SZCZĘSNY

– urodzony w 1964 roku w Krakowie, od 1979 mieszka na stałe w Białymstoku. Pracował jako dziennikarz, reporter, redaktor, grafik komputerowy. Pracował m.in. w: „Tygodniku Białostockim”, miesięczniku „Plus”, „Gazecie Współczesnej”, miesięczniku literackim „Bez nazwy” i piśmie literacko-plastycznym „Kartki”. Od 2017 roku jest pracownikiem Filii nr 9 Książnicy Podlaskiej. Autor siedmiu

tomików poetyckich oraz współautor antologii wierszy poetów z Białostocczyzny. Uczestnik i laureat konkursów literackich (m.in. Konkurs Poetycki im. Jana Kulki, Ogólnopolski Konkurs Poetycki „O Buławę Hetmańską”). Nagrodzony odznaką Zasłużony Działacz Kultury za działalność na rzecz wolnego słowa w latach stanu wojennego oraz Krzyżem Wolności i Solidarności.

fol. Justyna Sawczuk

V Festiwal Literacki „Autorzy i książki. Podlaskie podsumowanie”

Spotkania autorskie, warsztaty, debata, koncerty i konkursy – w sumie 40 wydarzeń kulturalnych. Tak zapowiada się V edycja Festiwalu Literackiego

„Autorzy i książki. Podlaskie podsumowanie”, organizowanego przez Książnicę Podlaską im. Łukasza Górnickiego w Białymstoku.

V edycja festiwalu będzie po raz pierwszy w całości realizowana w formule on-line i potrwa od lutego do czerwca 2021 roku. Organizatorzy postawili na różnorodność tematów i form, tak by każdy, niezależnie od wieku, znalazł w festiwalowej ofercie coś dla siebie. Do uczestnictwa w festiwalu zaproszeni zostali m.in. pisarka i redaktorka Katarzyna Droga, raper i poeta Michał „Cira” Ciruk, autor komiksów i książek dla dzieci Tomasz Samojlik, aktor kabaretowy, pisarz i konferansjer Krzysztof Szubzda, rysownik, scenarzysta i autor komiksów Jakub Babczyński, wydawca i dziennikarz Piotr Brysacz.

Więcej informacji na stronie: ksiaznicapodlaska.pl oraz na: facebook.com/ksiaznicapodlaska.



11. Konkurs Literacki „Tutaj jestem”



Podlaski Instytut Kultury w Białymstoku ogłasza jedenastą odsłonę ogólnopolskiego konkursu literackiego pn. „Tutaj jestem”.

To szansa dla wszystkich twórców amatorów na zrealizowanie swoich autorskich projektów wydawniczych. Nagrodę w konkursie stanowi wydanie pracy wybranej przez komisję spośród wszystkich nadesłanych zgłoszeń. Udział mogą wziąć osoby piszące zarówno prozę, jak i poezję.

Nie ma ograniczeń, jeśli chodzi o tematykę prac. Komisja w wyborze będzie kierować się pomysłowością oraz kreatywnością. Dodatkowym atutem będą zawarte w utworach akcenty związane z województwem podlaskim. Prace można przysyłać do 31 marca 2021 roku. Więcej informacji, regulamin oraz karta zgłoszenia znajdują się na stronie www.pikpodlaskie.pl.

(materiały organizatora, oprac. JS)

Justyna Sawczuk

Orfeusz po raz dziewiąty



Gala przyznania nagrody Orfeusz, Pranie 25 lipca 2020 r.

fot. Marek Truszkowski / dzięki uprzejmości Wojciecha Kassa

Na scenie plenerowej Muzeum Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego w Praniu, wręczono nagrody laureatom IX edycji Nagrody Poetyckiej im. K.I. Gałczyńskiego ORFEUSZ. Jury pod przewodnictwem prof. Jarosława Ławskiego, wybierało spośród rekor-

dowej liczby 263 zgłoszonych publikacji. Nagrodę Orfeusza za najlepszy tom poetycki roku 2019 otrzymał Piotr Mitzner za tom *Siostra*. Orfeusz Mazurski za najlepszy tom poetycki wydany w północno-wschodniej Polsce, trafił natomiast do Stanisława Raginiaka, autora tomiku *Moje Crow River*. Po raz trzeci w historii nagrody przyznano Orfeusza Honorowego – otrzymał go pośmiertnie prof. Andrzej Strumiłło za tom 69.

Piotr Mitzner

LUSTRACJA

nie pamiętam
może podpisałem
choć jeszcze nie umiałem
pisać a zwłaszcza
czytać tego
co napisałem

nie umiałem chodzić
a już poszedłem
na współpracę
z podłogą

z ziemią wodą
i powietrzem

słuchałem
co tam się rusza

wiatr w kominie
stukanie kamienia
o kamień
trzask ognia
motor na podwórzu

posłusznie powtarzałem
słowa gęste i ciepłe
kwaśne i zjełczałe

jadłem co mi podsunięto

kto mówił mi: smacznego?

NA DZIEŃ MATKI

nie pamiętam
tyle razy powtarzałaś:
nie otwieraj obcym
no to nie otwieram
nikomu

tyle razy słyszałem:
jesteś zdolny ale leniwy
po straconych latach
jestem już zdolny
do wszystkiego

tyle razy mówiłaś mi
że jestem winny
no to w końcu
chcę coś popełnić

żeby to było prawdą
bo ty mówisz prawdę

PIOTR MITZNER

– poeta, eseista, redaktor, historyk literatury, nauczyciel akademicki (Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego). Ukończył Wydział Wiedzy o Teatrze Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej w Warszawie. Jako poeta debiutował w 1972 roku w „Kurierze Polskim”. Pierwszy arkusz poetycki *Dusza z ciała wyleciała* wydał w 1980 r. Laureat Nagrody Literackiej Fundacji Kultury, nominowany do nagród: Silesius, Nike, Cogito. Zdobywca Nagrody Orfeusz za tom *Siostra*.

Antoni Libera o twórczości Piotra Mitznera

Czterdzieści dwa wiersze składające się na tom Piotra Mitznera *Siostra* kojarzą się z cyklem kunsztownych rycin, wypracowanych w najdrobniejszym szczególe i o wielkiej sile wyrazu. Najogólniej, autor drąży w nich dwie kwestie. Po pierwsze: czym być może jest świat, który jawi się ludzkiemu umysłowi, jaka jest jego natura, co jest w nim pozorem, a co tak zwaną prawdą? I, po wtóre: czym być może jest ludzki umysł, dany człowiekowi jako doświadczenie bezpośrednie?

Są to zagadnienia najzupełniej podstawowe. Dwa fundamentalne pytania filozofii, które zadawano sobie od niepamiętnych czasów. Ale autor nie rozważa ich w trybie spekulatywnym, lecz poprzez próbę nowatorskiego, a przez to odkrywczego nazwania rozmaitych aspektów rzeczywistości za pomocą zaskakujących, niezwykle oryginalnych metafor, skojarzeń i konceptów językowych.

Podobnie jak Rilke w swoich *Elegiach duinejskich* docieka innych sposobów istnienia. Jak mianowicie istnieje kamień, drzewo, ptak? Jak byty te usytuowane są w świecie? Jak one „odbierają” świat? Jak go na swój martwy lub ożywiony sposób „przeżywają”? I podobnie jak Leśmian, któremu zresztą poświęca osobny wiersz, zastanawia się nad statusem ontologicznym innych światów – wyobrażonych, sennych, zbudowanych ze słów. Wydaje się też, że



Gala przyznania nagrody Orfeusz, Pranie 25 lipca 2020 r.

fot. Marek Truszkowski / dzięki uprzejmości Wojciecha Kassa

tytułowy wiersz *Siostra*, który uważam za absolutny majstersztyk i który ma zapewnione miejsce w panteonie polskiej poezji, w jakiś sposób nawiązuje do pamiętnego wiersza Leśmiana pt. *Do siostry*, który podejmuje podobny temat. Autor nawiązuje też bardzo ciekawie do innych polskich poetów – do Staffa, Tuwima, Herberta, nawet do Konopnickiej. Szczególnie udana jest wariacja na temat Tuwima – wstrząsająca, pełna rewelacyjnych pomysłów, znakomicie skonstruowana.

Poezja Piotra Mitznera zachwyca prostotą wyrazu i lapidarnością, czasami na granicy aforystyki dorównującej konceptom werbalnym Leca. Urzekają gry słów o podobnych brzmieniach i wieloznaczności wydobywane z pospolitych zwrotów. Fascynujące są senne obrazy lub kreacje wyobraźni – tajemnicze, mroczne, czasami w poetyce koszmaru. Głęboko

poruszający jest wreszcie smutek wynikający z braku złudzeń, daremnie rozpraszaony argumentacją stoicyzmu, i elegijny ton zwątpienia, przecucia absolutnego kresu bądź niemożności „wydobycia się z bytu”.

Świetna, krystaliczna poezja – do wielokrotnej lektury. Godna zapamiętania i noszenia w sercu jako gorzkie remedium na udrękę istnienia, zagadkę przemijania i groźę nicości.

Laudacja, wygłoszona 25 lipca 2020 r. podczas gali przyznania Nagrody im. Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego ORFEUSZ za najlepszy tom poetycki 2019 r.

Stanisław Raginiak

Moje Crow River

(fragment)

Gdzie jest Andrzej,
mój brat schorowany,
murarz, harmonista, nerwus i lunatyk?

Może w niebie, a może zupełnie gdzie indziej...?

Jeśli jednak Bóg go przyjął,
to pewnie domy stawia dla tych,
którzy dopiero do Pana przyjdą.

Andrzej od pierwszej wypłaty zbierał na akordeon,
bo ten od stryja Aleksandra
ze starości przepuszczał powietrze
i nie działały niektóre klawisze.
Od małego chciał grać na weselach,
na zabawach w remizie strażackiej
i miejscowej gospodzie,
gdzie bawili się głównie towarzysze partyjni,
milicjanci, ormowcy, ubecy i donosiciele.
Andrzej nie lubił otaczającego go świata,
nawet gdy we śnie szedł ścieżką,
po przebudzeniu mówił,
że jeśli tak było, to może i lepiej,
bo nie lubi spać w domu.
Słyszając to, bałem się,
że starszemu ode mnie bratu
do reszty poprzewracało się w głowie.
Zapewne przez konia stryja Mietka,
który go kopnął.
A może dlatego, że spadł z wozu
podczas zwożenia siana?
Andrzej oberwał też na niejednej potańcówce szkolnej,
choć wszyscy widzieli,
że nigdy nikomu nie wchodził w drogę,
bojaźliwy był i wątpy.

Może obrywał za błądź,
która nie opuszczała jego twarzy,
za wieczne smutne oczy
i niepoprawnie wypowiedane wyrazy...?

Mam żal do siebie,
że nigdy nie przyszedłem mu z pomocą.
Nawet w popołudnie wigilijne,
gdy miał dwanaście lat,
a ojciec pasem prał go tak, jakby był dorosły.

Tego wieczora
nie było u nas Pana Jezusa,
tylko krzyk brata i głos ojca,
że jak jeszcze raz uciekniesz ze szkoły,
to dostaniesz takie lanie, że na zawsze popamiętasz!

W ten dzień wigilijny
nikt nie wyglądał pierwszej gwiazdki.

Zamiast Mikołaja
pierwszy raz do drzwi naszego domu
zapukała cisza tak wielka,
że nikt nie potrafił sobie z nią poradzić...

Andrzeja po modlitwie i oplatku
odszukałem na strychu.
– Jesteś... to dobrze... – powiedziałem.
On na to, żebym dał mu święty spokój.

Usiadłem na schodach
i długo się zastanawiałem,
jak spokój może być ś w i ę t y...?



STANISŁAW RAGINIAK

– poeta i prozaik. Urodzony w Łukcie koło Ostródy, mieszka w Grudziądzu. Autor m.in. tomów poetyckich: *Łzy nad Crow River* (1996), *Żal* (2001), *Skroplone smutki* (2004) czy *Kwiaty na skale* (2011), dziennika lirycznego *Skrawek Ameryki* (1995), powieści reportażowej *Ostatnie piętro samotności – raport z izby wytrzeźwień* (1999) oraz zbioru opowiadań *Dwie linie* (2003) – a to zaledwie wycinek literackich dokonań Stanisława Raginiaka. Za poemat *Moje Crow River* nagrodzony Orfeuszem Mazurskim.

Jarosław Ławski o twórczości Stanisława Raginiaka

Stanisław Raginiak, poeta urodzony w Łukcie, zamieszkały w Grudziądzu, zaprosił nas w wewnętrzną, intymną podróż do Crow River, rze-

czywistej i zarazem mitycznej krainy, w której skupia się całe niespokojne, bolesne, ale na końcu zwycięskie życie bohatera poematu. Poeta oparł pomysł dzieła na starym, średniowiecznym toposie *ubi sunt qui ante nos fuerunt?* (gdzież są, ci którzy byli przed nami/gdzie są ci, którzy przeminęli). Topos ten połączył z zupełnie „nową”, po-

brzmiewającą w tle inspiracją melodyczną piosenki z 1960 roku, śpiewanej po polsku przez Sławę Przybylską *Gdzie są kwiaty z tamtych lat?* (1965). Jak pamiętamy, piosenkę Petera Seegera śpiewała w sławnej, niemieckiej wersji *Sag mir wo die Blumen sind?* Marlena Dietrich.

Są to nawiązania nieprzypadkowe. W poemacie Raginiaka (rocznik '52)

odbija się cały XX wiek, oglądany z perspektywy mieszkańca Środkowej Europy szukającego ładu, chleba, miłości i Boga aż nad Crow River, dopływem Missisipi w Minnesocie. Poemat niczym rzeka pamięci odsłania w słowie przez, jak pisze autor, dwie godziny lektury obrazy tego, co minęło, ale nie wiadomo, czy przypadło bezpowrotnie: „Gdzie są moi dziadkowie, / jeden spod Wilna, drugi z Grążaw?” (s. 13); „Gdzie jest moje dzieciństwo, / z którego niewiele już mogę sobie przypomnieć?” (s. 19); „Gdzie się podziało moje życie? / Jeszcze dość dobrze pamiętam / osiemnaste urodziny / nad jeziorem” (s. 24). Wreszcie: „Gdzie

mam się umówić z wnukami na spotkanie / za lat dwadzieścia, a może prędzej?” (s. 58).

Jeśli pamiętacie Państwo piosenkę Seegera, Dietrich i Przybylskiej, to wiecie, że zaczyna i kończy się ona tylko pytaniami „Wann wird man je verstehen? / Wann wird man je verstehen?” albo retorycznym oznajmieniem... „Kto wie czy, było tak... Kto wie czy było tak...”

Raginiak nie zatrzymuje się, wołając „gdzie są...?”, załamując ręce nad „a może było tak, może inaczej...”. Pisze przejmujące, szczere, bolesne, nieoszlifowane, czasem surowe, owiane melancholią sprawozdanie z życia, własną godziną

myśli wraca do przeszłości, czyniąc to z prostotą, która nie raz wynosi go do wymiaru piękna. Otwiera swe wyznanie na wymiar, w którym można być „spadającą lawiną / spinającą lęk z nieboskładem”: „Podążam – wyznaje – przez przełęcz / i mosty zamyślane, / chcę dojść tam, / gdzie uratowałaś mnie swoją miłością” (s. 70). W tej drodze „tam” niepostrzeżenie krajobraz północnej Polski staje się inną przestrzenią metafizycznej Troski Ostatecznej, a rodzinna Łukta, jej rzeka – miejscem przejścia w metafizyczną nadprzestrzeń Crow River... Przejścia „Tam”, cokolwiek to znaczy.

Laudacja, wygłoszona 25 lipca 2020 r. podczas gali przyznania Nagrody im. Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego ORFEUSZ za najlepszy tom poetycki 2019 r.



Gala przyznania nagrody Orfeusz, Pranie 25 lipca 2020 r.

fot. Marek Truszkowski / dzięki uprzejmości Wojciecha Kassa

Zakończył się projekt Bibliotek@ON

Warsztaty, zabawy literackie, filmowe polecenia książek, a także prelekcja poświęcona postaci Jana Pawła II i jego twórczości – w sumie 68 wydarzeń, organizowanych od maja do października 2020 roku. Zakończył się projekt „Bibliotek@ON”, realizowany przez Książnicę Podlaską im. Łukasza Górnickiego w Białymstoku, w ramach programu dotacyjnego Narodowego Centrum Kultury „Kultura w sieci”.

„Bibliotek@ON” to wielowymiarowa propozycja działań literacko-kulturalno-edukacyjnych, takich jak: warsztaty on-line z zakresu wykorzystywania nowoczesnych form i narzędzi, dostępnych w Internecie (Instagram, komunikacja wideo, storytelling, Wordpress, Canva), do promocji czytelnictwa i działań instytucji kultury oraz materiały wideo, zachęcające do czytania, zabawy słowem i tworzenia własnych tekstów literackich. To także kilka miesięcy wyjątkowej pracy kilkudziesięciu osób – organizatorów wydarzeń i zaproszonych gości: osobowości ze świata literatury, kultury i mediów. Wszystko po to, by zapewnić jak najszerszemu gronu odbiorców, w różnym wieku, bezpłatny dostęp do kultury i edukacji kulturalnej, wspomóc rozwój ich kompetencji cyfrowych i kulturowych oraz promować czytelnictwo w trudnych czasach pandemii, gdy dostęp do tradycyjnych

form upowszechniania kultury został ograniczony.

Partnerem zadania było Katolickie Stowarzyszenie „Civitas Christiana” Region Olsztyńsko-Białostocki.

Partnerzy medialni projektu: TVP3 Białystok, Polskie Radio Białystok, Wrota Podlasia, podlaskisenior.pl, BIA24, „Epea. Pismo literackie”.



Wszystkie materiały filmowe, zrealizowane w ramach projektu „Bibliotek@ON”, dostępne są bezpłatnie na stronie internetowej Książnicy Podlaskiej im. Łukasza Górnickiego w Białymstoku: ksiaznicapodlaska.pl/ksiaznica-podlaska-z-dofinansowaniem-w-ramach-programu-kultura-w-sieci/ oraz na fanpage’u Książnicy Podlaskiej.

W nowej formule

– z Katarzyną Sawicką-Mierzyńską rozmawia Justyna Sawczuk

Justyna Sawczuk: W 2020 r. po raz pierwszy przyznano Nagrodę Literacką Prezydenta Miasta Białegostoku im. Wiesława Kazaneckiego w dwóch kategoriach: za najlepszą książkę roku oraz za najlepszy ogólnopolski poetycki debiut roku. Skąd decyzja o rozszerzeniu formuły nagrody? Kto wnioskował o te zmiany?

Katarzyna Sawicka-Mierzyńska: Już od kilku lat w gronie członków kapituły oraz odpowiedzialnych za nagrodę pracowników Referatu Kultury w Departamencie Kultury, Promocji i Sportu Urzędu Miasta zastanawialiśmy się nad tym, co zrobić, żeby – nie rezygnując z regionalnego charakteru nagrody – zwiększyć zasięg jej oddziaływania i rangę w skali ogólnopolskiej. Jak wiadomo, zdarzało się, że nominowanymi bądź laureatami zostawali twórcy rozpoznawalni zarówno na Podlasiu, jak też w kraju: Ignacy Karpowicz, Krzysztof Czyżewski, Anna Kamińska, Aneta Prymaka-Oniszk, Michał Książek, Piotr Janicki i wielu, wielu innych. Ale mogę wymienić również takich pisarzy (choćby Michał Androsiuk, Krzysztof Gedroyć, Jan Kamiński czy Mira Łuksza), którzy są znani i lubiani u nas, a niekoniecznie

czytani w Polsce, mimo atrakcyjności i wysokiego poziomu ich dokonań literackich. Uznaliśmy, iż pojawienie się nowej kategorii sprawi, że informacja o samej nagrodzie, nominowanych do niej twórcach, a później laureatach, dotrze do szerszego kręgu odbiorców. Służy to również kultywowaniu pamięci o Wiesławie Kazaneckim – istnieje duża szansa, że poeta-debiutant, zanim zgłosi swój tomik, przynajmniej sprawdzi w Internecie, kim był patron nagrody. To dopiero pierwsza edycja w nowej formule, ale nasze intuicje wydają się sprawdzać. Pamiętam dyskusję na portalu społecznościowym pod postem jednego z nominowanych debiutantów, któremu gratulowano wyróżnienia. Komentarz brzmiał mniej więcej tak: „Wprawdzie nie wiem, co to za nagroda, ale skoro dostał ją Piotr Janicki, to znaczy, że jest zacna”.

Nie jest tajemnicą, że od co najmniej kilku lat pojawiały się głosy krytyczne wobec jakości publikacji, zgłaszanych do Nagrody Kazaneckiego, mam na myśli zarzut, mówiący o tym, że „kapituła nie miała z czego wybierać”. Rzeczywiście tak było? Zaczęliśmy się dusić we własnym sosie?

Osobiście nie sformułowałabym tak ostrej i jednoznacznej diagnozy. Rokrocznie do nagrody zgłaszanych jest

około 30-40 książek, reprezentujących bardzo zróżnicowany poziom. Są wśród nich pozycje publikowane własnym sumptem (znam bardziej szkodliwe hobby, niż pisanie wierszy), książki małych, lokalnych oficyn i wydawniczych potentatów, takich jak Czarne czy Wydawnictwo Literackie. Wspominam o tym, bo od wydawcy zależy bardzo wiele – mam tu na myśli dbałość o stronę edytorską, staranną redakcję, korektę, skład. Czasem odnoszę wrażenie, że dany tekst ma o wiele większy potencjał, niż wskazywałaby na to książka – ostateczny efekt pracy nie tylko pisarza, ale całego zespołu redakcyjnego. Trudno nominować czy nagradzać publikacje, w których roi się od błędów stylistycznych, interpunkcyjnych, a niekiedy nawet ortograficznych. Nominacja oznacza przecież, że dostrzegliśmy w danej książce jakość godną polecenia, promowania, niejako wzorcową. Oczywiście rozumiem, że te niedociągnięcia wynikają z ograniczeń finansowych, niemniej jednak zawsze żał mi książek, które określiłabym jako zmarnowane szanse.

Reasumując: zwykle nie jest więc tak, że mamy 5-7 książek wybitnych i wielki kłopot z tym, jak spośród nich wybrać te warte nominacji, ale też nie zdarzyło się, żebyśmy wśród zgłoszonych pozycji nie mogli wskazać kilku godnych uwagi i lektury.

Z racji charakteru mojej pracy, mam okazję rozmawiać z poetami i pisarzami z naszego regionu. Wiem, że zdania na temat zmiany formuły nagrody były wśród nich podzielone: jedni cieszyli się, że będzie okazja do skonfrontowania się z pisarzami z innych części kraju, inni twierdzili, że nagroda miała mieć charakter regionalny, bo nagród ogólnopolskich mamy wystarczająco dużo...

Ależ ona wciąż ma regionalny charakter! Nic się przecież w tej kwestii nie zmieniło, nadal przyznajemy nagrodę za najlepszą książkę roku, związaną z Białymstokiem i Podlasiem poprzez treść bądź osobę autora. Nie ma też mowy o rywalizacji czy konkurencyjności, bo nagroda za debiut poetycki jest odrębną kategorią. Uważam natomiast, że sama konfrontacja z młodymi poetami,

rozumiana przeze mnie jako okazja do zapoznania się z ich twórczością, przyjrzenia się temu, co – mówiąc kolokwialnie – w poetyckiej trawie piszczy, może przynieść lokalnym literatom wyłącznie korzyści.

Miałaś okazję, jako przewodnicząca kapituły, oceniać publikacje zgłoszone do pierwszej po rozszerzeniu formuły edycji nagrody. Czy możemy już mówić o jakiejś znaczącej zmianie? Co nam dały te dwie kategorie, co wniosły? I jak oceniasz poziom zgłaszanych publikacji, ich jakość?

Wydaje mi się, że 34 debiutanckie tomiki zgłoszone do pierwszej edycji nagrody w nowej formule to – jeśli chodzi o liczbę – świetny wynik. Przysyłały je wydawnictwa, z takimi poetyckimi potentatami, jak Biuro Literackie, na czele, oraz

sami autorzy. Osobą odpowiedzialną za to, żeby nie umknął nam żaden zdolny debiutant, był Dawid Bujno, świetnie obeznany z najnowszą poezją. Poziom tych wierszy był oczywiście bardzo zróżnicowany, jak całe współczesnej „produkcji literackiej”. Jako dowód słuszności naszych intuicji i ocen traktuję fakt, że właściwie wszyscy autorzy nominowanych tomików spotkali się z przychylną opinią krytyki – ich nazwiska, jako najważniejszych debiutantów, pojawiły się choćby w opublikowanym na łamach „Małego Formatu” tekście Jakuba Skurtysa, podsumowującym 2019 rok w poezji, wiersze Juliusza Pielichowskiego polecał czytelnikom Jacek Podsiadło, a Niny Manel – Dawid Kujawa. Wybierając nominowane książki chcieliśmy, aby każda z nich reprezentowała inny rodzaj wrażliwości, inną poetykę, odmienną wizję świata. Myślę, że udało nam się ten cel osiągnąć. —

DR HAB. KATARZYNA SAWICKA-MIERZYŃSKA

– absolwentka białostockiej polonistyki i studiów doktoranckich na Uniwersytecie Warszawskim. Na Wydziale Filologicznym Uniwersytetu w Białymstoku pracuje od 2007 roku, obecnie w Zakładzie Literatury XIX wieku i Kultur Regionalnych. Od 2017 roku pełni funkcję przewodniczącej Zespołu Badań Regionalnych, który współtworzyła w roku 2014. Członkini zespołu redkacyjnego „Białostockich Studiów Literaturoznawczych” i serii wydawniczej „Biała Seria. Podlaski Regionalizm Literacki”, preze-

ska Fundacji Uniwersytetu w Białymstoku. Od 2011 roku zasiada w Kapitułe Nagrody Literackiej Prezydenta Miasta Białegostoku im. Wiesława Kazaneckiego (od 2013 roku w zespole stałym, decydującym o nominacjach). Jej zainteresowania badawcze skupiają się wokół podlaskiej literatury i kultury, rozpatrywanej w różnych aspektach. Urodziła się w malowniczej wsi Gneciuki koło Zabłudowa, przez całe życie związana z Białymstokiem i Podlasiem.

Małgorzata Sochoń

Blok

Kiedy po drugiej stronie ulicy zaczął rosnąć blok – wszyscy się trochę przestraszyli. Stary Czyszapak, który nie był niczym dziadkiem, bo nie miał rodziny – umarł ze strachu.

Pozostali, ciągle jeszcze żywi, mieszkali w jego domu. Ja wynosiłam kanapki na podwórko, zjadałam rzodkiewki, zlizywałam masło, a chleb, który mi nie smakował, kładłam dla wron, na kamieniu. Czasem patrzyłam na blok. Był biały, lekki i wysoki. Składał się z pustych pokoi, których ciągle przybywało. Pokoiki nie miały okien, tylko dziury. Dookoła leżał piach. Dom był inny – czarny

i niski, ciężki od szaf, kredensów i wiader z wodą. Miał okna z firankami, drzwi z desek, chodniki i wycieraczki. Na dole Fela gotowała rosół, a Grzesz jadł przestudzoną, ale jeszcze ciepłą, pokrojoną w plastry marchewkę i bawił się nadmuchiwana żyrafą. My mieszkaliśmy na górze. Kiedy wracaliśmy z odpustu, drzwi do naszego mieszkania obwieszane były sznurkami obwarzanków i krochmala-



fol. Jan R. Muszyński

ków, które dziadek kupował dla mnie na straganie i zostawiał na gwoździach. Mama wyrzucała krochmalaki do pieca, żeby nie psuły się od nich zęby, a obwarzanki jadłyśmy na spółkę.

„Znowu lachudrę gdzieś poniosło” – skarżyła się babcia, która odwiedzała nas wracając z łaźni, a wtedy mama smażyła babci na pocieszenie jajko i babcia odżytkowała siły na dalszą drogę. Po rozgrzanej ścianie domu chodziły osy i pająki. Jadzia kąpała Wojtusia w waniencie ustawionej pod śliwką, dwa żółte listki wpadały do wody. Kiedy Wojtuś spał, Jadzia mieliła kawę i pozwalała mi kręcić korbką. Mąż Basi gwizdał i naprawiał huśtawkę. Planowałam wtedy swoją przyszłość. Najbardziej chciałam być żoną taty, ale żal mi było mamy, która musiałaby zostać sama. Chrzestny ojciec nie nadawał się na moje-

go męża, bo nazywał się Tosiek, a mąż nie powinien mieć śmiesznego imienia. Trochę myślałam o Tomku. Tomek robił mi zdjęcia i prosił, bym stała pod karmnikiem, koło malin, albo sadzał mnie na nieczynnym rowerze. Moje nogi nie sięgały pedałów, ale rower i tak nie jeździł, tylko stał oparty o ścianę. Jednak nie byłam pewna, czy mąż może być aż taki młody i chodzić jeszcze do szkoły.

– Dom będzie rozebrany, a nas przeniosą do bloku – powiedział wieczorem tato.

Nie potrafiłam sobie tego wyobrazić. Jak nas przeniosą? Wsadzą do kosza i polecimy balonem? Balon wleci do dziury, a my wygramolimy się z kosza i zobaczymy z bliska, że jest tak strasznie białe i pusto? Balon odleci, a my rozejdziemy się do pokojów i każdy będzie miał swoje miejsce? I już nie będziemy się widzieć?

Patrzyłam przez szpary w płocie, jak dźwig dostawia nowe pokoiki, aż podszedł Tomek i powiedział:

– Nie martw się. Z drugiej strony bloku są drzwi, a przez drzwi można wejść i wyjść. Najpierw wejdziemy, a jak nam się nie spodoba, to wyjdziemy.



MAŁGORZATA SOCHOŃ

– autorka tomików *Liryki domowe* (2001), *Wplątane w kalendarz* (2008) oraz *Wiersz o świcie* (2019). Za pierwszą książkę otrzymała Nagrodę Literacką Prezydenta Miasta Białegostoku im. Wiesława Kazaneckiego, natomiast

książka trzecia była nominowana do Ogólnopolskiej Nagrody Literackiej im. Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego „Orfeusz” w kategorii „Orfeusz mazurski”.

na zdjęciu Małgorzata Sochoń, lat 5

Eligiusz Buczyński

Egoizm twórcy

Artysta, który urzeczywistnia się wewnątrz sztuki, nigdy nie będzie twórczy – musi on koniecznie umieścić się na tym jej pograniczu, gdzie sztuka styka się z życiem.

Witold Gombrowicz, *Dzienniki*

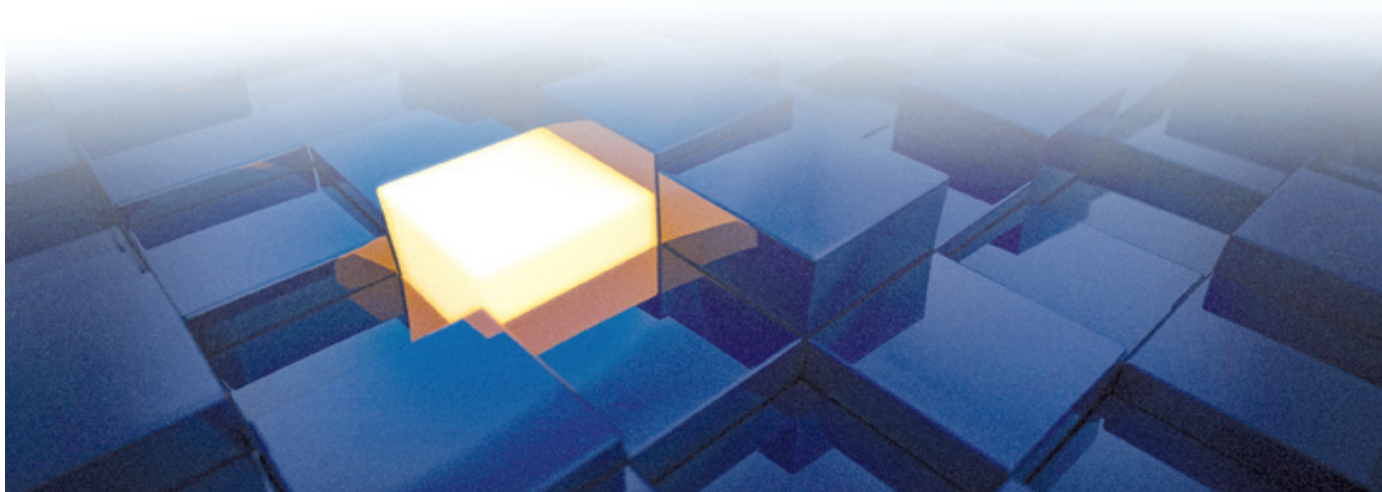
– Saluto!

Znów nadziewam się na Mundka, parkowego artystę, który gra na gitarze

i na harmonijce, a do tego śpiewa. Stary, chudy, o wyglądzie bluesmana. W momencie kiedy przechodzę, wplata swoje powitanie do piosenki i staje się ono spontanicznie elementem dzieła. Pewnie mało kto wie, że saluto jest pozdrowieniem również w języku esperanto. Odpowiadam tradycyjnym: – Siemanko! – i marzę o tym, żeby „zdjął już usta z mikrofonu”.

Nie lubię zwracać na siebie uwagi, przynajmniej w przestrzeni, która nie należy do mnie. Park zawsze był muzyków, dziś jest jego. Ma dość stary repertuar: Cohen, Dylan, Lennon. Przyciąga tym

co wykonuje i jak. Ustawia stary wzmacniacz, z poklejonego srebrną taśmą futerału wyjmując elektryczną gitarę, podpinając ją jakby od niechcenia zaczyna uderzać w struny. Z pewnością ośmiu na dziesięciu muzyków zagrałoby to lepiej technicznie, dużo sprawniej, ale nikt nie zagrałby tak jak on. Słowem – ma talent. Ludzie, przeważnie młodzi brodacze świeżo od barbera, wrzucają drobne sumy i szczyką się tym, że wsparli artystę. Karmi swojego ducha. Potem znikają w „Innej bajce” czy innym czorcie, z którego roznoszą się dźwięki serwowane przez didżeja.



– Piszesz coś? – pyta jak zawsze uprzejmie.

Odczekuję, aż młoda mama wyjmie i poda dziewczynce pieniążek, a ta go wrzuci do futerału. To dziwne, przecież akurat nic nie gra...

– Próbuję – odpowiadam.

– E, a to ty jeszcze musisz próbować? Myślałem, że jesteś poetą i że już wiesz.

– Może i tak... – zastanawiam się z westchnieniem. – Może już wiem. Zagrasz coś? Mam czas, posiedzę, posłucham, odkleję się trochę od rzeczywistości.

Znów zaczyna tak niedbale, że myślę, że nic z tego nie wyjdzie. Jakby dłoń należała do umarlaka. A po chwili nie

mogę oderwać się od jego wersji *Suzanne* Leonarda Cohena. Jak on to robi? Nawet ptaki cichną. Przechodnie przystają i też myślą o niczym. Tylko Mundek myśli o muzyce, a my po prostu słuchamy.

Wracam z parku do domu. Zasiadam przy stole i najpierw zrzucaam wszystkie książki, które zacząłem czytać. Inni muszą zejść ze sceny, jeśli w ogóle marzy się o tworzeniu. Teraz potrzebuję dużej ilości ciszy i zdania się na intuicję. Piszę parę wersów, jeden po drugim, aż się ściemnia. A ja nawet nie zapalam światła. Nie jest do niczego potrzebne, wystarczy zarys, kilka słów i trochę liter zamiast gęstej wypowiedzi. Wychodzi widokówka.

Wstaję i chodzę po pokoju, żeby odpocząć od tekstu. Gdy się tworzy, dobrze jest siebie nie znać do końca, bo nigdy nie wiadomo dokąd się dotrze.

Podchodzę drugi raz, lekko koryguję i już jest. Kartka, na której powstał wybuch, gdzie zburzono cały dotychczasowy porządek świata i dodano coś nowego, coś, czego dotąd nie było. To jest moment, kiedy artysta czuje, że może stanąć sam przeciwko światu. Najbardziej egoistyczny ze wszystkich. Wchłonął zasłyszane historie, wciągnął siebie i całe napięcie, które miał, do środka.

Oddał światło.



ELIGIUSZ BUCZYŃSKI

– poeta, kierownik działu Zbiorów Specjalnych Książnicy Podlaskiej im. Łukasza Górnickiego w Białymstoku. Laureat ogólnopolskich konkursów literackich. Autor czterech tomów wierszy: *Oddechy* (2006), *duch osobny* (2014),

Konik morski (2015), *On* (2018). Publikował m.in. w: „Portrecie”, „Odrze”, „Interze”, „Akancie”, „Cegle”, „Epei”, „Bibliotekarzu Podlaskim”. Mieszka w Białymstoku.

fot. Bogumiła Maleszewska-Oksztol

Marzanna Kołodziej

Katarzynki

Dawno, dawno temu, za siódmą górą i dziewiątą rzeką mieszkał chłopiec o imieniu Janek. Był bardzo wesoły i zadowolony ze swojego życia. Czas płynął, a on dorósł i stawał się coraz bogatszy. Pewnego dnia zaczął szukać żony. Szukał dzień, szukał dwa, szukał miesiąc, rok i nic... Żadna dziewczyna mu nie odpowiadała. W końcu postanowił pójść do chatki na skraju lasu, gdzie mieszkała najstarsza i najmądrzejsza kobieta w okolicy. Podobno potrafiła przepowiadać przyszłość i pomagać w rozwiązywaniu trudnych spraw.

Zastukał do drzwi. Otworzyły się same, a jego oczom ukazał się ogromny kominek buchający żywym ogniem. Obok niego siedziała przygarbiona staruszka. Miała pogodną twarz.

– Wejdź, proszę. Co cię do mnie sprowadza? – zapytała cicho.

– Od roku szukam żony i nic... Żadna dziewczyna mi się nie podoba – powiedział Janek.

– A słyszałeś, że w noc świętej Katarzyny pod poduszką są dziewczyny? – zapytała.

– Dziewczyny pod poduszką? Co to znaczy?

– Pamiętaj, w noc świętej Katarzyny, czyli 25 listopada, włóż pod poduszkę kartki z imionami dziewcząt. Rano wyciągnij jedną z nich. Na kartce będzie zapisane imię twojej przyszłej żony – powiedziała staruszka, wyciągnęła z kieszeni mały woreczek, w którym były karteczki z żeńskimi imionami, i podarowała go Jankowi.

– Dziękuję. Na pewno tak zrobię – powiedział chłopiec, wziął woreczek i szybko wrócił do domu.

Z niecierpliwością czekał na noc świętej Katarzyny. Bardzo starannie ułożył karteczki pod poduszką i zasnął. Śniła mu się piękna dziewczyna, ale po przebudzeniu nie pamiętał jej twarzy. Rano wyciągnął spod poduszki jedną karteczkę.

– To niemożliwe! – wykrzyknął. – Katarzyna, Kasia, Kaśka. Tak ma na imię moja przyszła żona? – pytał z niedowierzaniem sam siebie.

– Katarzyna – mówił i coraz bardziej podobało mu się to imię.

Codziennie rano śpiewał piosenkę:

*Hej! Kasiu, Katarzyno,
Gdzie znajdę cię dziewczyno?
Wróżby o ciebie zapytam.
Czekaj – wkrótce zawitam!**

* Tekst piosenki ludowej, autor niezany.

I tak w niedługim czasie poznał wszystkie Kasie w okolicy, ale żadna nie wzbudziła jego zainteresowania.

– I co? I co dalej? Jak poznam właściwą Kasię? – zastanawiał się głośno.

Nie namyślając się długo, znowu poszedł na skraj lasu i zastukał do drzwi chatki.

Tak jak poprzednio, otworzyły się same, a jego oczom ukazał się ten sam widok. Tym razem jednak na przywitanie wybiegł mu czarny, puszysty kot.

– Miau, miau – zamruczał, zmrużył oczy i otarł się delikatnie o nogę chłopca.

– Co się stało? Dlaczego znowu mnie odwiedziłeś? – zapytała staruszka.

– Poznałem już wszystkie Kaśki w okolicy i żadna mi się nie podoba. Jak mam rozpoznać tę, która ma zostać moją żoną? – dopytywał Janek.

– Kiedy spotkasz przyszłą żonę, twoje serce mocniej zabije, a ty będziesz jak zaczarowany. Uważaj jednak! Serce może zabić ci mocniej na widok wielu pięknych Kasiek, ale tylko jedna będzie cię kochać szczerze – powiedziała staruszka i po chwili milczenia dodała: – Jesteś coraz bogatszy, więc niejedna Kasia będzie chciała wyjść za ciebie za mąż. Daję ci zaczarowany pierścień. Po pierwsze musi on pasować na rękę twojej przy-



szłej żony, a po drugie, kiedy prawdziwa Katarzyna będzie wyznawała ci miłość, pierścień zalśni jasnym promieniem.

– Dziękuję za radę i zaczarowany pierścień. Do widzenia – powiedział Janek. Kiedy wychodził, wydawało mu się, że czarny kotek mrugnął do niego i łapką pomachał na pożegnanie.

W drodze do domu chłopak nucił swoją ulubioną piosenkę:

*Hej! Kasiu, Katarzyno,
Gdzie znajdę cię dziewczyno?
Wróżby o ciebie zapytam.
Czekaj – wkrótce zawitam!*

I tak znowu rozpoczął poszukiwania żony. Nie mogąc odnaleźć ukochanej

Katarzyny, poświęcił się pracy. Pracował w dzień, pracował w nocy, aż wreszcie został najbogatszym chłopakiem w okolicy. Po całym królestwie rozeszła się wieść, że Janek-bogacz szuka żony.

I stało się to, co było do przewidzenia. Z najdalszych zakątków kraju przyjeżdżały Kasie, Kaśki, Katarzyny. Każda z nich chciała zostać żoną Janka-bogacza. Przymierzały zaczarowany pierścień i zapewniały o wiecznej miłości, ale ani pierścionek nie pasował na żaden palec, ani serce Janka nie zabiło mocniej.

Aż tu pewnego dnia stanęła przed chłopcem dziewczyna o cud urodzie. Serce Janka drgnęło. Pierścień pasował jak ulał.

– Nareszcie – powiedział, uściskał wybrankę i rozpoczął przygotowania do ślubu.

Z radością zaśpiewał:

*Hej! Kasiu, Katarzyno,
Znalazłem cię dziewczyno!*

Niespodziewanie, tuż przed ślubem sroka skradła zaczarowany pierścień. Szukali go dzień, szukali drugi, aż trzeciego dnia odnaleźli wysoko w gnieździe na drzewie. Kasia założyła pierścień i dopiero teraz Janek zauważył, że nie lśni on jasnym promieniem. Zaniepokoił się i zapytał:

– Kasiu, kochasz mnie?

– Tak, kocham cię. Kocham cię najbardziej na świecie – powiedziała Kasia, ale pierścień nie zalśnił jasnym promieniem.

Zmartwiony chłopiec znowu udał się po radę do chatki na skraj lasu.

Zastukał do drzwi, a one, jak poprzednio, otworzyły się same, zaś oczom chłopca ukazał się ten sam widok. Kominiek buchający żywym ogniem, a przy nim przygarbiona staruszka i czarny kot.

– Wejdz, Janku. Co znowu cię do mnie sprowadza? – zapytała.

– Spotkałem piękną kobietę. Serce na jej widok mi zadrgało, jestem jak czarowany, pierścień pasuje na jej palec, ale nie lśni, nie lśni jasnym promieniem. Co mam zrobić? – zapytał.

– Podaj jej ten napój, a zobaczysz co się stanie – powiedziała staruszka i podała chłopcu małą buteleczkę z błękitnym płynem.

– Dobrze. Tak zrobię – powiedział Janek.

– Miau, miau... – zamruczał kot i jak poprzednio mrugnął i pomachał łapką na do widzenia. Janek teraz był tego pewien.

W drodze do domu śpiewał:

*Hej! Kasiu, Katarzyno,
Czy na pewno znalazłem cię
dziewczyno?*

Podczas kolacji podał Katarzynie czarodziejski napój i stała się rzecz strasz-

na. Katarzyna z pięknej dziewczyny zamieniła się w wiedźmę o wylupiastych oczach i długich siwych włosach.

– Zgiń, przepadnij! – zawołał Janek i w jednej chwili upiorna kobieta zniknęła, jedynie na podłodze połyskiwał czarowany pierścień.

Janek westchnął głęboko, położył się i zasnął kamiennym snem. Znowu przyśniła mu się piękna dziewczyna, której twarzy po przebudzeniu nie pamiętał.

– Muszę wyjechać – powiedział.

I jak powiedział, tak zrobił. Został bogactwo i wyruszył w daleką podróż. Niestety, pewnego dnia napadli go zbójcy, pobili, zabrali złoty pierścień i zostawili rannego w lesie. Mało brakowało, a umarłby z wyczerpania, gdyby nie gajowy, który opatrzył mu rany, wziął do domu i poprosił córkę Basię, żeby się nim zaopiekowała. Janek powoli, z dnia na dzień wracał do zdrowia. Kiedy przyglądał się Basi, ze zdziwieniem odkrył, że serce bije mu mocniej, a twarz wydawała się dziwnie znajoma. Basia również coraz częściej spoglądała na Janka łaskawym okiem i uśmiechała się do niego.

Pewnego dnia, kiedy Basia otworzyła okno, sroka wleciała do pokoju i wy-

puściła z dzioba znaleziony w lesie czarowany pierścień.

– Jaki piękny! – zawołała dziewczyna i natychmiast włożyła go na palec.

W okamgnieniu w domu zrobiło się bardzo jasno. Pierścień lśnił.

– To niemożliwe, przecież moja przyszła żona powinna mieć na imię Kasia, a nie Basia – mówił zaskoczony Janek

– Nasza Basia to naprawdę Kasia – powiedział ojciec dziewczyny i wyjaśnił: – Kiedy była dzieckiem, prosiła nas, żebyśmy zwracali się do niej Basia. I tak zostało.

Uradowany Janek zawołał:

– Nareszcie, nareszcie znalazłem swoją Katarzynę! – i zaśpiewał:

*Hej! Kasiu, Katarzyno,
Nareszcie znalazłem cię dziewczyno!*

I tak spełniło się marzenie Janka-bogacza. Niedługo później odbyło się huczne weselisko, na którym powtarzano sobie z ust do ust:

*Pamiętajcie chłopaki i dziewczyny
W dniu świętej Katarzyny
Pod poduszką są dziewczyny.*

MARZANNA KOŁODZIEJ

– absolwentka filologii polskiej na Uniwersytecie Łódzkim oraz doradztwa zawodowego i personalnego Społecznej Wyższej Szkoły Przedsiębiorczości i Zarządzania w Łodzi. W 2017 roku otrzymała tytuł Kobiety Niezwykłej „za kreatywność, empatię i pasję, która inspiruje innych”. W 2019 roku jej utwory liryczne znalazły się w *Antologii poetów polskich. Modlitwa o miłość*. W 2020 roku kolejne wiersze opublikowała w *Antologii Poezji*

Serca natchnione. Wiersz *Uklon i śmiech* został wyróżniony w XXI Ogólnopolskim Turnieju Jednego Wiersza. Od lipca 2020 roku współpracuje z czasopiśmie literackim „Bezkrę”, gdzie publikuje wiersze. Autorka baśni i bajek dla dzieci. W 2018 roku opublikowała zbiór utworów pt. *Cztery pory baśni*. Od wielu lat współpracuje ze szkołami i przedszkolami, gdzie czyta najmłodszym baśnie i bajki własnego autorstwa.

Marta Hapunik

Nigdy nie przestawaj marzyć

Kto powiedział, że świat małej dziewczynki musi być nudny i tylko różowy, najwidoczniej nie poznał Blanki. Ta rezolutna dziewczynka właśnie przygotowywała się do rozpoczęcia nauki w szkole i wszystkim opowiadała, że jest już duża i mądra.

– A czy słyszała pani, pani Celinko, że po wakacjach idę wreszcie do szkoły? – pytała sąsiadkę, którą regularnie spotykała rano w sklepie.

– Pamiętam, moje dziecko, i bardzo się cieszę. Moja wnuczka też całkiem niedawno zaczynała szkołę, a teraz jest już dorosła i sama będzie miała niedługo córeczkę. Ucz się pilnie, nie sprawiaj kłopotów, a wyrośniesz na pewno na dużą i mądrą dziewczynkę – zawsze z uśmiechem odpowiadała pani Celinka. Starsza pani lubiła tę małą istotę. I nic to, że czasem nie mogła spokojnie poczytać książki czy posłuchać radia. Blanka mieszkała tuż nad nią i nie zawsze zachowywała się spokojnie. Ale to przecież dziecko, które potrzebuje ruchu i nierzadko szaleństw... Pani Celinka nigdy nie gniewała się na swoją małą sąsiadkę. Nic w tym dziwnego. Dużo je łączyło. Starsza pani nieraz wyglądała

przez okno i widziała swoją ulubienicę, która śpiewała do nieba, przytulała osiedlowe zwierzaki i zrywała kwiaty. Przypominała pani Celince ją samą z lat młodości. Co to były za cudne wspomnienia!

Blanka uwielbiała przyrodę. Gdy tylko była piękna pogoda, a rodzice mieli trochę wolnego czasu, wybierała się z nimi na długie spacery do lasu czy parku. Śpiew ptaków, różnej wielkości drzewa, a nawet zwierzęta spotykane na leśnej ścieżce, uszczęśliwiały dziewczynkę. W każdym z nich widziała kolejną historię do swojego pamiętniczka, który powoli tworzyła co dnia. I choć nie umiała pisać tak ładnie jak mama, i nie znała tylu trudnych słów co tata, radziła sobie jak umiała. W końcu była małą czarodziejką i chciała zaczarować świat. Do tego miała też głowę pełną marzeń... Pamiętała, że w trudnych lub wyjątkowych chwilach, mama powtarzała jej:

– Nie bój się marzyć, córeczko. Jeśli nigdy nie przestaniesz wierzyć w ogromną moc własnych marzeń, z pewnością większość z nich się spełni. Tylko marzenia i dążenie do ich spełnienia może dać prawdziwe szczęście. Ja jestem tego najlepszym przykładem. Wymarzyłam

was sobie i teraz mam – moją wspaniałą, najlepszą rodzinę na świecie.

Blanka podobne słowa od swojej mamy słyszała bardzo często. Wiedziała, że mama jest najlepsza na świecie. W końcu to była jej wyśniona mama! Zawsze serdeczna, uśmiechnięta i szukająca sposobu na poradzenie sobie nawet z najtrudniejszymi sytuacjami. Taka mama to skarb i Blanka wiedziała o tym, dlatego też, kiedy tylko mogła, za radą mamy, oddawała się swoim marzeniom.

Blanka zaprzyjaźniła się w przedszkolu z Justynką. I choć dziewczynki różniło wszystko: wzrost, wiek, kolor włosów, oczu i temperament, bardzo się polubiły już od pierwszego spotkania. Do tego szybko okazało się, że mieszkają blisko siebie. Okazji do spotkań z koleżanką było więc naprawdę wiele. No, mogłoby być. Justynka ciężko chorowała i często bywała w szpitalu. Blanka tego nie rozumiała. Bo tak to z reguły bywa – jak jest się chorym, to się idzie do lekarza. Pan lub pani doktor przepisują leki, choćby te niesmaczne i już po kilku dniach wraca się do zdrowia, i można znów skakać z radości. Niestety, w przypadku Justynki sprawy miały się nieco inaczej. Dziewczynka chorowała

na rzadką chorobę i przynajmniej raz w miesiącu musiała pojawiać się w szpitalu, by wykonać badania. Strasznie nie lubiła chwil, gdy nie mogła zobaczyć ulubionych koleżanek i kolegów z przedszkola. Do tego strasznie tęskniła za wspólnymi zabawami z Blanką...

Któregoś dnia, gdy Justynka znów trafiła do szpitala, Blanka wróciła do domu smutna.

– Co się stało, córeczko? – z troską zapytała mama Blanki, Joanna. – Nie wyglądasz najlepiej. Żle się czujesz? Coś cię boli?

– Nie, mamusiu. Jest mi smutno, bo Justynka znów pojechała do szpitala na badania, a ja tak chciałam jej pokazać moją nową książeczkę, którą dostałam od cioci Marty. Tę o przygodach w kosmosie, pamiętasz? – Blanka z nadzieją popatrzyła na mamę.

– Oczywiście, że pamiętam kochanie. Domyślam się, że jest ci bardzo smutno, bo twoja najlepsza koleżanka jest w szpitalu, ale może... Mam świetny pomysł! – zawołała mama. – Co byś powiedziała na to, byśmy wybrały się do księgarni i kupiły Justynce taką samą książkę? Potem przekazemy ją jej rodzicom i poprosimy, by wręczyli córeczce. A do środka włożymy czarodziejską, zupełnie kosmiczną kartkę od ciebie. Co ty na to?

– Mamusiu, jesteś wspaniała! Tylko... – w oczach Blanki pojawiło się pytanie. – Czy pomożesz mi napisać parę czarodziejskich słów na tej kartce dla Justynki? Chciałabym jej życzyć dużo zdrowia, ale nie tylko. Może wymyślimy razem jakieś zaklęcie na jej chorobę?

– Na moją pomoc możesz zawsze liczyć, córeczko. Jestem twoją mamą, kocham cię nad życie, a dobrze wiesz, że potrafię pisać różnego rodzaju rymowanki. W końcu też jestem czarodziejką, tylko taką bardziej literkową, prawda?

– No jasne! Przecież ty jesteś moją ukochaną mamą pisarką! – wykrzyknęła radośnie Blanka. – To ja pójdę narysować Justynce coś ładnego, a ty wymyśl słowa zaklęcia na zdrowko mojej przyjaciółki.

– Robi się, pani kapitan! – mama tylko się zaśmiała. Jak to dobrze mieć takie mądre i żywe dziecko, które chce pomagać innym. Joanna była bardzo dumna ze swojej córki. Starła się uczyć dziewczynkę tego, co w życiu najważniejsze i opowiadać o tym. Uwrażliwiała i tłumaczyła, że zdrowie i sympatia przyjaciół jest bardzo ważna. I teraz stoi przed kolejnym wyzwaniem. Trzeba wymyślić rymowankę dla Justynki. Byle szybko, bo piękna kartka w wykonaniu Blanki pewnie już jest prawie gotowa...

Gdy Joanna kończyła ostatnie słowa rymowanych, czarodziejskich życzeń, do pokoju wpadła Blanka.

– Moja kartka już gotowa! Mamusiu, napisałaś te życzenia? – rozemocjonowana dziewczynka nie mogła sobie znaleźć miejsca.

– Spokojnie, moja kochana córeczko. Daj mi długopis, a najlepiej ten złoty cienkopis. Zaraz wypiszę życzenia dla twojej koleżanki.

– Jesteś wspaniała! – Blanka uścisnęła mamę z całych sił. – To ja nie będę ci przeszkadzać. Pójdę do swojego pokoju się pobawić.

I jak powiedziała, tak zrobiła. Teraz Joanna miała chwilę na przepisanie życzeń i obejrzenie przepięknie wykonanej kartki. Czego na niej nie było! Blanka miała ogromny talent plastyczny, więc umieściła planety o nazwach Blanka i Justynka, połączone wspaniałą, różnokolorową drogą. Wokół planet nie brakowało uśmiechniętych buziek, serduszek, kwiatków, złotych koron i kolorowych lizaków. Dostać taką przesyłkę od ulubionej koleżanki, to musiało być

coś. Kobieta postanowiła więc czym prędzej wybrać się z córką do księgarni. Na szczęście okazało się, że znalazły ostatni egzemplarz książki o kosmosie. Teraz pozostało już tylko dostarczyć przesyłkę rodzicom Justynki.

– Blaneczko, my nie możemy wejść do szpitala, bo teraz obowiązuje zakaz odwiedzin. Do tego nie jesteśmy rodziną. Ale mam pomysł – poprosimy tatusia, by przekazał książkę z niespodzianką od ciebie rodzicom Justynki. Na pewno będą się widzieli, w końcu twój tatuś pracuje z tatą twojej przyjaciółki. To jak, umowa stoi? – z nadzieją zapytała Joanna.

– Dobrze mamo, ale obiecaj, że tata najpóźniej jutro przekaze tę książkę Justynce. Bardzo bym chciała, by wiedziała, że jestem jej przyjaciółką na dobre i na złe. Tak jak ty z ciocią Beatką. Obiecujesz?

Joanna uśmiechnęła się na wspomnienie swojej koleżanki ze studiów. Tak, znały się z Beatką nie od dziś, do tego łączyło je wiele wspólnych wspomnień i tajemnic.

– Dopilnuję, by tatuś jutro z rana wyszedł z domu z książką od ciebie. A może jeszcze dziś uda nam się namówić go na dostarczenie niespodzianki tacie Justynki? – zastanawiała się mama.

– Dziękuję, dziękuję, dziękuję! – cieszyła się Blanka. – Ty i tata też jesteście moimi najlepszymi przyjaciółmi. Zawsze mogę na was liczyć.

I tak zostanie – w myślach dodała Joanna. To naturalne, że rodzice chcą zawsze jak najlepiej dla swoich dzieci, wspierają je jak tylko mogą, a dodatkowo pomagają w realizacji dobrych pomysłów. Ten z podarowaniem takiej samej książki Justynce był wyśmienity. Przyjaciół ma się w końcu po to, by być jak najbliżej nich i uszczęśliwiać ich dobrym słowem i uczynkiem.

Czy tata sprostą zadaniu, które wyznaczyły mu jego dziewczyny? Oczywiście, że tak! Jeszcze tego samego wieczoru zawiózł książkę do szpitala i przekazał tacie Justynki. Ponoć uśmiech dziewczynki był tak wielki, że jej rodzice się popłakali. Rzecz jasna ze szczęścia. Blanka dowiedziała się o tym jednak dopiero rano, bo z tych wszystkich emocji zasnęła szybciej niż zwykle. Taka z niej kochana dziewczynka o dużym serduszk!

Od pierwszych lat życia rodzice nauczyli Blankę, że warto pomagać innym. Czasem nie trzeba wiele, by sprawić bliskiej, a nawet nieznanym osobie radość. Do tego osobami szczególnie potrzebującymi wsparcia, są osoby starsze, często schorowane. Taka była pani Stefania, która mieszkała na parterze w ich bloku. I choć córka odwiedzała ją dość często, to nie mogła sobie pozwolić na codzienne wizyty. W końcu mieszkała w innym mieście. Od czasu do czasu starszej pani zakupy robił tata Blanki, czasem mama pomagała w jakichś czynnościach. Któregoś dnia jednak sama Blanka wpadła na świetny pomysł.

– Mamusiu, czy ja bym mogła odwiedzić panią Stefanię? – zapytała mamę.

– Ależ córeczko, przecież pani Stefania jest schorowana, ledwo chodzi... Co ty byś u niej miała robić?

– Mamusiu... – zawałała się Blanka. – To tajemnica. Taka ogromna, wiesz... Nie mogę ci jej zdradzić. Mogę cię tylko zapewnić, że nie będę rozrabiać u pani sąsiadki i że nie zajmę jej zbyt wiele czasu. Po prostu chciałabym jej pokazać mój magiczny kamyk, który znalazłam na podwórku. Narysowałam też piękną kartkę. Pozwól mi, proszę, pójść do pani

Stefanii... – w oczach Blanki pojawiła się nadzieja. I jak tu odmówić? Joanna nie miała serca – pozwoliła więc córeczce pójść do pani Stefanii, a do tego odkroiła jeszcze kawałek pysznego ciasta, które upiekła w weekend.

– To idź, Blaneczko, ale pamiętaj: nie zajmuj starszej pani zbyt wiele czasu. A jak zobaczysz, że jest zmęczona i chce się położyć, szybko podziękuj za wizytę i wracaj do domu.

– Oczywiście, mamusiu. Jesteś kochana! Dziękuję, że mi pozwoliłaś! – i już za Blanką zamknęły się drzwi mieszkania.

Dziewczynka w podskokach pokonywała schody na klatce schodowej. Miała prawdziwą niespodziankę dla pani Stefanii. Pamiętała, jak ta kiedyś opowiadała pani Celince o swojej przyjaciółce z dzieciństwa i o wspólnych zabawach. Blanka też lubiła zabawy na świeżym powietrzu, a do tego teraz znalazła taki skarb! Koniecznie musi opowiedzieć o tym pani Stefanii! Zadzwoiła więc do drzwi, a kiedy nikt nie otwierał, zaczęła delikatnie pukać. Drzwi otworzyła pani Celinka:

– A co ty tu robisz, kochane dziecko? – zapytała.

– Przyszłam odwiedzić panią Stefanię. Mam kawałek ciasta od mamy i historię, którą koniecznie chciałam opowiedzieć pani Stefanii. Ale bardzo chętnie opowiem ją też pani. I ciasta też powinno wystarczyć – usta Blanki niemal się nie zamykały.

– Wchodź, dziecinko, wchodź – uśmiechnęła się pani Celinka. – Przecież my cię uwielbiamy i bardzo chętnie posłuchamy twojej historii. Musi być niesamowita, bo aż wypieków dostałaś na policzkach.

– A co to są wypieki? – zapytała dziewczynka.

– To takie specjalne rumieńce, które pojawiają się przy wyjątkowych okazjach. Ta na pewno taka jest. Bardzo się cieszę, że cię widzę, kochane dziecko – pani Stefania wychyliła się ze swojego pokoju. – Zapraszam więc na herbatkę, szanowne panie. Celinko, zaparzysz? Ta młoda dama ma nam na pewno coś bardzo ciekawego do opowiedzenia. Wchodź, kochana – zapraszała pani Stefania.

Blanka jeszcze nigdy nie była w pokoju pani Stefanii. Ile tu książek! Aż do samego sufitu! I te figurki aniołków. Były na każdej półce... Blanka stała zafascynowana, a starsze panie obserwowały jej zachwyty. Tak mało osób docenia dziś bogate biblioteczki i potrafi się na chwilę zatrzymać, chłonąc atmosferę miejsca. Blanka była wyjątkowo wrażliwą i otwartą na świat dziewczynką. Do tego też dobrze wychowaną i rozkochaną w książkach. Pani Stefania przypominała sobie, że Joanna wspominała kiedyś, że jej córeczka nie zaśnie bez ulubionej bajki. Jakie to piękne!

Kiedy Blanka już nieco ochłonęła, a herbatka zdążyła się zaparzyć, usiadły we trzy przy pięknym, okrągłym stoliku. Zaraz też dziewczynka na środek położyła przepiękny kamień w kształcie serca.

– Znalazłam go dzisiaj w trawie. Tak pięknie błyszczał... Na pewno jest magiczny – wyszeptowała. – A wiem, że panie też są wyjątkowe i magiczne, dlatego musiałam go wam pokazać.

– Jest śliczny – pani Celinka nie kryła zachwyty. – I nawet coś mi przypomniała. Stefciu, kochana, czy ten kamień nie wiąże się z jakąś ważną historią w twoim życiu?

W oczach pani Stefanii błyszczały łzy. Podobny podarowała jej kiedyś bliska przyjaciółka. Miał być symbolem ich nieskończonej przyjaźni, jednak wojna

rozłączyła obie dziewczyny i nigdy więcej się nie spotkały. Podczas przeprowadzki do Warszawy pani Stefania zagubiła gdzieś swój kamień, a teraz bardzo podobny leżał na stoliku w jej własnym pokoju... Niesamowite! I do tego przyniosła go właśnie Blanka, tak bliska obu starszym paniom.

– Kochana Blaneczko, ten kamień jest magiczny. Tak jak i ty. Przypomina mi moją wspaiałą przyjaciółkę Wandę, z którą rozłączyła mnie wojna – pani Stefania nie kryła wzruszenia. – Chcę żebyś wiedziała, że miałam kiedyś bardzo podobny. Dostałam go na pamiątkę, ale niestety zgubiłam go. Potem zaczęłam kolekcjonować anioły – przynosili mi je przyjaciele i znajomi, i jak widzisz, mam ich wokół siebie mnóstwo. Ty, póki co, jesteś jeszcze całkiem małą dziewczynką. Ten kamień potraktuj jako magiczny. Pierwszy w swoim życiu. Pilnuj go i dbaj o niego, pocieraj i wypowiadaj czarodziejskie zaklęcia. Tak długo, jak będziesz w nie wierzyć, będą miały moc spełniania się. A kiedy już dorosisz i będziesz podejmować jakąś ważną decyzję w swoim życiu, podaruj go bliskiej osobie. Może to być przyjaciółka, kuzynka, kolega – ktoś, kto będzie dla ciebie bardzo ważny.

– Pani Stefanio, on naprawdę ma czarodziejskie moce? – nie dowierzała Blanka. – Przecież leżał ot tak, w trawie. Każdy mógł go znaleźć i podnieść.

– Ale nie każdy to zrobił. On czekał właśnie na ciebie. Na osobę z ogromnym serduszkem pełnym miłości. Na istotkę tak dobrą i szczerą jak ty – pani Stefania powiedziała to z takim przekonaniem, że trudno byłoby się z nią spierać. – A teraz leć do domu i schowaj go gdzieś. Niech będzie twoim najcenniejszym skarbem. Pilnuj go, dbaj o niego i pocieraj zawsze wówczas, gdy będziesz o czymś marzyć.

Ale pamiętaj – ostrzegła pani Stefania – nie mogą być to rzeczy materialne, czyli zabawki, lalki, ubranka. To mają być rzeczy duchowe, nieuchwytnie.

– Takie jak zdrowie, miłość, szczęście – dopowiedziała pani Celinka. – Jesteś mądrą dziewczynką i zupełnie nieprzypadkowo stałaś się właścicielką tego magicznego kamienia. Nigdy nie przestawaj wierzyć w jego moc i wielką moc życzeń.

– Dziękuję! Są panie kochane! Już wiem nawet, gdzie go położę. Dostałam ostatnio taki piękny naszyjnik od rodziców. W tamtym pudełeczku na pewno się zmieści. Do widzenia! – i już Blanki nie było. A starsze panie jeszcze długo siedziały nad filiżankami herbaty i wspominały dawne czasy. Ile się w ich życiu zmieniło... Mimo wszystko jednak na świecie wciąż były tak mądre i pełne miłości dziewczynki jak Blanka. To dawało nadzieję na to, że świat jeszcze do końca nie zwariował i nie stał się na wskroś materialny.

Magiczny kamień wylądował pod łóżkiem Blanki. W pudełeczku z miętą wyściółką. Na pewno było mu tam bardzo wygodnie. Z pewnością podobało mu się również to, że dziewczynka często go oglądała, brała do ręki i prosiła o różne ważne rzeczy. Nieradko kładła go pod poduszkę, by mieć go zawsze blisko i by żadne straszne sny nie przychodziły do niej w nocy. Był lepszy nawet od ulubionej przytulanki, Królika, który towarzyszył małej Blance już od pierwszych dni na świecie. To była pierwsza maskotka, którą dziewczynka otrzymała w prezencie od swojej mamy chrestnej. Królik był jej przyjacielem

od zawsze, jednak to magiczny kamień służył do spełniania życzeń. Kolejne zostało wyszeptane z rana, tuż przed zakończeniem wakacji. Nikt jednak go nie usłyszał – tylko Blanka wiedziała, o co poprosiła.

Któregoś dnia, gdy Blanka bawiła się w swoim pokoju, do drzwi zapukała mama.

– Kochana córeczko, masz gościa – powiedziała tajemniczo.

Gościa? Blanka wprawdzie nikogo się nie spodziewała, ale czasami odwiedzali ich niezapowiedziani goście. Często przyjeżdżała chrestna z synkiem, koledzy taty z pracy, raz nawet odwiedziła Blankę koleżanka z przedszkola. Ale kto przyjechał tym razem? Dziewczynka była bardzo ciekawa. Nie przejęła się nawet tym, że ma nieporządek w pokoju. Kilka susów dzieliło ją od tego, by opuścić pokój i znaleźć się w przedpokoju.

– Blankaaaaa! – okrzyk Justynki był przepełniony radością. Dziewczynka tak się rozpędziła, że wpadła na swoją koleżankę i ją przewróciła. – Nic ci się nie stało? Ja tak bardzo się cieszyłam, że będę mogła w końcu się z tobą zobaczyć!

Blanka była bardzo szczęśliwa. Tak bardzo, że aż zabrakło jej słów. Jej ulubiona koleżanka Justynka. Tak blisko i to nie w szpitalu, ani nawet w przedszkolu. Ale w jej domu. Nareszcie! Czy to znak, że w końcu wyzdrowiała?

– Dziewczynki, idźcie pobawić się do pokoju Blanki. Jak przygotowujemy wam coś dobrego do jedzenia, od razu was zawołamy – z radością powiedziała mama Blanki.

Nie trzeba było im tego dwa razy powtarzać. Zniknęły tak szybko, jak Ju-

stynka pojawiła się na schodach. Obie kobiety udały się więc do kuchni, by porozmawiać. Po mamie Justynki było widać, że kamień spadł jej z serca. Jak się okazało, stan zdrowia córeczki znacznie się poprawił i tak częste wizyty w szpitalu nie będą już konieczne.

W czasie, gdy mamy przygotowywały podwieczorek i rozmawiały, dziewczynki bawiły się doskonale. Śmiechom nie było końca. Justynka opowiedziała Blance o wszystkich koleżankach poznanych w szpitalu, a nawet o koledze, który podarował jej na pożegnanie słonika na szczęście. Oczywiście z wyniętą do góry trąbą. Blanka słuchała, a w końcu także postanowiła podzielić się swoją tajemnicą. To właśnie kamień sprawił, że mogła cieszyć się bliskością koleżanki.

– Justynko, ja też chciałabym ci coś powiedzieć – w końcu się odważyła. –

W czasie kiedy byłaś w szpitalu, bardzo chciałam, byś wyzdrowiała. Udało mi się znaleźć w trawie przepiękny, mieniący się odcieniami złota kamień. Moje sąsiadki potwierdziły, że ma on magiczną moc. W trudnych chwilach pocierałam go i wymawiałam życzenie. Jednym z nich było to, byś w końcu wyzdrowiała.

– Dziękuję ci bardzo – Justynka była bliska płaczu. – Ja od początku wiedziałam, że jesteś moją najlepszą przyjaciółką. Od tej pory będziemy miały wspólne tajemnice i marzenia. A wiesz, że ja zgodnie z życzeniami od ciebie i twojej mamy, nie przestałam marzyć? Dzięki temu też moje zdrówko się poprawiło. Teraz już nie będę musiała tak często pojawiać się na badaniach w szpitalu.

– Super! – Blanka była bardzo zadowolona. – A czy to oznacza, że teraz będziesz mnie dużo częściej odwiedzać?

– Oczywiście, że tak! Pod warunkiem jednak, że będziesz mnie do siebie zapraszać! – Justynka się uśmiechnęła. – A teraz pokaż mi lepiej ten magiczny kamień. Nigdy w życiu takiego nie widziałam.

I kiedy Blanka miała już sięgnąć pod łóżko i do pudełeczka z kamieniem, rozległ się głos z dołu:

– Dziewczynki, zapraszamy na dół. Pyszne naleśniki i kakao czekają na was na stole.

Blance i Justynce nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Szybko zbiegły na dół i oddały się pałaszowaniu przepysznego podwieczorku. Bo trzeba wam wiedzieć, że mama Blanki była prawdziwą czarodziejką w tworzeniu wyjątkowo pysznych naleśników. A magiczny kamień cierpliwie czekał pod łóżkiem Blanki na kolejne życzenia. Spełni je wszystkie – byle tylko nie przestać marzyć!



MARTA HAPUNIK

– urodzona w 1987 roku, ukończyła dziennikarstwo i komunikację społeczną na Uniwersytecie Warmińsko-Mazurskim w Olsztynie. Aktualnie copywriterka, szukająca swojego miejsca w świecie pisania.

Specjalizuje się w tworzeniu okolicznościowych, spersonalizowanych rymowanek – życzeń i wierszy. Pasjonatka książek, w tym publikacji dla dzieci. Prywatnie mama wspaniałego dziesięciolatka.

Kobiety wydają mi się ciekawsze...

– rozmowa z Igorem Brejdygantem



fol. Bogumiła Maleszewska-Oksztol

Justyna Sawczuk: Która fascynacja pojawiła się pierwsza – słowem czy obrazem?

Igor Brejdygant: Może rzeczywiście najpierw „zagadał” do mnie film, kiedy byłem bardzo mały. Tata mi mówił też, że jako pięciolatek oglądałem album z ikonami, z Galerii Trzeciakowskiej, więc pierwszy był zapewne obraz, ale literatura bardzo szybko dołączyła do tej fascynacji.

A miał Pan w dzieciństwie swoją ulubioną książkę?

Odpowiem dość banalnie – bardzo lubiłem *Małego Księcia*. Tę książkę można czytać po wielokroć. Za każdym razem mówi do człowieka w nieco inny sposób.

W ten świat literatury wprowadzali Pana rodzice?

Myślę, że tak. Konkretnie – mój tata mnie wprowadzał, w apodyktyczny, bardzo kierunkowy sposób – z tego musiałem się wyzwolić. A później przyszedł czas młodzieńczego niepokoju, fermentu, kiedy zaczęliśmy w liceum z kolegami, koleżankami napędzać się nawzajem, szczególnie do literatury, ale też do kina.

Kiedy pomyślał Pan o sobie, że jest gotów na to, by wydać książkę?

To był ten moment, kiedy spotkałem się z moim pierwszym wydawcą – panią Hanną Grudzińską z Wydawnictwa Marginesy. Pierwszy ukazał się *Paradoks*. Miałem świadomość, że tam jest ogromny zapas treściowy, ponieważ scenariusz jest szczególną, dość hermetyczną i lapidarną formą komunikacji. Staram się, żeby w scenariuszu słów było jak najmniej, ale tworząc go, wyobrażam sobie, co myślą bohaterowie, co ich niepokoi itd. Po czym tego scenariusz już nie zawiera... Stąd wspomniany zapas czy nadmiar treściowy.

Bo przypomnijmy – *Paradoks* został wydany po tym, jak ukazał się serial o tym samym tytule.

Tak. Mam takie różne przygody – albo piszę scenariusz na podstawie książki, teraz swojej, wcześniej kolegów, albo mam doświadczenie odwrotne – pisanie powieści ze scenariusza. Ale to chyba wtedy przyszło mi do głowy, że dam radę też w powieści. Tu nie miałem takiego doświadczenia zawodowego jak w filmie, do którego zacząłem się przyuczać już nosząc kawę jako asystent reżysera lata wcześniej, bo pracowałem w filmie od wczesnych lat dziewięćdziesiątych. No ale w sumie film też jest opowiadaniem, więc to nie są szczególnie odległe od siebie sfery.

Ale jest to jednak troszeczkę inna materia. Do tej pory pracował Pan z materiałem filmu, następnie nadeszła pora na pracę z literaturą. Co było najtrudniejsze w tym „przejściu”?

Strasznie dużo słów trzeba napisać, jak się pisze powieść. Osiemset tysięcy znaków to jest naprawdę spore wyzwanie.

Ale, pisząc pierwszą powieść, nie liczył Pan, czy już jest tych osiemset tysięcy?

Nie, nie liczyłem, choć wiedziałem jakie jest zamówienie, jakiej to musi być objętości i musiałem się wyrobić. Przy pierwszej powieści nie miałem jeszcze doświadczenia i w pewnym momencie okazało się, że nie jestem w stanie zarzucić tej ilości materiału, narracji, jaka była w serialu. Musiałem się ograniczyć, więc w powieści jest mniej więcej połowa epizodów serialowych.

Po przeczytaniu *Paradoksu*, pomyślałam, że to jest bardzo dobrze poprowadzona intryga i bardzo topornie napisana powieść. Jakby

któs nieudolnie próbował przełożyć na język literacki tekst główny, a co gorsza dodał na siłę didaskalia. Tym większe było moje zdumienie, kiedy sięgnęłam po *Szadz*, czyli kolejną Pana powieść, i zobaczyłam jak Pan pięknie maluje sceny słowami. Zaczęłam się zastanawiać, co się wydarzyło pomiędzy *Paradoksem* a *Szadzią*?

Nie zastanawiałem się nad tym do tej pory, ale wydaje mi się, że znam odpowiedź. Otóż rzeczywiście w *Paradoksie* miałem taki wewnętrzny oblig, że muszę jakoś odrobić historię serialową. Wiem również z doświadczenia, że nie ma dla twórcy gorszej rzeczy niż wchodzenie w te same buty. Jeżeli ja coś re-tworzę, to nie wychodzi to najlepiej. Ale reasumując ten wątek to kierunek jest słuszny, gorzej jakby było odwrotnie, bo nie ma gorszej wiadomości dla twórcy, że zaczął dobrze, a był regres.

Tu zdecydowanie widać postęp, bo kolejna powieść – *Rysa* mnie zachwyciła. A dlaczego akurat kryminały? To wydawało się najprostszy wyzwanie?

Powieść kryminalna nie jest wcale taką prostą formą literacką. A dlaczego kryminał? Zajmuję się głównie utrzymywaniem rodziny. Tak jakoś wyszło, że rynek filmowy, serialowy miał duże zapotrzebowanie na historie kryminalne. I nadal ma. To się dosyć dobrze ogląda.

I chyba też nieźle się sprzedaje? Patrząc na listy bestsellerów...

Tak. Ten proces jest z grubsza ten sam, tzn. czytający jest oczywiście intelektualnie bardziej zaawansowany, bo trudniej jest czytać, niż tylko oglądać. Chciano, żebym napisał kryminał, więc pisałem kryminał. Ale nie tylko o to chodzi. Ja mam taki konstrukt wewnętrzny,

że spiskowa jest moja umysłowość, więc skorzystałem z tego, że jestem trochę wariatem, a po drugie lubię zagadki i tajemnice. Kryminał to zbrodnia, a zbrodnia jest dla mnie tajemnicą, choćbym nie wiem jak ją motywował, tłumaczył, to i tak jej nie rozumiem dokładnie.

A bierze Pan pod uwagę, że mógłby napisać coś innego?

Biorę to pod uwagę. Nawet niedawno przyszedłem do wydawnictwa z takim pomysłem, który miał co prawda lekkie zabarwienie kryminalne, ale jednak był bardziej powieścią obyczajową. Pomysł wydawał mi się dosyć intrygujący, ale wydawca stwierdził, że jeżeli ta powieść wyjdzie, to trafi na półkę z literaturą piękną, czyli przepadnie. Krótko mówiąc, w przypadku literatury pięknej, oprócz tych naprawdę wybitnych pisarzy, nagradzanych Noblem, trudno jest zostać zauważonym. Ale mam w sobie gotowość stworzenia czegoś innego niż kryminał.

Jeszcze wrócimy do elementów niekryminalnych w Pana powieściach, ale pozwoli Pan, że na chwilę zatrzymam się przy głównych bohaterkach: Joanna Majewska, Agnieszka Polkowska, Monika Brzozowska – kobiety, policjantki. Czy nie byłoby Panu łatwiej jako mężczyźnie stworzyć postaci męskiej, będącej odpowiednikiem tych pań? Bo owszem, postaci męskie w Pana powieściach są, ale ciężar dążenia do sprawiedliwości złożył Pan na barki kobiet.

Może byłoby łatwiej, ale nie wiem, czy lepiej. Ja zacząłem łatwiej, w pierwszej powieści *Paradoks*, stworzyłem postać komisarza Kaszowskiego, którego w serialu zagrał Bogusław Linda. Czasem mi się wydaje, że to taki lepszy mo-

del mnie samego. A co do tych kobiet... Nie wiem. Lubię kobiety.

Skąd te kobiety?

Z życia. Mam żonę i dwie córki, więc jestem otoczony kobietami, przyglądam się im, kobiety mnie fascynują. Poza tym też poczułem, że kobiety mogą być taką fajną kontrą do rzeczy, które mnie w tym świecie denerwują, do agresji, cynizmu, chciwości. Kobiety wydają mi się uczciwsze, ambitniejsze, a przez to ciekawsze. Poza tym zawsze tworząc coś, staram się sobie rzucać kłody pod nogi, bo omijanie ich pomaga fabule.

Żona jest Pana pierwszym recenzentem?

Bywała wcześniej, teraz się trochę boję, bo żona jest strasznie wnikliwym recenzentem, bezkompromisowym.

Te powieściowe kobiety bardzo dobrze Panu wyszły, tzn. są prawdziwe, ja je kupuję jako czytelnik, widzę w nich postaci, które mogłyby istnieć, stąd pytanie o konsultację z żoną...

Konsultacja może nie, ale żona jest wnikliwa, zawsze się potem boję, że jak ją zapytam, to spuści wzrok, a ja wtedy nie wysłę tego dalej i...

Siada pan i pisze jeszcze raz?

Spędziłem pół roku nad tym, więc... Ona ma analityczny umysł, co w przypadku kryminałów jest bardzo przydatne, wylapuje niekonsekwencje, powtórzenia, nielogiczności, ale też gromadzi dużo różnych historii, jest obserwatorem. Ja też jestem obserwatorem, ale ona mi „dokłada” te swoje obserwacje. Korzystam z nich.

Pana powieści to nie tylko kryminały. Doszukałam się w nich

przynajmniej kilku tzw. „innych problemów społecznych”. Jest tam m.in. uzależnienie od alkoholu i narkotyków, niemożność porażenia sobie ze stratą bliskich, kobieta w patriarchalnym środowisku policyjnym, trudne relacje na linii rodzic–dorosłe dziecko czy też polityczno-kościelne układy. Czy na etapie tworzenia myślał Pan o tym, że to na tyle ważny temat, że warto zainteresować tym potencjalnego czytelnika?

Chyba nie mam tego rodzaju myślenia, co nie oznacza, że lekceważę czytelnika, ale przede wszystkim próbuję pisać o rzeczach, które frapują mnie, a wychozę z założenia, że czytelnik jest partnerem. Problemy, z jakimi się stykam nie są jakieś szczególnie osobnicze czy indywidualne, rozwikłując dla siebie pewne kwestie, mam nadzieję, że zaciekawiam też czytelnika.

Na ile mocno trzyma się Pan pewnych ram, założeń, które przyjmuje Pan siadając do pracy nad powieścią? Z moich rozmów z innymi autorami kryminałów, wynika że rozpoczynając pracę nad książką, wiedzą doskonale kto zabił, mają pewien zarys fabuły.

No tu nie będę oryginalny. Mam podobnie, tzn. ta główna rama, czyli kto zabił, mi się nie wymyka.

Nie zdarzyło się, żeby...

...żeby zabił ktoś inny? Nie, ale zdarzyło się, że zmieniła się motywacja.

To teraz jedno z moich ulubionych pytań: czy Pana bohaterowie mają pierwowzory w rzeczywistości? Czy ktoś z Pana przyjaciół do-

szukiwał się podobieństw np. do wspólnych znajomych?

Owszem, moi znajomi doszukiwali się podobieństw do mnie. Nawet w tych paniach, które są moimi bohaterkami. Co do pierwowzorów – to są zlepkki. Nie jest tak, że dana postać jest identyfikowalna, aczkolwiek w przypadku *Paradoksu*, zadzwonił do mnie człowiek, który nazywał się tak, jak nazwałem jedną z postaci i wziął udział w takiej właśnie intrydze, jaką opisałem. Więc moja odpowiedź może być dla pani w tej chwili mylna, tzn. może są jakieś pierwowzory.

Odpowiedź na to pytanie, prowokuje mnie do zadania kolejnego. Ile jest Igora Brejdyganta w jego książkach?

Trudno mi do końca odpowiedzieć, bo dokładnie nie wiem jaki jestem. Ludzie twierdzą, że sporo mnie w języku i sposobie opowiadania dlatego, że mam taki zdystansowany ogląd świata.

Nie chcę się bawić w psychoanalizę, ale chciałabym na chwilę wrócić do Pana wyboru zawodowego. W jednym z wywiadów wspomniał Pan, że jako młody człowiek bardzo łaknął Pan akceptacji, w tym akceptacji ojca. Czytajac Pana biogram i widząc tam kolejne profesje: pisarz, scenarzysta, reżyser, miałam wrażenie, jakbym czytała biogram Pańskiego taty – Stanisława Brejdyganta. Czy ta droga zawodowa była jakąś próbą uzyskania tej akceptacji? Na ile to był Pana wybór, a na ile konsekwencja relacji z ojcem?

Miałem z tym kiedyś problem, ale doszedłem do wniosku, że nie ma czegoś dramatycznie złego w tym, że syn zaczyna robić mniej więcej to samo, co ojciec.

Akceptacja tak, na początku niewątpliwie o to chodziło. Element współzawodnictwa troszkę...

Jest rywalizacja?

No pewnie tak. Trzeba byłoby tatę zapytać. Niby jestem w tym samym obszarze – pisanie, słowo, film, ale wydaje mi się, że mam na to trochę inny pomysł. Ja jestem multiinstrumentalny, mój tata łączy te funkcje w jedno i to nie jest dobre, dlatego ja, często widząc ten jego błąd, oddaję różne pola, tzn. jeżeli piszę literaturę, adaptację scenariuszową, to już nie chciałbym się podejmować reżyserowania tego. Nie żebym nie umiał, ale potrzebny jest wkład innych ludzi. Wszystkie elementy działania nie mogą być z jednej głowy. Gram też tylko pomniejszych postaci, w swoich serialach nie obsadzam się w głównej roli. Nie wymieniła mnie pani jako aktora. I słusznie, bo przez szacunek

dla tego zawodu, to w moim biogramie nie powinno być wymieniane. Przynajmniej jeszcze nie. Trzeba dużo się nauczyć, żeby być aktorem.

Ma Pan pewne osiągnięcia, pewną wyrobioną pozycję zawodową. Opinia ojca nadal jest ważna?

Tak, oczywiście. Może nie aż tak ważna, jak kiedy miałem pięć lat, ale jest ważna. Natomiast jest dużo osób mi bliższych, których opinia dla mnie jest bardzo ważna. To nie jest tylko jeden ojciec i to jest istotne. Niezwykle ważna jest dla mnie opinia: żony, córki, Krzyśka [Zalewskiego – brata Igora Brejdyganta – przyp. red.], przyjaciół.

Pisze Pan scenariusze seriali kryminalnych. Zdarza się Panu prywatnie oglądać takie seriale?

No pewnie. Gorzej jakby o książki

mnie pani zapytała. Kryminalnych książek czytam trochę mniej. Seriale kryminalne oglądam nałogowo. Też nie tak, że każdy wchłaniam, bo musi być pewien poziom jakości. Czasem odpadam odciniek albo dwa, czuję, że to mnie nie pociągnie i odpuszczam, ale jest wiele takich, które zabrały mnie totalnie.

A ogląda Pan, przepraszam za określenie, jako taki „zwykły widz”, czy może ma Pan, również przepraszam za określenie, „zbożenie zawodowe” i myśli Pan: „O matko, jak fatalnie napisany ten dialog” albo: „Ta scena powinna zupełnie inaczej wyglądać”?

No mam trochę, ale jeżeli trafia się dobry serial, którego ja nie byłbym w stanie tak napisać, to już nic nie mam do powiedzenia. Po prostu gapię się jak „sroka w gnat”.

Rozmowa jest zapisem fragmentu spotkania autorskiego, zorganizowanego w ramach cyklu „Środy Literackie”, zarejestrowanego 23.09.2020 roku w Książnicy Podlaskiej im. Łukasza Górnickiego w Białymstoku.

IGOR BREJDYGANT



– studiował w Państwowej Wyższej Szkole Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej im. Leona Schillera w Łodzi na Wydziale Organizacji Sztuki Filmowej. Popularność przyniosły mu powieści kryminalne: *Paradoks*, *Szadz*, *Rysa* oraz *Układ*. Jest autorem scenariuszy filmów fabularnych oraz seriali.

Laureat Nagrody Specjalnej im. Janiny Paradowskiej na Międzynarodowym Festiwalu Kryminału we Wrocławiu w 2019

roku za powieść pt. *Rysa*. Za tę książkę Autor był także nominowany do Nagrody Wielkiego Kalibru 2019. Powieść znalazła się na liście książek przedstawionych do nominacji do Nagrody Kryminalnej Piły dla Najlepszej Polskiej Miejskiej Powieści Kryminalnej roku 2019.

Na podstawie powieści *Szadz* w 2019 roku powstał serial z Maciejem Stuhrem i Aleksandrą Popławską w rolach głównych.

fot. Bogumiła Maleszewska-Oksztol

Martyna Bielska, tekst / Marcin Poważa, grafiki

„Wśród nocnej ciszy płaczemy”

Poziom minus jeden. Pod sufitem niewielkie lucfiki wpuszczają światło dzienne. Odrapane czarne biurko, na nim komputer ze starym monitorem i sprzęt grający. Po przeciwnej stronie na stole półorametrowej długości akwarium z czystą wodą. Ryby też są, ale nieliczne. Pod ścianą złożony stół do tenisa. W rogu krzesła powtykane w siebie piętrowo. Rozmawiamy w radiowęźle w piwnicy. Żeby tu dotrzeć wylegitymowałam się, w depozycie zostawiłam telefon i laptop z ładowarką, przeszłam przez statyczny detektor, pokonałam kilka elektrycznych bram na kody, w gęstym deszczu przebiegłam przez plac za drutem kolczastym, do budynku oddziału półotwartego zakładu karnego.

Tu wewnętrzny regulamin określa, kiedy skazani mogą swobodnie poruszać się po wyznaczonych obszarach. Są zatrudnieni i mają wewnętrzny grafik pracy, za którą płaci im zakład karny. Na oddziale otwartym więźniowie pracują poza murami więzienia. Na całym obiekcie są 294 pryce. W celach od czterech do dwunastu osób. Wolnych miejsc około dziesięciu. Rotacja jest każdego dnia.

Przed świętami osadzeni malują obrazy, kleją kartki bożonarodzeniowe, tworzą bombki na choinkę, składają świece. Wszystko na cele charytatywne i pomoc potrzebującym dzieciom.

Siedząc przy biurku w radiowęźle, czuję się, jak na przesłuchaniu. Tyle, że to ja pytam.

Fajerwerki

z za krat

TOMASZ, 38 lat

W więzieniu spotyka się z kapelanem prawosławnym, chodzi na msze. We wtorek i czwartek może się wyśpowiadać i wspólnie pomodlić. Przed świętami angażuje się w więzienne akcje pomocy lokalnym stowarzyszeniom. Ręcznie robi pocztówki i bożonarodzeniowe ozdoby.

– Czas przedświąteczny skłania do refleksji, przemyśleń, jakichś wyrzeczeń, postanowień. Jest widzenie z rodzinami organizowane przed świętami – mówi wpatrzony w podłogę.

Tomasz pochodzi z Białegostoku. W celi spędzał święta ponad dziesięć razy. Zanim trafił do tej placówki, wyroki odsiadywał w więzieniach w całej Polsce.

Szkołę zaczynał w Czarnym. W Iławie siedział w zakładzie dla młodocianych. W tym zakładzie karnym jest od roku. Poprzedni, trzyletni wyrok odsiedział w tej samej placówce. Anonimowy alkoholik.

– Miałem karę łączną na 20 lat więzienia, wyszedłem na warunkowym zwolnieniu. Do końca zostały trzy lata i osiem miesięcy – wylicza. – Za nadużywanie alkoholu odwiesili mi wyrok i wróciłem do zakładu.

Udowodniono mu rozbój, kradzież i pobicia. Sam mówi, że to podwórkowe młodociane sprawy. Pierwszy raz skazany w 1997 roku. Ma pięciu braci, z których jeden już nie żyje. Reszta rozproszona po świecie. Jest z nimi w kontakcie.

– Byłem niepokorny, pyskowałem do sędziów – widzę, że mu gorąco i ma krople potu na skroniach.

Z prawem zaczął grać mając 17 lat. Motywów działania nie pamięta. Winą obarcza głupotę i młodzieńczą beztroškę. – Nic rozsądnego plus moja lekko-myślność – dodaje.

Po długoletnich odsiadkach wyszedł i pił. – Może dlatego, że za długo siedziałem w więzieniu i wolność mnie przerosła – tłumaczy się teraz. Liczy, że za trzy lata będzie żył inaczej.

Na wolności zostawił żonę i 3,5-letniego syna Gabriela. Ślub wziął w 2013 roku zaraz po wyjściu z zakładu karne-



go. – Moja narzeczona czekała wtedy na mnie – wtrąca. – Syn myśli, że jestem w szpitalu. Jest jeszcze za mały, żeby wiedzieć, gdzie jestem. Nie widuję go bezpośrednio. Za to dzwonię codziennie i ze skajpa w każdą sobotę korzystam. Śpiewam mu piosenki. Pyta mnie, czy jestem zdrowy i co może zrobić, żebyśmy wyzdrowiali. Nie chcę, żeby tu przychodził. Po co ma pamiętać tatę z więzienia. Może wszystko inaczej się potoczy i nie będzie musiał o tym wiedzieć, bo ja się bardzo wstydzę i żałuję przeszłości – niemal szepcze.

Pytam o nieco wyblakłą kropkę przy lewym oku. Po tatuażu syn przecież się dowie, gdzie był. Dolne powieki jak w permanentnym makijażu, tyle że kolor niestandardowy.

– Zdążyę wybarwić zanim dorosnie. Za małolata to zrobiłem, też w dziewięć-

dziesiątym siódmym. Takie po prostu wzorki – niechętnie, ale wreszcie przyznaje się, że miał epizod z grypsującymi. – Teraz też – dopowiada już z większym przekonaniem.

Żeby znowu wcześniej wyjść z paki pracuje w ekipie remontowo-budowlanej na terenie zakładu karnego, działa w pracowni plastycznej, kończy wyjazdową terapię alkoholową w Garbalinie. Wcześniej chodził na zajęcia o agresji, edukacyjne o alkoholu, zaliczył kurs glazurnika. Czyta książki.

– Najbardziej tęsknię za rodziną, za dzieckiem. Żałuję, że pod wpływem alkoholu kierowałem się różnymi emocjami, nie zauważałem tego, co najistotniejsze w moim życiu, czyli uśmiechu dziecka, starań żony. Przerosła mnie ta wolność, zachłysnąłem się nią. Trafiłem na izbę wytrzeźwień – mówi, że wtedy

z chorobą alkoholową nie krył się i nie walczył.

Teraz pracuje od ósmej do czternastej. Za remont wnętrza i usuwanie usterek w budynku ma prawie 13 złotych za godzinę. – Pieniądze wydaję na zakupy na wypisce. Część idzie na zadłużenie komornicze z tytułu alimentów na Gabriela, część na kasę żelazną na wyjście, część na aktywizację zawodową i pomoc postpenitencjarną i podatki – wymienia obowiązkowe składki.

Po wyjściu chce wyjechać z rodziną za granicę, ale myśli też o działalności budowlanej. Wcześniej pracował na budowach, przy wykończeniach wnętrza, w sezonie przy elewacjach. Na wolności skończył przyuczenie do zawodu na blacharza-lakiernika w cechu rzemieślniczym. Półtora roku pracował w zakładzie kamieniarskim, gdzie wcze-



śniej zamówił pomnik zmarłym rodzicom. Odwiedzali go w więzieniu, zanim zachorowali na nowotwory. – Też byli alkoholikami i jedno złożyło się z drugim. Można powiedzieć, że jestem dzieckiem DDA, ale mogłem kierować się inaczej – zaznacza, że to niczego nie usprawiedliwia.

Po warunkowym zwolnieniu, miał sądowy nakaz powstrzymywania się od picia. Zaczynał kilka terapii antyalkoholowych. Przerzywał je, potem zaszywał esperal i wracał na kolejne sesje terapeutyczne. Miał już syna, ale przerosły go frustracja i brak motywacji. Pasma niepowodzeń i stracony dach nad głową po śmierci rodziców. – Zaczęło mnie to przerastać wszystko, nie dawałem sobie rady i poddałem się. Byłem za słaby – mówi teraz. – Cele na oddziale mamy pootwierane i może-

my chodzić sobie z jednej do drugiej. W Sylwestra zawsze jakieś ciasto, czekolada i kawa. I patrzymy na fajerwerki przez kraty.

Pogodzony z losem

ŁUKASZ, 36 lat

Trzecie święta w więzieniu. Od trzech lat pozbawiony wolności, ponad trzy do końca odsiadki i trzecia kara. Pierwszy raz skazany w wieku 20 lat. Pochodzi z Białegostoku. Zawód wyuczony tokarz-frezer. Odpłatnie pracuje w więziennym radiowęźle. Kiedy rozmawiamy, siedzę na jego fotelu.

– Z pomówienia wszystko – szydzi. – Za niektóre zasłużyłem. Normalne kradzieże z domów, sklepów i bezpośrednio. Bo szybki pieniądz. Teraz znalazłem się w nieodpowiednim miejscu. Nie popełniłem przestępstwa – wypiera się. – Czasami impuls, czasami życie popycha w tę stronę. Wydawało mi się, że powoli swoje życie zaczynam układać, a tu niefortunny wypad i jestem z powrotem.

W przerwach w odsiadkach pracował, miał kobietę, wynajmował mieszkanie i zarabiał. Uważa, że ostatni wyrok dostał przez niefart: – Wsiadłem z kolegą do samochodu, nie wiedziałem, że coś narozrabiali, kiedy zatrzymała nas policja. W grupie byłem jedyny recydywista, reszta niekarana wcześniej. Skoro recydywista to brał udział. Nie dało się wypłatać, mimo że miałem świadków.

Skazany za pobicie, współników nie wkopał. Do pobitego jeździł i próbował się dogadać. – Powiedział, że nic go to nie obchodzi. Był pijany wtedy, a ja go nie znałem. Mnie tam nie było. Nie udało się tego udowodnić ze względu na rezydwy – przekonuje.

Pytam o tatuaż nad czołem tuż przy linii włosów.

– Dawno temu.

– To takie namaszczenie?

– Przyzwyczaiłem się do niego – i odmawia rozszyfrowania skrótu już trochę wyblakłych liter.

W ubiegłym roku przed świętami malował obraz dla dzieci na aukcję charytatywną. Kilka tygodni temu wyklejał pocztówki i składał świece. – Czasami fajnie jest zrobić coś od siebie dla kogoś, bezinteresownie – słyszę dumę w jego głosie.

Święta spędzi w celi: – Wtedy każdy jest wyciszony albo stara się nie myśleć. W celi dzielimy się oplatkiem. Po paru latach w więzieniu człowiek akceptuje to, gdzie jest. Godzi się z losem.

Ostatni

więzień systemu

JAROSŁAW, 46 lat

W zakładach karnych spędził 21 lat. Do końca odsiadki zostało mu prawie pięć. Skazany za zabójstwo wyrokiem sądu wojkowego. Pytam o okoliczności. Zastanawia się dłużej. Milczymy.

– Lata płyną, mi jest coraz bardziej z tego powodu przykro. Do takiej sytuacji nie można się zdystansować. Życie człowieka to dobro najwyższej miary. Nie ma nic ważniejszego na ziemi. I jeśli

komuś to życie się odbiera to opowiadanie o tym i wchodzenie w szczegóły jest dla mnie ciągle trudne – słyszę i odczuwam próbę odwrócenia mojej uwagi. Nalegam.

Pochodzi z Bieszczad i tam zabił, jako żołnierz na przepustce. Zanim na początku 2015 roku trafił do półotwartego zakładu w północno-wschodniej części kraju, był rzuwany po różnych zamkniętych więzieniach.

– Odbywam ciągle ten sam wyrok. Warunkowe zwolnienie po 18 latach zostało odwołane, bo dopuściłem się dwóch przestępstw, zagrożonych karą grzywny i karą więzienia. Byłem prawie pięć lat na wolności. W jakiś dziwny sposób zapomniałem, że jestem karany i na warunkowym – nie chce wyjawiać, za jakie czyny wrócił do więzienia. Mówi tylko: – Kara, ze względu na niską szkodliwość czynu zawinienia. Sąd ustalił, że jestem człowiekiem zdemoralizowanym, pomimo, że spędziłem połowę życia w zakładach karnych. I mnie skazał. Szkodę naprawiłem, osoba poszkodowana zgodziła się na moje dobrowolne poddanie się karze, przyjęła zadośćuczynienie. Ale i tak odwołano mi wcześniejsze zwolnienie.

Po bliskich z tamtego czasu zostały mu tylko wspomnienia. – Moja rodzina nie wybacza takich sytuacji. Ja się z tym godzę i rozumiem. Przez 26 lat nie miałem z nimi kontaktu. Nawzajem tego pilnujemy. Mój najstarszy brat był doradcą, w ówczesnych czasach jednego z bardzo wysokich oficerów polskich przy NATO, więc proszę sobie wyobrazić, jakiego wstydu musiałem narobić temu człowiekowi – wspomina.

– Nie masz żalu do rodziny? – dopytuję.

– Pewnie, że nie mam. Rodzina oparta jest o pewne zasady i wartości. Ja

kompletnie je połamane. Trudno jest teraz, żeby to w jakiś sposób zreanimował. Raz, że nie mam ludzkiej odwagi, a dwa – nie wiem, jak to zrobić, nawet gdybym próbował.

Przez pięć lat na wolności najwięcej czasu spędził z żoną w jej zakładzie fryzjerskim. Zajmował się domem i ogrodem. Czasami wpadało coś dorywczo. – Później złapałem bakcyla, że pielęgnacja i koloryzacja włosów to moja bajka – ożywia się.

Po kilkunastu minutach rozmowy wracam do motywów zabójstwa.

– Po tylu latach sam czyn traci na siłach. To sposób, w jaki się o nim wypowiadamy jest bolesny. Psychometrycznie nie jestem do tego przygotowany. To nie jest jakaś metoda wycofania się tylko bezradność – tłumaczy mi. – Mieszkałem w takim miejscu w Bieszczadach, że jeśli ktoś miał gram ambicji po szkole podstawowej to musiał wyjechać przynajmniej 100 kilometrów dalej. Najczęściej jeździliśmy do Krakowa albo do Warszawy. Jeśli ktoś nie pojechał to był źle postrzegany. Duże miasto mnie zgubiło. Nie chcę się usprawiedliwiać. Na początku uczyłem się i od razu pracowałem. Potem musiałem pójść do wojska. Byłem w jednostce na Balicach w Krakowie na lotnisku.

– Chciałeś kogoś okraść? – dopytuję kolejny raz.

– No to się tak zadziało, to był napad. Kwalifikacja czynu została w ten sposób opisana.

– Przypadkiem doszło do zabójstwa?

– Nie ma czegoś takiego jak zbrodnia doskonała.

– Zaplanowałeś to?

– Jeśli człowiek dopuszcza się czynu to jego działanie i motyw sprawczy jest w pewnym sensie planowany. Ale nie

było tak, że miesiąc wcześniej sobie planowałem czy typowałem ofiarę.

– To jakie były okoliczności?

– Kiedy obudziłem się na żandarmerii wojskowej i przedstawiono mi zarzuty, to myślałem, że ktoś mnie w coś wkręca.

– Byłeś pod wpływem jakichś środków?

– Tak, alkoholu. Uznałem, że to jest niemożliwe, że nie jestem do takich rzeczy zdolny.

– Pamiętasz moment, jak do tego doszło?

– Bardzo słabo, ale to chyba mechanizm wyparcia. Człowiek zapiera się tego typu zdarzeń, obrazów, sytuacji, miejsca, ponieważ tak jesteśmy stworzeni. Niewyobrażalność czynu, wstyd, strach to ciężar nieprawdopodobnie emocjonalnie gatunkowo złożony. Tworzą się jakieś blokady w umyśle i człowiek jest w stanie nawet sobie imię i nazwisko zmienić w głowie, żeby nie mieć z tą sytuacją nic wspólnego, jeśli ma chociaż gram ludzkiego uczucia w sobie – tłumaczy.

Kiedy pobił, aż zabił miał 20 lat. Żonę poznał, kiedy już był w więzieniu.

– Początki były na zasadzie: co tam u ciebie słychać? Słyszałam, że siedzisz? Zналиśmy się bardzo słabo i tak przez 14 lat to trwało. Nie oczekiwaliśmy od siebie kompletnie niczego, żadnych zobowiązań.

– Jak została twoją żoną?

– Kiedy wychodziłem na przepustki, zaczęliśmy się spotykać. Potrzebowałem kogoś w swoim życiu ze zdrowymi emocjami, mając na co dzień plejadę patologii i ludzi, którzy byli skazani na siebie i ciasną przestrzeń, którzy nigdy nie powinni opuszczać zakładów karnych, bo jeszcze coś złego się stanie,

mimo że wszystko złe już się stało. To ten głód emocjonalny był tak mocny, że postanowiłem się ratować. Wszystko trzeba zacząć od siebie. Nie można wymagać od kogoś, żeby mi pomógł, kiedy sam sobie nie chcę pomóc. Zacząłem próbować siebie uzdrawiać.

To nie było takie proste. Po wyjściu z zakładu karnego okazało się, że ten fizyczny zakład karny nie jest taki straszny, jak więzienie własnego sumienia. To było najboleśniejsze, nie tylko na drodze terapii. Te rzeczy porządkowałem i one działają do teraz.

Nie mówię o zabójstwie i morderstwie tylko nazywam to pozbawieniem życia – wyjaśnia mi, kiedy dyskutujemy o wytłumaczeniu sobie własnej zbrodni. – Nie dlatego, żeby kwalifikację czynu osłabić, ale nie stać mnie na więcej. Boję się tamtego okresu. Nie dopuszczam pewnych myśli. Wiem, że w uszach osoby, która to słyszy to trochę słabe, ale jest dla mnie jedyną obroną, żeby funkcjonować w przestrzeni publicznej i przestrzegać pewnych zasad i norm jako dobro ogólnie pojęte.

Jarosław dużo mówi mi o swojej słabości, która była w emocjach we wczesnym dzieciństwie. W więzieniu poszedł na terapię DDA: – Wyszło, że to był ten element – mówi o ojcu, który pił. – To nie jest wina mego ojca, że jestem kryminalistą – i przechodzi do filozofii Freuda: – Według niego trzeba się doszukiwać wszystkich dysfunkcji dorosłego człowieka właśnie we wczesnym etapie życia, czyli do trzech lat. Nie byłem kompletnie wyposażony do dorosłego życia. Później pewne elementy przypomniałem sobie i wiedziałem, gdzie jest ta słabość, którą dorośli popełniali. Ale ciągle podkreślam, że nie mieli z tym nic wspólnego. To kwestia

emocji, a później środowiska – wspomina młodość. – Kraków był tygłem grup przestępczych. Teraz tylko po nich strzępy zostały – choć na początku lat dziewięćdziesiątych ten świat mu imponował. – To też wypaczyło moją psychikę – dodaje.

Jarek pracuje w bibliotece więziennej. Pytam, jak przetrwał 21 lat w więzieniach?

– Zawsze starałem się trzymać blisko ludzi, którzy coś sobą reprezentowali. Dla mnie autorytetem w więzieniu nie był ktoś z dużą objętością bicepsa, ale wychowawca, psycholog, mój pracodawca – wymienia.

Oprócz fryzjerstwa i psychologii lubi biegać na długich dystansach. Na warunkowej wolności biegał maraton. Z więzienia wychodzi na cykliczne imprezy biegowe. Najbardziej tęskni za żoną: – Ona wszystko rozumie, co się w moim życiu dzieje. Tęsknię też za przyjaciółmi, choć teraz to bardzo skromna grupa ludzi. To utopijne, ale chciałbym być ostatnim więźniem tego systemu. Nie jest to możliwe, ja wiem. Kiedyś stąd wyjdę i przyjdą kolejni. Ale chciałbym być ostatnim więźniem – powtarza.

W więzieniu uczestniczył w projekcie pisania ikon. Wtedy nikt nie pytał go o wyznanie. Przed wyrokiem obchodził święta katolickie. Teraz nie jest związany z żadną religią. Żona jest wyznania prawosławnego.

– Święta są dla ludzi wolnych i szczęśliwych. To konglomerat całorocznej pracy i trudu, aż nadchodzi moment na duchowe wytchnienie i bycie z rodziną. Nie dla ludzi, którzy nawywijali w tym życiu – mówi.

Po wyjściu chce wrócić do fryzjerstwa, do domu i do znajomych, do miejsca, które szczerze pokochał. – Wcze-

śniej nie dawałem sobie prawa do takich emocji. Uważałem, że czyn, którego się dopuściłem, jest zaprzeczeniem wszystkiego. Wszystkich elementów człowieczeństwa. Że zasługuję tylko na klatkę i gdyby ktoś się znalazł, to skróciłby te męczarnie. Karciełem się. Natomiast czas pokazał mi inną stronę, sposoby i powody, dla których postanowiłem inaczej. Nie daję sobie prawa do życia na ziemi, tak jak ludzie bez tego bagażu doświad-

czeń. Uważam się za porażonego prądem – wyjaśnia.

Kiedy nadchodzą święta, atmosfera mu się udziela. W zakładzie mają ich namiastkę: są choinki, kuchnia inaczej pracuje i są świąteczne akcenty w posiłkach wieczornych. Są sytuacje, że przygotowują stół i jedzą wspólnie, co mają.

– Zostając w celi dotykamy takich wartości jak rodzina, tradycja, wspomnienia, bo są osoby, które mają dzieci

i chciałyby dać im prezenty. Przeżywamy to przez pryzmat żalowania, że akurat jestem tu, a nie tam. Nawet w charakterze, że gdybym nie popełnił tych przestępstw, to byłbym teraz z rodziną. To nie jest na zasadzie typowego cwaniactwa: zamknęli mnie, nie mogę obchodzić świąt. Zdarza się, że kiedy gaśnie światło to wśród nocnej ciszy płaczemy. Nie śpiewamy, ale płaczemy.



MARTYNA BIELSKA

– urodzona w 1983 roku. Pochodzi z Knyszyna. Ukończyła historię na Uniwersytecie w Białymstoku i dziennikarstwo na Uniwersytecie Warszawskim. W latach 2009–2019 była dziennikarką TVN24 i „Gazety Wyborczej”. Lubi i pi-

sze reportaże. Od 2020 także powieść kryminalną z miejscem akcji osadzonym w Białymstoku. Po godzinach opiekuje się pszczołami, jeździ na rolkach i fotografuje aparatem analogowym.

fot. Bogumiła Maleszewska-Oksztol



MARCIN POWAŻA

– rocznik 1984. Absolwent Liceum Plastycznego w Supraślu i ASP w Łodzi. Grafik ilustrator. Pracuje przy realizacjach z zakresu komercyjnej grafiki

reklamowej, m.in. reklama telewizyjna i animacja. Zainteresowania: sztuka współczesna, muzyka i popkultura.

fot. Bogumiła Maleszewska-Oksztol

Zofia Piłasiewicz

Wakacje z wilkami

Wrzesień. Trzecia rano. O tej nieludzkiej dla mieszczucha godzinie dźwięk budzika wydziera nas z objęć snu. Po omacku szukam włącznika światła, a potem szybko wciągam spodnie. Za oknem jeszcze ciemna noc, do świtu została co najmniej godzina. Drewniane drzwi zbite z desek otwierają się i Vadim, nasz leśny przewodnik, zaprasza na naleśniki. Przebiegamy przez podwórko do domu gospodarzy, gdzie w ciepłej kuchni rozchodzi się zapach świeżo usmażonych naleśników – aż ślinka cieknie. Na stole czeka już miseczka z malinowymi konfiturami, kubki z gorącą herbatą i stosik naleśników.

– Ira, kiedy zdążyłaś to nasmażyć? – Nie mogę wyjść z podziwu, że można się zebrać do gotowania o tak podłej porze. Ira się uśmiecha.

– Jak Vadim wychodzi do lasu, to zawsze robię mu śniadanie, i wszystkim gościom, którzy akurat u nas są.

W tym roku, w związku z pandemią, nie ma nikogo poza nami, ale w lepszych czasach, w tym odludnym miejscu Puszczy Nalibockiej, gdzie znajduje się Stacja Ekologiczna Naust, goszczą studenci



i naukowcy z całej Europy. Bo nie ma lepszego przewodnika po Puszczy niż Vadim Sidorowicz. Białoruski profesor biologii, autor książek o Puszczy Nalibockiej i jej mieszkańcach, założyciel i budowniczy Stacji Ekologicznej Naust, szczególnie upodobał sobie drapieżniki: wilka i rysia. Wie o nich wszystko, wie gdzie znajdują się ich nory, gdzie wychowują potomstwo, gdzie polują. To efekty tysięcy godzin spędzonych na ich

obserwacji. Puszcza Nalibocka, w której mieszka, to ważne terytorium botaniczne, jeden z unikalnych odcinków sieci ekologicznej kontynentu europejskiego. Ten kompleks leśny liczy ponad 200 000 hektarów zwartej lasu. Jest prawie dwa razy większy niż nasza rodzima Puszcza Augustowska i mam poczucie, znacznie bardziej zróżnicowany pod względem gatunków biologicznych flory i fauny. I zdecydowanie nie tak eksploatowany



Vadim Sidorowich zmieniający kartę pamięci w fotopułapce. Trzeba się nieźle nachodzić, żeby dotrzeć w dzikie ostępy, w których biolog zakłada fotopułapki, licząc na zdjęcia dzikiej zwierzyny.

fot. Zofia Piñasiewicz

Obok zdjęcie z fotopułapki

jak nasze rodzime lasy. Biolodzy i miłośnicy natury mają tu znakomity teren do obserwacji.

Zaczynamy poszukiwania wilków. Jedziemy wzdłuż Kanalu Żółto Niemeńskiego¹. Kiedy wychodzimy z samochodu i mijamy zastawę², otaczają nas chaszcze i rojsty. Podmokłe łąki wokół kanału, olbrzymie trawy i ols oraz las brzoźowo-świerkowy, to – według Vadima – idealne miejsce dla wilków. Żyje ich w Puszczy

czy Nalibockiej 70 osobników. Vadim w swojej głowie tworzy mapę z widzianych śladów życia i działalności tych drapieżników. Bez wątplenia to niegościnne dla ludzi siedlisko jest idealne dla zwierząt, które znalazły w nim schronienie. A wilki wydają się szukać najdalszych, najbardziej niezbadanych miejsc, gdzie żaden człowiek nie będzie mógł za nimi podążać. No, może poza Vadimem.

Tymczasem mężczyzna pochyla się, nabiera powietrza i wydaje długi, przejmujący dźwięk zbliżony do wycia wilka. Zamieramy w ciszy, która po nim następuje, wsłuchani w najmniejszy szelest traw. Od samochodu dzieli nas dziesięć kroków. Za chwilę próbuje znowu i znowu, aż ciarki chodzą po plecach.

Wrzesień to dobry miesiąc na obserwacje. Szczeniaki są na tyle wyrosnięte i tak ciekawe świata, że dają znać jak tylko usłyszą wycie. Starsze wilki są często zbyt ostrożne, żeby odpowiadać od razu, wolą wsłuchać się, sprawdzić, próbuje odpowiadać, bo a nuż to ktoś z zaprzyjaźnionej grupy? Wilki są zwierzętami społecznymi. Kiedy rodzą się małe, a te tutaj urodziły się w połowie maja, przez pierwsze dwa tygodnie zjawiają się inne osobniki należące do watahy, żeby zapoznać się z zapachem nowych zwierząt, nauczyć się rozpoznawać nowych członków swojej rodziny. To swoiste powitanie szczeniąt na świecie. Kiedy matka oddała się, by zdobyć pożywienie, zdarza się, że szczeniaków

pilnuje niania, piastunka, inna samica lub samiec. Tak, tak, piastuni zdarzają się i wśród wilków. Zanim szczeniaki opuszczą norę, wilczyca co kilka dni zamienia ją na inną, przynosi młode tam, gdzie trudniej będzie wyczuć ich zapach.

Różowa poświata na wschodzie zwiastuje świt. Wkrótce rozwidnia się i wówczas widzimy rozległość tych łąk – kiedyś zmeliorowanych, teraz na skutek (na szczęście) ludzkich zaniedbań zarośniętych wszelaką roślinnością. To, co człowiek zepsuł – naprawiają bobry. Żeremia budowane na kanałach melioracyjnych zwiększają zasób wody na łąkach. Powoli mgła podnosi się coraz wyżej, zwiastując słoneczną pogodę.

Przez cały dzień wędrujemy po lesie, a Vadim pokazuje nam legowiska wilków, w których wiosną znalazł wilcze szczenięta. Wskazuje różne typy legowisk, których używają wilki, wykorzystując na przykład nory borsuków i opowiada, jak często matki przenoszą młode, aby zapobiec ich znalezieniu przez inne, mięsożerne zwierzęta lub ochraniając je przed zdeptaniem przez jelenie. Obok znajdujemy tropy rysia. Tereny tych drapieżników nakładają się na siebie, a ryś jest śmiertelnym wrogiem wilczych szczeniąt. Podobnie jak jelenie, które wykazują ogromną determinację w zdeptywaniu małych wilków. Pewnie czują, że gdy młode dorosną, będą stanowić dla nich zagrożenie. Twierdzenie, że wilk nie ma naturalnych wrogów, jest fałszywe. To dziwne, jak dużo człowiek zbudował mitów wokół tego zwierzęcia, nazywając go leśnym

¹ Przez Puszcę Nalibocką lub na jej obrzeżach płyną rzeki: Niemen – 78 km na terenie Puszczy, Zachodnia Berezyna – 84 km, Islasz – 76 km, Wolma – 10 km, Wusa – 40 km, Wołka – 59 km, Sula – 16 km, Alszanka – 16 km, Kanał Żółto Niemeński – 22 km, Kanał Szubina-Niemeński – 19 km.

² Urządzenie melioracyjne na kanale – mostek, pod którym znajduje się zasuwana brama, wrota. Można ją podnosić i opuszczać, w zależności od stanu wody.

zabójcą i przyklejając mu różne grzechy, choćby w bajkach. Wilk zabija tylko by zjeść. W przeciwieństwie do cywilizowanych, dwunożnych ssaków o rozbudowanej wyobraźni, o nazwie człowiek.

Obiadjemy w lesie. Naprędce rozpalone ognisko i wyciągnięte z plecaka bułki i herbata w termosie sprawiają, że nie chce się wstawać z miękkiego mchu. Czekają nas jednak kolejne atrakcje. Przejeżdżając przez puszcze, natykamy się na wymarłe chutory, małe osady puszczańskie, w których nikt już nie mieszka. Młodzi wyjechali, starzy umarli, a domy chylą się ku ziemi eternitowymi, zapadniętymi dachami.

– Jak można było tu mieszkać? Przecież to środek lasu, niczego nie ma. Z czego ci ludzie żyli?

– Z czego? Ano z lasu żyli i z bimbru – Vadim na wszystko ma odpowiedź. – Całkiem nieźle im się żyło, do czasu, gdy w końcu lat dziewięćdziesiątych XX wieku wprowadzono ogromne kary za jego produkcję, łącznie z konfiskatą mienia. „Biznes” podupadł, nastąpiła bieda.

Jeszcze starzy ludzie dożywali tu swoich dni, ale młodzi już uciekli. – Takie życie – wzrusza ramionami. Każdy garnie się do lepszego, miasto dawało więcej perspektyw, więc młodzi wyjechali do miast.

Znowu przedzieramy się przez chaszczę, kijkami rozgarniając prawie dwumetrowe pokrzywy. I jeszcze trzeba uważać, żeby nie wpaść w bobrową jamę, bo można połamać nogi.

Po prawej stronie widzimy Krasną Górkę – wzniesienie, dawniej na bagnach, teraz na podmokłych łąkach. Krasna Górka to miejsce, gdzie żydowscy partyzanci szukali schronienia i gdzie zostali osaczeni przez Niemców. Ten teren był schronieniem dla wielu grup w diabelskich czasach II wojny światowej. W lesie przebywali i Polacy, i Żydzi, i Sowieci. Wszyscy zaprowiantowali się, okradając miejscowych. Trudno było żyć, zarówno w lesie, jak i „na gospodar-



W starych drzewach jest moc, która sprawia, że kiedy pod nimi stajemy, ogarnia nas spokój i powraca jakaś odwieczna równowaga, nasz umysł się wycisza i znajdujemy dystans do tego pośpiechu życia, w który się uwikłaliśmy zapominając, że stamtąd, od tej dzikiej natury, wyszliśmy.

fot. Zofia Piłasiewicz

stwie”. Bywało, że w dzień przyjeżdżali Niemcy, a nocą przychodzili partyzanci z innych grup. A jednak ludzie nie opuszczali swoich siedlisk. Aż do 1942 roku,



Kilkusetletnie dęby, olbrzymy, dogorywają nie nękane ludzką ręką uzbrojoną w piły.

fot. Zofia Pitasiiewicz

wojnie to miejsce stało się miejscem izolacji osób chorych na hiszpankę. Miejscem, gdzie umierali, lub – nieliczni – zdrowieli. Takie leprozorium chorych na grypę. W naszych czasach pandemia zbiera swoje żniwo w szpitalach, nie w ziemiankach pełnych wody i błota. Ale i dzisiaj bywa trudno. Tylko inaczej, w innych warunkach.

Tymczasem na jednym z dębów Vadim zmienia kartę w fotopułapce. Wkłada ją do aparatu fotograficznego i na wyświetlaczu oglądamy zwierzaki, które poruszały się w niewielkim obszarze działania kamery. Są wiewiórki, kuna leśna, jenot, ptaki, a na końcu pojawia się ryś, albo raczej rysica. Siedzi na zwalonym pniu ogromnego dębu i przez jakiś czas liże łapę. Jak domowy kot. Tyle, że o wiele większy. Potem lekko, z gracją, zeskakuje i znika.

Kiedy następnego dnia przed świtem jedziemy na teren wilków – zbieram się na odwagę i pytam: – Też mogę spróbować?

– Spróbuj, byle głośno i z całego serca!

Nabieram powietrza w płuca i najpierw nieśmiało, na jednym dźwięku – płasko, potem próbuję dźwięk podnieść i opuścić. Sama czuję, że jest w tym dużo niepewności i żadne zwierzę, a już na pewno wilk nie weźmie go na poważnie. Chwilę trwamy w ciszy, nikt mi nie odpowiada. Nie słychać nawet najbliższego szelestu, pisku czy zawodzenia. Próbuję jeszcze raz. „Uuuuuuuuuuuuuuu” brzmi już donośniej, ale to jeszcze nie to. Następnie wyje Vadim, ale nadal odpowiada nam cisza.

– Może zmieniły miejsce – szepczę. Trwamy jakiś czas w kompletnym bezruchu, słysząc jedynie krople rosy, spadające z liści olchy. Próbuję kolejny raz i tym razem dźwięk, już swobodnie odbloko-

kiedy szatański plan Niemców, nie mogących sobie poradzić z leśną partyzantką, przybrał postać akcji pacyfikacyjnej pod kryptonimem „Błotna gorączka”. Rozpoczęła się eksterminacja mieszkańców i palenie siedlisk, by żaden partyzant nie mógł się wyżywić. Kolejne pacyfikacje i oblawy, tym razem pod nazwą „Operacja Hermann” to lipiec–sierpień 1943 roku. Spalono wówczas ponad 60 polskich i białoruskich wsi, zamordowano 4 280 osób cywilnych. Kto z mieszkańców zdążył uciec do lasu – przeżył. A po wszystkim, grzebał w lesie sąsiadów, po wojnie zaś stawiał im na leśnych grobach krzyże. Takich mogił jest w Puszczy Nalibockiej wiele. Często znikają gdzieś w głębi lasu, nadwątlone zębem czasu. Idąc, można potknąć się o fragment żeliwnego krzyża lub resztki schodów dawnego domostwa.

Tymczasem brniemy przez mocno podmokły teren w kierunku dąbrowy – grądu porośniętego starymi dębami. Kiedy teren się nieco podnosi, wchodzimy w magiczną przestrzeń starych drzew. Te tutaj mają po 200–300 lat. W innych rejonach Puszczy Nalibockiej można spotkać drzewa mające nawet 400–500 lat. Podnoszę w górę głowę, by spojrzeć w ich niebosiężne korony, przez które przenika światło. W jednym z pni dostrzegam drut kolczasty, wrośnięty głęboko w ciało drzewa.

– To z I wojny światowej – wyjaśnia Vadim. – Tu długo stał front, dwa lata, aż do 1917 roku. W tych okopach – pokazuje stare doły – były ziemianki niemieckie. Tam, po drugiej stronie – rosyjskie. W każdej z nich po 20–40 osób. Wyobrażacie sobie? I tak dwa lata, jesień, zima wiosna... Deszcz, śnieg, zimno... A po

wany, płynie daleko i dźwięcznie. I nagle, z drugiej strony doliny, odpowiada przeciągle, przejmujące wycie, potem dołącza drugie zwierzę. Próbuję przyłączyć się do tego wspólnego koncertu. To jak magia, poczucie więzi z czymś najbardziej pierwotnym, mistycznym jak sama natura. „Uuuuuuuuuuu” wznosi się i opada, odbija od drzew, płynie ponad rzekami, chaszczami, lasem – to magia!!! Natura to magia!!! Mam wrażenie, że rozsada mnie radość i przyływ energii.

– No to żeśmy sobie pogadali – śmiejemy się radośnie, szczęśliwi, że ten dziki świat jeszcze istnieje, że mamy dokąd wracać.

Kolejnego dnia jedziemy do chutoru, prowadzonego przez bartników. W środku puszczy, nad rzeczką Wołką znaleźli swoje miejsce pasjonaci bartnictwa. W magicznej przestrzeni puszczy, ukryła się drewniana chata, do której przyjeżdżają bartnicy, dzieją barcie, odnawiają zapomniane zajęcia. Ale to już temat na inną opowieść...



Rojsty i moczary to miejsca przywracane na powrót naturze przez samą przyrodę.

fol. Zofia Piłasiwicz

ZOFIA PIŁASIEWICZ

– psycholog, autorka książek: *Syberyjski sen. Opowieść bezdrożna, Gruzja. W pół drogi do nieba, Podróż*, tomiku wierszy *Ćwiczenia z pamięci*, licznych artykułów prasowych dotyczących podróży i nie tylko. Zdobywczyni I nagrody w Ogólnopolskim Konkursie Poetyckim im. Mikołaja Kajki (2019) i Ogólnopolskim

Czerwcowym Konkursie Jednego Wiersza (Łomża 2012). Zajmuje się również fotografią. Wystawy indywidualne: „Impresje” – 2010, „Sen leśnych olbrzymów” – 2012, „Gruzja w pół drogi do nieba” – 2013, „Droga” – 2019, udział w wystawie zbiorowej „Mężczyźni w obiektywie kobiet” – 2013.

Katarzyna Droga

Kalendarze

Namiętność do kalendarzy musiała kiedyś znaleźć ujście w moim pisaniu. Kocham kalendarze. Ścienne – z fotografią jak prorocstwo na cały rok, wokół niej wszystko się przecież rozegra. Książkowe – złożone z dwunastu rozdziałów do zapisania, opatrzone – zależnie od fantazji wydawcy – notesem na adresy i telefony, spisem numerów kierunkowych albo tabelą walut, ba, nawet odległościami do poszczególnych miast Europy... Cudownie niepotrzebne w dobie Internetu, a jednak! Tylko tutaj możesz zakreślić czerwonym flamastrem to miasto. Ledwie pamiętasz je z dawnych podróży, a ono woła cię w snach. Mnie – nie wiadomo czemu prześladuje Lublana (1229 km, 12 godzin samochodem, numer kierunkowy +386). Byłam tam raz, ważne spotkanie, dawno, w trzecim czy czwartym kalendarzu tego stulecia... Jak echo odezwał się ktoś, z niepamięci, z numeru zapodzianego na stronach: „adresy, telefony” i tym podobne niepotrzebne dane... Piękny zakręt akcji, z tym że to nie powieść...

Nie zazdroście pisarzom, jeśli macie kalendarz. To książka własna i nie ma na świecie bardziej osobistej. Wszystko

w niej ważne i wasze: kolor okładki i jej deseń, motto na pierwszej stronie, wielkość stron do zapisania dni... Okładka niech będzie zielona, bo to kolor optymizmu, zresztą ja lubię każdą, byle nie czerwoną. W roku czerwonym, był to jedenasty kalendarz tego stulecia, czekały mnie rozdziały rozstań, tak smutne, że dużo wody upłynie w Narwi nim znowu kupię kalendarz czerwony. Piętnasty kalendarz tego stulecia miał okładkę żółtą i motto: „Mniej stresu, więcej sukcesu”. Nie zadziało, więc teraz motta piszę dopiero, gdy upłynie dwanaście miesięcy. Odstawiam rok na półkę, dołączam do poprzedników... A ten ze ściany? Na szafę, do krainy rulonów. Dwudziesty ścienny miał takie ładne zdjęcie z łódkami na plaży. Wisiał na ścianie w korytarzu, nieopodal lustra i drzwi wyjściowych, tam gdzie bywały już wodospady i leśne ścieżki, a teraz te łódeczki mocno przycumowane przy jeziorze. Nigdy na mojej ścianie nie gościły wieżowce miast ani zakręty autostrad, żadne lotniska, dworce kolejowe. Na wszelki wypadek... Kalendarz książkowy, dwudziesty w stuleciu, był szczególny. Niebieski. Podzielony na cztery pory roku, przy każdej miejscie na notatki i postanowienia. Każda z pór roku opatrzona cennymi poradami psychologów, coachów i podobnych teoretyków życia. Motto: „Rok niespełnionych zamierzeń”.

Zima

Obserwacje i notatki: Najpierw na hektarach łąk zamarza woda. Lodowisko za oknem ogromne, pod lodem gałęzie i liście jak pod szkłem. Potem sypnęło, a potem wszystko stopniało. Puste gniazda bocianów, to przez nie tęsknota zawisła nad kominami, z których sący się dym. Gdyby nałożyć pory roku na ludzką biografię, zimie należy się dzieciństwo. Nie wiercie wiosnie, że jest najmłodsza, uspione początki wszystkiego mają swoje miejsce zimą. To pod śniegiem knują się plany! Wspomnijcie dzieciństwo, czy nie było trochę jak sen, lepienie bałwana i bajki Andersena? Zima, romantyczna jak Królowa Śniegu i praktyczna jak grochówka na boczku z dodatkiem pieprzu i imbiru, bo zimą trzeba się rozgrzewać. Obiecuję, że ciąg dalszy nastąpi.

Postanowienia: Dwudziestka, rok wyjazdów i spotkań. Podróż do Lublany, tam, w centrum, stoi pomnik najważniejszego pisarza Słowenii, a ja pamiętam jego postać, ale ani imienia, ani nazwiska i to mnie dręczy. Wiem, że łatwo sprawdzić: Internet, mapy i tak dalej, ale to nie to samo... Chcę dotknąć tego pomnika własną ręką, pójść do małej słonecznej kawiarenki nieopodal, na spotkanie, które ma się powtórzyć.

Rada coacha: Sporządzaj listy zadań na każdy dzień. Lista nie wystarcza:



realizuj! Nagradzaj się za każdy punkt (skąd ja wezmę tyle nagród?).

Rada psychologa: Koncentruj się na pozytywach, wymyślaj pozytywne mantry. Na przykład przed lustrem: „Szczęście nie zależy od wyglądu... Szczęście nie zależy od wyglądu...”

Rety, kogo oni sobie wyobrazili?

Wiosna

Obserwacje i notatki: Natura planuje i wykonuje bez nagród. Widzę to, gruzelki na gałęziach pęcznieją, pierwsze żurawie jak zwiadowcy ciepła pojawiły się na szarych polach. Gniazda gotowe na bociany.

Wiosna chętna do działań jak człowiek, który sięga po dorosłość. Wszystko może, wszystkiego pragnie, niczego nie umie, ale świeżość emocji to rekompensuje. Wiosna to osiemnaście lat, gra w zadowolenie, rumieńce zawstydzenia. Najbardziej kapryśna z pór roku. Przyszła w maseczce i z płynem do dezynfekcji rąk. I co jej zrobisz? Wiosna zatrzymanego czasu.

Postanowienia, plany: Brak. Wszystkie loty odwołane, resztką życia zipią dworce kolejowe. Mam auto, lecz granice zamknięte.

Rada podróżnika: Jeśli chcesz coś zobaczyć naprawdę, zjedź z autostrady.

Prawda. Za kierownicą myśli składają się inaczej, zwłaszcza, gdy jedziesz po bocznych drogach, takich w lewo od

łomżyńskiej, bardziej skomplikowanych niż prosta i wyniosła S8, wystrojona w ronda i ponumerowane zjazdy. Za siedmioma rondami i siedzioma zjazdami znajdziesz domy na wsi, stare płoty i ukryte w lasach cmentarzyki. Słucham tej rady, bocznymi drogami dojeżdżam na stację kolejową, ale czekam daremnie, jak to w roku nieodbytych spotkań. I tylko droga powrotna przez las pozostaje taka sama. I tylko bociany przyleciały jak co roku, klekoczą bezwstydnie, bo kochają się jakby na złość wszystkim, którzy tęsknią.

Rada coacha: Docień oczekiwanie. Praktykuj uważność. Zrób dziesięć przysiadów, twój mięsień pośladkowy wielki bardzo tego potrzebuje.

I tak to od mięśnia pośladkowego przechodzi się do spraw realnych i prawdziwie istotnych.

Lato

Obserwacje i notatki: Słońce, powietrze nabiera żaru, jagody marne, rzeka płytka. Ptaki uspokoily się nieco, wysiadują potomstwo. Wiśnie dopisały ogromnie i dały się zamknąć w słoiczkach na później, na sloty i szarugi. Przyjdą, ale lato o tym nie chce wiedzieć. Jak dorosłość człowieka, ten czas najlepszy, trzecia dekada, czwarta dekada, piąta, zmysły pękają jak maliny. Następna dekada... Stop, za wcześnie odkręcasz słoiczek, pochopnie przerzucasz kartki. W kalendarzu mnóstwo miejsc niezapisanych. Gdzie się podziały notatki, bazgroły i marginesy zajęte rysunkami z nudnych konferencji? Wszystko miało być nie tak.

Rada: Wyrób sobie nowy nawyk, jak mycie zębów albo poranny makijaż. Nawyki czyszczą mózg i uszczęśliwiają.

Owszem, mam nowy nawyk: co chwila sprawdzam telefon i co chwila nie ma wiadomości. Zwyczaj po 30 dniach przekształca się w nawyk. A kiedy w nałóg? Ćwiczenie czyni mistrza...

Bociany ćwiczą z młodymi latanie. Odlatują w sierpniu, myślę: może by tak z nimi? Dać chodu z kraju, w którym cebula zwana jest pomarańczą północy? Wszystkie loty nadal odwołane, poza ptasimi.

Jesień

I odleciały. Zostały wróble i wrony. Złota polska jesień, babie lato i tym podobne czary pomagają znosić niedogodności życia. Są grzyby na pociechę! Ich cudowność polega na tym, że każdy zdrowy ma trującego awatara. Tylko w osobości człowieka można znaleźć coś podobnego, bo kto nie potrafi zatruć sobie pięknej myśli? Każdy znajdzie w grzybach siebie. Mnie najlepiej określa obecnie kania – dojrzała kania, która może świetnie imitować kotlet schabowy. Lecz jeśli pomylisz z awatarem – nie żyjesz, nie żyjesz

sromotnie. Jesień jak późna dojrzałość: emocje zamknięte w słoikach, sięgasz po nie z zamkniętymi oczami, z nadzieją, że trafisz na konfitury. Bywa, ale zdarza się, że chwycisz kiszzone ogórki.

Rada: Posprzątaj dokładnie dom. Spiżarnie i szafy. Według minimalistki Dominique Loreau dokładne czyszczenie powierzchni podłogi uspokaja i przynosi szczęście.

O Dominiko, gdyby to było tak proste. Czyste podłogi bez śladów są smutno puste.

Rada: Pamiętaj o rachunkach.

Szybko robię rachunki sumienia. Uczciwie słucham porad, czyszczę przestrzeń i proszę: są ślady na podłodze, są ślady! Więc ktoś przyjechał! Może nie wyjeżdżał? Jest zarys znajomej sylwetki, w korytarzu, pod kalendarzem. No chyba, że to jesienne mgły.

Zakończenie: Kalendarz dwudziesty pierwszy ma okładkę w kropki. Ścienny z pejzażem odległego miasta. Nie wiem czy tam pojedę i to jest najciekawsze.



KATARZYNA DROGA

– pisarka, redaktorka, dziennikarka. Autorka powieści biograficznych i sag rodzinnych związanych z Białostoczną. Współpracuje dziennikarsko z magazynami „Sens” i „Twój Styl”. Jest absolwentką filologii polskiej Uniwersytetu

Warszawskiego. Podlasianka z urodzenia (ur. w 1965 roku w Zambrowie) i z wyboru: po dwudziestu latach życia w stolicy powróciła do rodzinnego domu nad Narwią, gdzie mieszka i pracuje nad kolejnymi książkami.

fot. Bogumiła Maleszewska-Oksztol

Regina Kantarska-Koper

O odmianach, składni i zdumieniu słów kilka

W poprzednim numerze „Epei” swoje refleksje zakończyłam słowami: *Język to nasze dobro narodowe, musimy dbać o jego poprawność, piękno i bogactwo. Nie zaśmieczać go błędami, wulgaryzmami, nie kaleczyć, nie zubażać.* Dzisiaj chcę zacząć od zasygnalizowanego problemu wulgaryzmów, które po 1989 roku legalnie rozbrzmiewają z ekranów telewizorów, krzyczą ze szpalt czasopism, ze stronik książek, nadmierne rozgościły się nawet w poezji (choć słowo to powinno kojarzyć się raczej z tym, co piękne i wzniosłe). Dawniej to *karczemne, rynsztokowe, uliczne, nieparlamentarne, niesalonowe* słownictwo, jak wskazują synonimy, można było usłyszeć tylko na ulicy, w karczmie, ale nie na salonach, nie w parlamencie.

Kiedyś byłam świadkiem rozmowy podwórkowego towarzystwa, które opowiadało sobie swoje przygody, posługując się językiem złożonym z kilku słów (głównie na *k, ch, j, p*). Zdumiał mnie szeroki zakres tematyczny tychże opowieści, co odgadłam nie po treści, bo tej nie zrozumiałam, lecz po reak-

cjach młodzieńców, którzy wyrażali to radość i rozbawienie, to głęboki smutek i współczucie, to znów złość i oburzenie, cały czas komentując zasłyszane zdarzenia również tymi samymi pięcioma-sześcioma słowami, ale zawsze z inną intonacją, z adekwatną do przeżywanych emocji mimiką, odpowiedni-

mi gestami. Rozumiem, że w ten sposób zgodnie ze swoim poziomem intelektualno-moralnym rozładowywali napięcie, wyrażali uczucia, wzmacniając jednocześnie poczucie przynależności do grupy podobnych sobie ludzi...

Niekiedy mam wrażenie, że po transformacji ustrojowej telewizja zrozumiała wolność w ten sposób, iż można nareszcie bezkarnie bluzgać. Niektórzy spikerzy, komentatorzy, politycy, dziennikarze lubują się w epitetach. Nawet w tłumaczeniu tekstów filmowych lektorzy czasem przesadzają, przerysowują, niewinne przekleństwa tłumaczą o wiele bardziej wulgarnymi słowami, niż zawiera oryginał. Zastanawiam się, czemu ma służyć wulgaryzacja języka, jaką funkcję spełniać. Czyżby *dehumanizującą poprzez poluzowywanie norm obyczajowych, by przyzwycząić do ich łamania* (Wikipedia)? Nie jestem całkowitą przeciwniczką dosadnych słów. Czasem lepiej siarczyście zakląć niż pozwolić, żeby wątroba ze złości pękła (najlepiej jednak w samotności, żeby nie powodować wędnięcia cudzych uszu). Podobnie w poezji – i w ogóle w literaturze pięknej – użycie wulgaryzmów (jak i każdego innego środka stylistycznego czy znaku interpunkcyjnego) musi być funkcjonalnie uzasadnione. Tak

Niekiedy
mam wrażenie,
że po
transformacji
ustrojowej
telewizja zrozumiała
wolność w ten sposób,
iż można
nareszcie bezkarnie
bluzgać.

się dzieje np. w poezji Charlesa Bukowskiego, która może budzić znieśmaczenie u części czytelników, mnie natomiast ujmuje szczerością do bólu, swoistą prawdą, ponieważ jest adekwatna do życia autora, pełnego kłęsk, alkoholu, upadłych kobiet, straconych złudzeń, a jednocześnie niepozbowionego tęsknoty za czymś „wyższym”, boskim. Ale używanie wulgaryzmów bez potrzeby zarówno w życiu, jak i w literaturze – jako przerywnik, przecinek, delektowanie się nimi, popisywanie czy silenie się na oryginalność – budzi niesmak, politowanie i sprzeciw. A już zupełnie nie do przyjęcia jest celowe obrażanie, lekceważenie, ranienie, poniżanie innych. Lecz ten problem wykracza poza ramy moich luźnych rozważań o języku.

Wróćmy zatem do mojego ulubionego tropienia błędów językowych. Zastanawiałam się, co wybrać spośród zalewu tychże, i zdecydowałam, że tym razem zastosuję kryterium... zdumienia. Na początek zajmę się najbardziej niewiarygodnym, osobliwym zjawiskiem, które ostatnio pełni się jak chwast, a które wydaje mi się tak dziwaczne, że nie mieści się w mojej głowie. Mam wrażenie, że dawniej popełniano „porządne, pocziwe, normalne” błędy – kłopot sprawiała ortografia, np.: rz-ż, u-ó, ch-h, ale raczej nie mylono końcówek deklinacyjnych czy koniugacyjnych. Nikomu nie przyszłoby do głowy stworzyć w mowie i piśmie tak dziwaczną odmianę: *Małe gastronomie wydają za darmo jedzenie **służbą** medycznym. Pozwólmy lekarzom, **pielęgniarką** pomóc nam. Trzeba nieść pomoc **przedsiębiorcą**. Nie zapomnijcie 8 marca dać kwiaty **kobietą**. Na ratunek **mężczyzną!** A także: **Zaginą** mały chłopiec. On **podją** trudną decyzję. Chłopiec **wyją** z kie-*

Dzieci,
które uczą się
dopiero mówić,
bawią i zachwycają
pomysłowością,
logiką w tworzeniu
form, neologizmów,
(...) Ale
błędy dorosłych,
nieporadnie posługujących się
językiem ojczystym,
raczej bulwersują,
oburzają, żenują,
wzbudzają
politowanie, drwinę.

*szeni scyzoryk. On **zją** palto i **wspią** się po drabinie. Mężczyzna **przeplyną** staw i **utoną** wczoraj. Zawodnik **kopną** piłkę. Gospodarz **ścią** trawnik.*

Zastanawiam się, skąd aż takie problemy z poprawnością fleksyjną. Jak można pomylić formę celownika liczby mnogiej (komu? czemu?) rzeczowników zakończonych na -a (rodzaju żeńskiego i męskiego) z końcówką narzę-

nika liczby pojedynczej (kim? czym?)?! Jak można nie umieć utworzyć 3. osoby l. poj. czasu przeszłego czasowników rodzaju męskiego? Czyżby chodziło o hiperpoprawność z obawy przed narażeniem się na ośmieszenie, jak w przypadku powszechnie wyśmiewanego wymawiania nosowej końcówki -ą jako -om: *Oni **idom, robiom. Jestem młodom kobietom?*** Przypuszczam, że podobnie jest z próbą uniknięcia dość trudnego artykulacyjnie połączenia -ął w wygłosie czasowników wymawianego jako -oł: *On **wziął** gazetę [**wziół**].* Być może zatem niektórym wydaje się, iż wykazują wielką staranność i znajomość polszczyzny, tworząc końcówkę -ą w omawianych formach.

Jako purystce sumienie nie pozwala mi nie przytoczyć poprawnej wersji ww. zdań: *Małe gastronomie wydają za darmo jedzenie **służbom** medycznym. Pozwólmy lekarzom, **pielęgniarkom** pomóc nam. Trzeba nieść pomoc **przedsiębiorcom**. Nie zapomnijcie 8 marca dać kwiaty **kobietom**. Na ratunek **mężczyznom!** **Zaginął** mały chłopiec. On **podjął** trudną decyzję. Chłopiec **wyjął** z kieszeni scyzoryk. On **zjął** palto i **wspiął** się po drabinie. Mężczyzna **przeplynął** staw i **utonął** wczoraj. Zawodnik **kopnął** piłkę. Gospodarz **ściął** trawnik. Oni **idą, robią**. Jestem **młodą kobietą**.*

Dzieci, które uczą się dopiero mówić, bawią i zachwycają pomysłowością, logiką w tworzeniu form, neologizmów, np.: *miód, nie lubię miutu; my poszliś*, bo po co dwa razy mówić -my; *pralka pra* lub *pralczy* itp., itd. Ale błędy dorosłych, nieporadnie posługujących się językiem ojczystym, raczej bulwersują, oburzają, żenują, wzbudzają politowanie, drwinę. W tym miejscu wspomnę o stopniowaniu przymiotni-

ków, które z pozoru nie wydaje się być trudne. A jednak praktyka pokazuje co innego. Zamiast stopnia wyższego prostego (*ładniejszy, mądrzejszy, lepszy*) lub opisowego, składającego się ze słowa **bardziej/ mniej** i stopnia **równego** (*bardziej kolorowy, bardziej udany, mniej skomplikowany*), niektórzy tworzą podwójne stopniowanie przez dodanie do *bardziej* stopnia wyższego prostego: *bardziej głupszy, bardziej brzydszy*, co jest rażącym błędem, absolutnie nie do przyjęcia. Zdarzają się także nieprawidłowo utworzone formy proste stopnia wyższego, np. *rzadziej-szy* zamiast *rzadszy*. Za to kiedyś ktoś oburzał się, że mimo wyższego wykształcenia jego znajoma używa form: *gęściejszy, tłusciejszy, czyściejszy*. A otóż te właśnie formy są jak najbardziej prawidłowe obok obocznych *gęstszy, tłustszy, czystszy*.

I jeszcze nieszczęsna *zagranica*, która nie dopracowała się form deklinacyjnych w niektórych połączeniach składniowych, przez co sprawia tyle kłopotu nawet wykształconym ludziom. Piszemy **wyłącznie osobno**: *wyjechać za granicę* (dokąd?), *być za granicą* (gdzie?). Niedorzecznością jest pisownia łączna (słyszałam, że można *objechać kogoś, coś, przejechać kogoś, coś*, ale *wyjechać kogoś!* To nie ma żadnego sensu!). Tak samo absurdalne jest napisanie: *Jestem zagranicą* (kim? czym?) – przecież jestem człowiekiem, a nie krajem!

Inna zdumiewająca mnie błędna konstrukcja, którą nieustannie słyszę w telewizji, dotyczy składni, a konkretnie szyku wyrazów w zdaniach z czasownikami zwrotnymi. Przytoczę kilka zanotowanych przykładów (głównie z seriali, filmów, ale nie tylko): Co

(...) wolność
to nie samowola,
ma swoje
ograniczenia,
wyznaczone przez
dobro powszechne.
Jesteśmy wolni,
jeśli to sobie
uświadomimy
i zaakceptujemy.
Samowola
to pycha,
egoizm i zwyczajna
głupota (...)

udało nam ustalić się dotychczas? **Zgodził się** nam **się** pomagać. **Udało nam znaleźć się** te rzeczy. **Udało nam zrobić się** coś tam. **Udało** zrobić **się** nam coś tam. **On wydaje** być **się** zdesperowany. **Zostańcie w domu, a my postaramy** wam **się** zapewnić rozrywkę. **Zdecydowałam** powiedzieć **się** prawdę.

Rozumiem, że szyk wyrazów w języku polskim jest swobodny, że słowa mogą zajmować różne miejsca, ale to

nie znaczy, że możemy je rozmieszczać całkowicie dowolnie. (Zupełnie tak jak w życiu – wolność to nie samowola, ma swoje ograniczenia, wyznaczone przez dobro powszechne. Jesteśmy wolni, jeśli to sobie uświadomimy i zaakceptujemy. Samowola to pycha, egoizm i zwyczajna głupota, krótkowzroczność, strzał w swoją stopę, we własne kolano). Wracając do ww. zdań, widzę, że najbardziej kłopotliwa jest tutaj część zwrotna *się*. Owszem, to słowo może zajmować różne miejsca w zdaniu, może być przed czasownikiem i po nim, nie musi nawet być w bezpośrednim sąsiedztwie czasownika, do którego się odnosi, ale jednak powinno stać bliżej niego niż dalej. Jest reguła, że jako nieakcentowane słowo **nigdy** nie może stać **na początku zdania**. Natomiast wbrew opinii niektórych polonistów czasami musi być na końcu zdania, chociaż generalnie nie zaleca się tej pozycji. Ale to tylko zalecenie, nie zasada. Nie da się inaczej powiedzieć np. *Nie bój się!* czy: *Przejaśnia się*.

Czasem dopuszczalnych jest kilka wersji w zależności od kontekstu: *udało się nam, nam się udało, udało nam się*. Powyższe przykłady telewizyjnych wypowiedzi mogłyby wyglądać następująco: *Co **udało się** nam ustalić dotychczas? Co **udało nam się** ustalić dotychczas? Co **się** nam **udało** ustalić dotychczas? **Zgodził się** nam pomagać. **Udało się** nam znaleźć te rzeczy. **Udało nam się** znaleźć te rzeczy. **Udało się** nam zrobić coś tam. **Udało nam się** zrobić coś tam. **On wydaje się** być zdesperowany. **Zostańcie w domu, a my postaramy się** wam zapewnić rozrywkę (lub: zapewnić wam). **Zdecydowałam się** powiedzieć prawdę.*

Na koniec dzisiejszych refleksji kilka zdań chcę poświęcić poprawności fonetycznej. Od dłuższego czasu

obserwuję nieprawidłowe artykulowanie połączeń międzywyrazowych, a mianowicie oddzielanie w wymowie przyimków od rzeczowników, do których się odnoszą, i w rezultacie nieuwzględnianie zasady upodobnienia pod względem dźwięczności. Np. wyrażenia: *praca z młodzieżą, zmagać się z różnymi przeciwnościami, pracować w szkole, w fabryce, wracać z fabryki* powinno się wymawiać: [*praca zmłodzieżą, zmagać się z różnymi przeciwnościami, pracować fszkole, ffabryce, wra-*

cać sfabryki]. Natomiast zarówno z ust uczniów i studentów, jak i z ekranów telewizyjnych wybrzmiewają następujące dźwięki: [*praca z(y) młodzieżą, zmagać się z(y) różnymi przeciwnościami, pracować w(y) szkole, w(y) fabryce, wracać z(y) fabryki*]. Irytuje mnie także dziennikarska maniera wymawiania takich słów, jak: *opinia, mania, Hiszpania* identycznie jak, powiedzmy, *niania*, czyli z miękką głoską [ń] bez [j]. A przecież dopełniacz pokazuje, że różnią się one, co w tej formie widać

zarówno w piśmie, jak i w artykulacji: *niani* [ńańi], ale: *opinii, manii, Hiszpanii* [opińji, mańji, hišpańji].

Język polski naprawdę jest piękny i bogaty. Mamy wspaniałe tradycje, kulturę, sztukę, bogatą literaturę, powinniśmy z dumą pielęgnować nasze narodowe dobro i nie mieć żadnych kompleksów. Nasi przodkowie z narażeniem życia walczyli o ocalenie mowy polskiej. Nie zmarnujmy tego!

REGINA KANTARSKA-KOPER



– emerytowana nauczycielka języka rosyjskiego, terapeutka, poetka, meloman-ka. Urodzona na Mazowszu, po studiach w Warszawie zamieszkała w Białymstoku. Uprawia poezję, prozę i amatorsko malarstwo, pisuje także aforyzmy, fraszki, haiku, recenzje, wstępy i posłowania do tomików poezji i aforystyki. Członek Związku Literatów Polskich i Nauczycielskiego Klubu Literackiego. Na swoim koncie ma osiem indywidualnych tomików, trzy jako współautorka w serii „Kajety Starobojarskie” oraz liczne publikacje w: „Twórczości Robotników”, „Własnym Głosem”, „Głosie Nauczycielskim”, „Najprościej”, „Akancie”, „W Służbie Miłosierdzia”, „Epei. Almanachu”,

a także w ponad stu wydawnictwach zbiorowych: pokonkursowych, antologiach poezji i aforystyki, almanachach, w tym za granicą (w języku angielskim w Wielkiej Brytanii i USA oraz w Indiach w języku telugu, angielskim i polskim). Tłumaczona także na esperanto. Redaktor antologii dla dzieci *Czarowny świat wierszy* – Białystok 2011, współredaktor serii poetyckiej – rocznika „Kajety Starobojarskie” (w latach 2010–2018) oraz kilkunastu antologii i tomików poetyckich (m.in. zamieszkałego w Brukseli albańskiego poety Jetona Kelmendiego *Wiersze wybrane*). Zajmuje się pracą korektorską, zasiada w jury konkursów literackich.

fol. Justyna Sawczuk

Jakub Sosnowski

Zagraj w książkę

Gry wideo już dawno przestały być postrzegane jako rozrywka dedykowana dzieciom. Obok tytułów, których „przejście” wymaga od gracza refleksu, pojawiły się bardziej skomplikowane pozycje, tematycznie skierowane do dorosłego odbiorcy. Co więcej, z biegiem czasu zaczęto postrzegać gry jako element kultury, który uczy – przykładem może być wpisanie na listę lektur nieobowiązkowych w polskich szkołach, rodzimej produkcji *This War of Mine*.

Graczy, będących również miłośnikami książek oraz komiksów, cieszy fakt, że ich ulubieni literaccy bohaterowie goszczą na ekranach komputerów i telewizorów. Najwięcej powieści i opowiadań przeniesiono w cyfrowy świat w latach osiemdziesiątych. Obecnie takich adaptacji jest znacznie mniej, ale gdy się pojawiają, zyskują grono fanów – w postaci osób spędzających wolne chwile z padem w dłoni, a także tych zatapiających się w lekturze książek.

Poniżej znajduje się subiektywne zestawienie najciekawszych elektronicznych adaptacji dzieł literackich, które ukazały się w minionej dekadzie. Wśród nich znalazły się zarówno AAA (gry o najwyż-

szych budżetach na produkcję i promocję), jak też produkcje niższej klasy.

Wiedźmin 2: Zabójcy królów (2011)
i *Wiedźmin 3: Dziki gon* (2015)

O tych tytułach mówi cały świat. Szczególnie o *Wiedźminie 3*, od którego premiery minęło pięć lat, a wciąż święci tryumfy popularności (w chwili pisania tego artykułu, na platformie Steam, w Geralt wciela się ponad 29,5 tys. osób). To co zrobił CD Project Red z *Sagą o Wiedźminie*, przekroczyło wszelkie oczekiwania.

Obie części gry są luźną adaptacją prozy Sapkowskiego. Gracz, wcielając się w postać Białego Wilka, dowiaduje się, jak dalej potoczyły się losy Geralta z Rivii. Przemierzając świat, penetrując jaskinie i zabijając wszelakie monstra można poczuć się jak książkowy łowca potworów. Dodatkowym atutem gry jest bogata fabuła, która stawia odbiorcę przed trudnymi wyborami, mającymi konsekwencje w wirtualnej rzeczywistości.

Sherlock Holmes: The Devil's Daughter (2016)

Gdyby Sir Artur Conan Doyle żył, grałby w przygody Sherlocka Holmesa – takim hasłem można reklamować kolejne części przygód najsłynniejszego detektywa, którymi raczy nas Frogwares. *The Devil's Daughter* to ich dziewiąta gra o Holmesie. Najciekawsza z serii.

Uwaga, to nie jest tytuł dla wszystkich. Świadczą o tym negatywne recenzje w sieci, warto jednak spróbować zagrać. Szczególnie jeśli jest się miłośnikiem pisarza, dobrych kryminałów lub osobą, która chce nacieszyć oko widokiem przepięknego wiktoriańskiego Londynu.

W *The Devil's Daughter* na Holmesa i Watsona czeka pięć zróżnicowanych zagadek. Są morderstwa, pościgi, przesłuchiwanie świadków, poszukiwania zaginionych osób i tajemnice, które miały nie wyjść na jaw. Fabuła jest nieliniowa, zmieniająca się wraz z wyborami gracza.

Filary Ziemi (2017)

Studio Daedalic Entertainment specjalizuje się w grach przygodowych. Firma z Hamburga ma swoich miłośników, którzy słysząc o jej pracy nad nowym tytułem, zamawiają go w przedsprzedaży. Nic dziwnego, produkcje od Daedalic Entertainment są dopracowane pod każdym względem i dają niezwykłą radość miłośnikom przygodówek typu point-and-click.

Jeden z flagowych tytułów studia jest oparty o bestseller Kena Folletta. Gracz, podobnie jak czytelnik powieści historycznej, otrzymuje opowieść o budowie katedry Kingsbridge. Wciela się w trzy postaci – przeora opactwa Phillipa, chłopca Jacka oraz zhańbionej szlachcianki Alieny. Ich perypetiom towarzyszą w tle konflikty społeczne, czas wojen i wszechobec-

nego ubóstwa. Całość podzielona jest na księgi, a te na rozdziały – czym rozgrywka nawiązuje do lektury książki.

Gra na pewno spodoba się zarówno osobom, które znają obszerne dzieło Folletta, jak też miłośnikom powieści historycznych. Czas spędzony przy komputerowych *Filarach Ziemi* może przyczynić się do podjęcia wyzwania, jakim jest przeczytanie ponad ośmiuset stron bestsellera. Na pewno po produkcję niemieckiego studia nie powinny sięgać osoby oczekujące od cyfrowych *Filarów Ziemi* dynamiki i wartkiej akcji.

Memoranda (2017)

Tytuł ujrzał światło dzienne dzięki graczom oraz fanom prozy Harukiego Murakamiego. To oni wsparli zbiórkę funduszy na platformie Kickstarter i po-

zwolili studiu Bit ByterZ stworzyć przygodówkę typu point-and-click.

Memoranda to opowieść o kobiecie, która zapomniała własnego imienia. Bohaterka próbuje rozwiązać zagadkę dotyczącą utraty pamięć. Jej przygoda rozgrywa się w małym miasteczku, w którym różnorodne postaci łączy strata. W trakcie rozgrywki gracz poznaje między innymi mężczyznę, któremu zaginęła żona, biegnąc bez stopy czy też ptaka pozbawionego zwierzęcego instynktu.

Tytuł dedykowany miłośnikom surrealizmu oraz twórczości japońskiego pisarza.

Metamorphosis (2020)

Warszawskie studio Ovid Works w marcu 2019 roku zapowiadało ukazanie się gry inspirowanej twórczością

Kafki na jesień owego roku. Niestety prace przeciągnęły się i *Metamorphosis* pojawiło się na rynku w sierpniu 2020 roku. Jednak warto było czekać.

Metamorphosis to gra z gatunku puzzle platforming adventure. Tak jak w opowiadaniu Kafki, bohater zamienia się w insekta. Musi on przemierzyć określone lokacje, by rozwiązać zagadkę przemiany. Miłośnicy prozy Franza Kafki szybko zauważą nawiązania do *Procesu* i *Zamku*.

Produkcja Polaków jest luźną adaptacją prozy, bowiem z opowiadaniem *Przemiany* ma wspólną tylko postać bohatera. Jednak uruchomienie tytułu na komputerze lub konsoli może przynieść pozytywne skutki – odbiorca przekona się do powieści surrealistycznych oraz zostanie zachęcony do sięgnięcia po dzieła najsłynniejszego pisarza z Pragi.



JAKUB SOSNOWSKI

– trener biznesu, zajmujący się komunikacją interpersonalną i działaniami z zakresu PR. Autor książek: *Wuj Krasnolud i Brama Opowieści*, *Wuj Krasnolud. Tom 2. Pani Strach i Pan Złość*, tekstów literacko-naukowych, scenariuszy komiksów i gier dla dzieci.

fot. Justyna Sawczuk

Jolanta Gadek

Nie wszystko jest do opowiedzenia

Niezwykła żona. Muza. Oddana matka. Organizatorka życia powszedniego. Nauczycielka, czyli „Pani od polskiego”. Pierwsza recenzentka poezji męża. Kochająca córka. Kustoszką pamięci poety. Wdowa wciąż żałująca, że jej ukochanego tyle rzeczy ominęło. Babcią opowiadająca wnuczkom o dziadku, którego nie poznały. Dusza towarzystwa. Osoba o bardzo wysokiej kulturze osobistej. Inteligentna obserwatorka życia kulturalnego i społecznego. O jej mężu napisano już wiele. Ona po prostu jest i wszyscy przypominają sobie o Niej, gdy zbliża się kolejna rocznica Jego śmierci, gdy zbliża się kolejna edycja nagrody Jego imienia. Halina Kazanecka.



fol. Bogumila Maleszewska-Oksztol

Najczęściej spotykamy się u Niej w domu. Białostockie osiedle Bacieczki, skromny budynek. Tu żyli, tu wychowali się ich synowie, tu nadal mieszka, tu odwiedzają ją wnuki. Jaka jest? Od progu uderza jej gościnność, elegancja w obejściu. Ciśnie się wręcz na usta słowo: dama. Mówi przepiękną polszczyzną, ale nie widać w niej ani odrobiny sztywności czy napuszenia. Za to widać olbrzymie

poczucie humoru. Trudno powiedzieć, że „lody szybko zostają przełamane”, bo żadnego dystansu, chłodu nie uświadczam nawet kiedy spotykamy się po raz pierwszy. Dyktafon na początku trochę przeszkadza, przyciąga uwagę, rozprasza. Ale tylko na początku.

Zagłębiamy się w rozmowę „o Wiśku”. Wspomnienia płyną szerokim strumieniem. „Z nim nigdy nie było nudny”.

„Do garów się nie wtrącał”. „On i poezja to jedno”. „Nauczył synów kultury osobistej”. „Był głęboko wierzący”. „Wkurzały go absurdy peerelowskiej rzeczywistości”. „Niesprawiedliwość budziła w nim wielki sprzeciw”. Portret, który kreśli, jest portretem w ciepłych barwach. Przedstawia człowieka z krwi i kości, a nie postać symboliczną, koturnową. Ucieka od wielkich słów, a gdy czasami

padają, są wypowiedane jakby z lekkim zawstyżeniem.

Wbrew moim obawom „o Wieśku” rozmawia się łatwo. Nie ma tematów tabu, czasami tylko trzeba wspomóc pamięć sięgnięciem po listy, dokumenty. Nazwiska osób, które dawno nie żyją. Albo takie, które funkcjonują w pamięci pod dawnymi pseudonimami. Trzeba je rozszyfrować. Niektórzy nie są wspomniani miło, ale ustalamy, że pominiemy ich milczeniem. Kto inny osądzi ich uczynki i postawę. Rozmawiamy po to, żeby zebrać wspomnienia żony o poecie. Nie po to, żeby robić rozliczenia.

Zresztą czasami milczenie jest największą karą.

Trudniej dowiedzieć się czegoś o Niej. Zakochała się w swoim przyszłym mężu, choć był blondynem, a ona wolała brunetów. Przeprowadziła się do jego ukochanego Białegostoku z drugiego krańca Polski. I tu została, choć po jego śmierci bliscy chcieli, żeby wróciła w rodzinne strony. Lubiła pracować z młodzieżą, była, jak to się mówi, nauczycielką z powołania. W domu miała pełno poezji i polityki, salon poetycki, klub dyskusyjny, świetlicę artystyczną, biuro interwencyjne. Nie narzekala, bo

po co się kłócić o rzeczy błahe, kiedy najważniejsze są te najważniejsze. „Obiecał mi, że „będziemy szeptać w gwiazdach jak w wysokich trawach” – powiedziała. I szeptali, dopóki śmierć go nie zabrała. Z nikim innym już nie chciała układać sobie życia, choć, jak przyznaje skromnie, pojawiały się różne możliwości. Ale wtedy dzieci były najważniejsze...

Już nie te czasy, że dyktafon pstryka, bo kończy się taśma. Dziś dyktafony są cyfrowe. A mimo to w pewnym momencie ten dyktafon pstryka. Bo nie wszystko jest do opowiedzenia. Bo żona poety strzeże granic intymności.

Rozmowę z Haliną Kazanecką będzie można przeczytać w naukowym wydaniu wierszy zebranych Wiesława Kazaneckiego, nad którym pracuje Książnica Podlaska i Wydział Filologiczny Uniwersytetu w Białymstoku.

JOLANTA GADEK

– ur. w 1967 roku w Ostrołęce, ukończyła filologię polską na Filii Uniwersytetu Warszawskiego w Białymstoku oraz studia podyplomowe na kierunku menedżer kultury, organizowane przez WOAK i WSiFiZ w Białymstoku. Przez większość życia zawodowego związana z dziennikarstwem. Przez 15 lat pracowała jako dziennikarz, redaktor i zastępca sekretarza redakcji w regionalnym dzienniku „Gazeta Współczesna”. Opublikowała setki informacji, tekstów publicystycznych dotyczących głównie spraw społecznych, reportaży dokumentujących życie regionu, tekstów interwencyjnych. Współpracowała z takimi czasopisma-

mi, jak: „Ilustrowany Tygodnik Poznański”, „Sztandar Młodych”, „Przegląd Tygodniowy”. Przez 5 lat pełniła funkcję dyrektora programowego, prokurenta, a następnie prezesa regionalnej rozgłośni radiowej Polskie Radio Białystok S.A. Zajmowała się public relations administracji publicznej, ukończyła też roczny kurs „Eurofunkcjonariusz” organizowany przez Wyższą Szkołę Administracji Publicznej. Od maja 2016 roku pełni funkcję dyrektora Książnicy Podlaskiej im. Łukasza Górnickiego w Białymstoku, największej biblioteki publicznej i naukowej w północno-wschodniej Polsce.

fot. Bogumiła Maleszewska-Oksztol



Łukasz Zabielski

Gloger, grantomania i ugory wiedzy zdigitalizowanej. Obserwacja zaangażowana

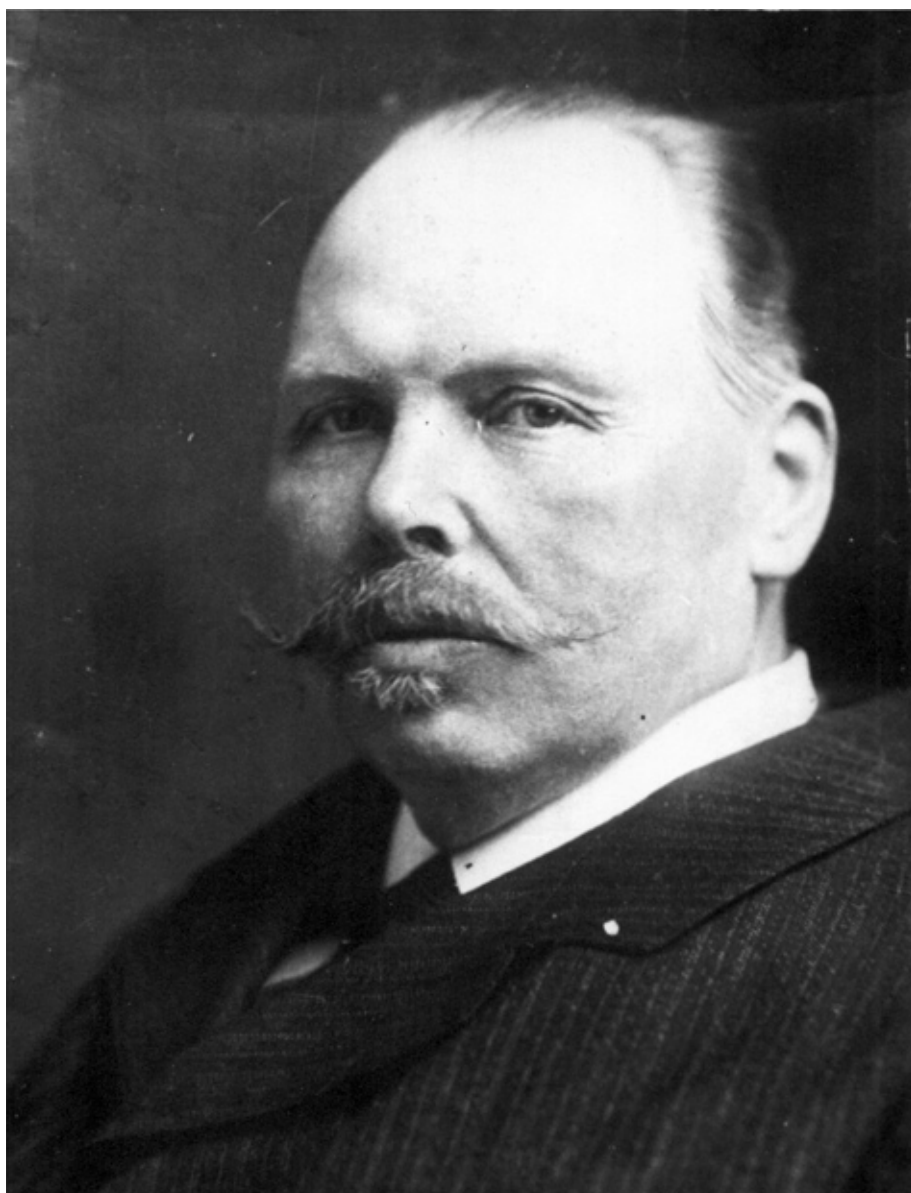
Gdy w 2016 roku składaliśmy wniosek do Narodowego Programu Rozwoju Humanistyki, wówczas bez szczęśliwego finału, jeden z dwóch oceniających go anonimowych recenzentów okazał się szczególnie surowy. Zadał nam on (artykułując opinię, używał męskosobowych końcówek czasownika) filozoficzne, z pozoru retoryczne, pytanie o sens wydawania w naukowym opracowaniu tekstów, które są dostępne w Internecie pod postacią skanu pierwodruków. Można z nich korzystać bez typowych obustrzeń towarzyszących lekturze „analogowych” treści, jedynym warunkiem jest dostęp do „usieciovanego” urządzenia elektronicznego. Dzisiaj funkcja ta cechuje nawet lodówkę i pralkę, co chyba najlepiej obnaża bezkres możliwości czerpania ze źródeł wiedzy cyfrowej. Do samej idei reedycji starych dzieł nie miał chyba Pan Recenzent zastrzeżeń, w wątpliwość podawał natomiast potrzebę przeznaczania w złotej erze bibliotek wirtualnych na taką działalność bodaj złotówki ze środków publicznych. Jakże się z tego typu spojrzeniem nie zgodzić,

skoro nawet uproszczona dedukcja – w ujęciu egalitarnym zwana „chłopskim rozumem” – podpowiada, że jeśli terytorialne, formalne i czasowe ograniczenia dostępu do określonego źródła wiedzy zostają zniesione, trudno w oświeczonej części świata kultury o bardziej spektakularny sukces. Wszyscy więc potencjalni zainteresowani: naukowcy, bibliografowie, erudyci, studenci i entuzjaści-amatorzy literackich ciekawostek, nawet urzędnicy oraz wypełnione tabele milionów stron grantowych sprawozdań – winni być zadowoleni. I generalnie są. Przynajmniej, gdy mówimy o statystykach, ministerialnych wskaźnikach, czy też ogólnym modelu społecznej reakcji na określone usprawnienia w przepływie informacji.

Nie chcę, i nie taka jest intencja piszącego niniejsze słowa, oceniać i wartościować tendencji do budowania „filozofii” – czyli dzielenia się subiektywnymi przemyśleniami – jako elementu składowego „oceny eksperckiej”, tworzonej przy rozpatrywaniu naukowych wniosków grantowych. Doklejanie do sformalizowanej nowomowy kilku humorystycznych lub/i ironicznych spostrzeżeń natury osobistej jako narzędzia służącego podniesieniu poziomu dopaminy (i kortyzolu u ocenianego) we krwi jest

w pełni zrozumiałe i usprawiedliwione. Rola recenzenta przy tego typu konkursach jawi się wszak jako jedno z najbardziej niewdzięcznych zajęć, jakie można sobie wyobrazić. Nie wiąże się ona ani z prestiżem finansowym (choć to kryterium może być zmienne w zależności od organizatora), ani tym bardziej zawodowym – recenzje są anonimowe, nie wiadomo kto czyj wniosek oceniał. Odbiera to szansę minimalnego bodaj wzmocnienia „ego”, o co gorliwie zabiega się w świecie polskiej nauki, a więc tej części rzeczywistości, gdzie wynagrodzenie za pisarsko-badawczy trud wypłacane jest w punktach. Bez wyraźnego widoku marchewki na końcu kija, podjęcie mozolnego zadania wyboru garstki spośród setek uargumentowanych w mniej lub bardziej zmyślny sposób próśb (każda po kilkanaście/kilkadziesiąt stron A4!) o sfinansowanie przedkładanych projektów, rysuje się w kształtach oraz rozmiarach mitycznych dwunastu prac Heraklesa. Dlatego zapewne treści recenzji wyglądają tak, jak wyglądają. I kropka.

Faktem jest, że kolejne nasze podejście do tego samego konkursu zakończyło się pełnym sukcesem. I to właśnie konkretny przypadek drugiej edycji grantu, jaki obecnie (chodzi o lata 2018–2022) realizujemy w Książnicy Podlaskiej oraz



Zygmunt Gloger

fot. ze zbiorów prywatnych Liliany Gloger

co z tak cenionym współcześnie – przynajmniej na poziomie deklaratywnym i medialnym – duchem niepowtarzalności, indywidualności, regionalności? Co z efektami nieoczywistymi, powstającymi niejako „mimoходом” przy realizacji przedsięwzięć badawczych, a które to efekty w finalnym wydaniu prezentują się jako wartość nadbudowana i dla całego projektu najważniejsza?

Do rzeczy zatem. Książnica Podlaska realizuje drugi już z kolei grant naukowy, którego tytułową i centralną postacią jest Zygmunt Gloger. Człowiek to bez wątpienia wybitny, bardzo dla polskiej (a podlaskiej w szczególności) kultury zasłużony. Z tą po „szkolarsku” sformułowaną opinią zgodzi się statystyczny recenzent każdego chyba wniosku. Jednakże za pozyteczną i powszechnie docenianą działalnością naszego bohatera kryje się poważny kłopot, na który natknęliśmy się nie od razu. Wyływa on bezpośrednio ze wspomnianego przeze mnie, tak powszechnie dziś przyjętego, „wikipediowego”, a więc porządkującego i upraszczającego, postrzegania rzeczywistości, które nie akceptuje wszelkich bezkształtów, tajemnic, niedopowiedzeń. W przypadku grantu – kłopot ów objawia się ot choćby w prozaicznej niemożności jednoznacznej (zatem niesimplifikującej) klasyfikacji „zawodowej” Glogera. Chodzi o zaspokojenie tak zdawałoby się naturalnej potrzeby, przypisania człowiekowi „twardego” epitetu, określenia wskazującego (nam, nie jemu) jego miejsce w „pop świecie”: Jan Kochanowski – poeta, Fryderyk Chopin – kompozytor, Jacek Malczewski – malarz, Jan Paweł II – papież, Jan Kulczyk – biznesmen itd. Sprawa ta, tak na pozór błaha, w przypadku osoby, której teksty podlegają planom digitalizacji czy opracowania w naukowym wydaniu,

na Wydziale Filologicznym Uniwersytetu w Białymstoku uzmysłowił nam, jak bardzo zwodnicze okazuje się patrzeć na świat poprzez wykute w logice soczewki racjonalizującego rzeczywistość eksperta-urzędnika i jak ważne jest, aby ostateczną decyzję odnośnie tego, które projekty kierować do realizacji, podejmował „człowiek z krwi i kości”, a nie wykazujący się choćby najwydajniejszy-

mi parametrami komputer. Najbardziej bowiem wyważony i przemyślany konstruktor ewaluacyjnego formularza może się okazać narzędziem kłopotliwym, wręcz przysłowiową kulą u nogi. Nie uwzględnia on wszakże niczego, prócz dającej się kategoryzować i katalogować rzeczywistości w jej jak najszerszym ujęciu, jej uogólnieniu, zatem i wyjąłowieciu z tożsamości. Warto więc zapytać:

może rzutować na jego dalsze „być albo nie być” w operacyjnych zasobach narodowej kultury.

Co ciekawe, problemem nie jest niedobór słów, a wręcz przeciwnie. Biografowie i badacze twórczości Glogera z upodobaniem mnożą i łączą przeróżne terminy: starożytnik (czyli, mówiąc w dużym uproszczeniu, historyk-amator), archeolog, publicysta, etnograf, krajoznawca, romantyczny pozytywista itd. Ma to cel oczywiście apologetyczny, podkreślający pracowitość, ambicję, szeroki wachlarz zainteresowań, jego omnikompetencję i polihistoryczność. Jeśli jednak z formalnej konieczności pojawiały się próby redukcji tej jego wielotwarzowej działalności do pojedynczego określenia: historyk, kolekcjoner, wydawca, pociągały one za sobą oskarżenia o nieprofesjonalizm. W oczach literaturoznawców nie był Gloger nigdy Wincentym Polem czy Józefem Ignacym Kraszewskim, historycy nie widzieli w nim Juliana Bartoszewicza, archeologowie Józefa Łepkowskiego, a folklorystom nie jawił się jako drugi Oskar Kolberg (*notabene*, wszystkich wymienionych znał osobiście, przyjaźnił się lub/i współpracował). Mówiąc inaczej: przedstawiciele zinstytucjonalizowanych dyscyplin akademickich nie rozumieją zasadności pełnoetatowego „zajęcia się” dorobkiem i myślą Zygmunta Glogera, nie widzą w nim bowiem „fachowca”, czyli człowieka upostaciowującego modelowy wzorzec znanego im świata. Po co zajmować się „nieprofesjonalnym” etnografem, jeśli cały legion profesjonalnych czeka na zbadanie? Logiczne. Z tego samego zresztą, jak się zdaje, powodu nasz bohater nie potrafił związać się na dłużej z jedną instytucją, ocierając się kolejno o mury siedzib Warszawskiej Szkoły Głównej, Uniwer-

(...) przedstawiciele
zinstytucjonalizowanych
dyscyplin akademickich
nie rozumieją
zasadności pełnoetatowego
„zajęcia się”
dorobkiem i myślą
Zygmunta
Glogera,
nie widzą w nim bowiem
„fachowca”, czyli
człowieka
upostaciowującego
modelowy wzorzec
znanego im świata.

sytetu Jagiellońskiego, Akademii Umiejętności w Krakowie, Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego itd. To bodaj najważniejsza wskazówka, która winna być brana pod uwagę przez autorów jego kolejnych biografii. O ile się tacy, rzecz naturalna, pojawią.

Ostrożność recenzentów przy wydaniu jednoznacznego werdyktu w kwestii sfinansowania naukowego projektu opracowania dorobku twórcy, którego nie

sposób określić jednym terminem, jest więc w pełni zrozumiała. Tym bardziej, że dostęp – za pośrednictwem platform *online* – do skanów wszystkich pierwodruków książek Glogera nie stanowi obecnie żadnego wyzwania. Pozostaje więc logować się i korzystać. Tu jednak dochodzimy do sedna problemu, mianowicie do kwestii zgrzytów pomiędzy trybem i formą udostępniania a tożsamością udostępnianych w wirtualnym świecie treści. Szczególnie mylące może się okazywać określenie „biblioteka cyfrowa”, które zdaje się sugerować, że desygnat tej nazwy ma cokolwiek wspólnego z biblioteką *sensu stricto*. Biblioteka jako biblioteka – zbyt to obszerny i złożony temat, aby go w tym miejscu potraktować inaczej niż w krzywdzącym uproszczeniu, za co przepraszam – ma za podstawowe zadanie działalność aktywizującą i kulturowo (re-)animującą społeczeństwo. Oczywiście, udostępnienie książki potencjalnemu zainteresowanemu czytelnikowi staje się narzędziem koronnym w całym pozostawionym do dyspozycji księżnicy repertuarze. Jednak „analogowym” odpowiednikiem „biblioteki cyfrowej” w jej działalności misyjnej byłaby nie przysłowiowa „osiedlowa wypożyczalnia książek”, lecz archiwum, a więc instytucja zajmująca się gromadzeniem, ochroną i udostępnianiem treści szczególnie dla kultury i nauki cennych. Oczywiście, obie instytucje w oczach szlifującego miejskie bruki spacerowicza wydają się bardzo do siebie zbliżone, jednak na spotkanie z pisarzem raczej do archiwum nie pójdziemy. Nie znaczy to, że archiwum nie może i nie prowadzi działalności kulturalnej, ale nie stanowi ona fundamentu statutowej jego osobowości.

W kontekście poruszanego tutaj tematu naukowych projektów jest to problem kluczowy. Każdy internauta, przeglądając „biblioteki cyfrowe” i zde-

ponowane w nich skarby pod kątem twórczości Glogera, znajdzie przede wszystkim dużą liczbę szczegółów związanych z kulturą, dziejami czy geografią historyczną dawnych ziem Rzeczypospolitej Polskiej. Bo tym się generalnie Gloger zajmował: dbał o dziedzictwo materialne, intelektualne i duchowe kraju, za którego obywatela – wbrew politycznym realiom, w jakich przyszło mu funkcjonować – się uważał. Czy jednak wspomniany internauta zawsze, za każdym razem i w każdych okolicznościach wybierze to właśnie konkretne źródło informacji? O ile zasób zdigitalizowanej wiedzy będzie systematycznie przyrastał – zapewne nie. Znajdą się przecież inne podręczniki i książki, encyklopedie i słowniki, które określone zjawisko/zagadnienie oświetlą w sposób bardziej atrakcyjny, sprecyzowany, dostosowany do zmieniających się czasów i oczekiwań odbiorców. Zdigitalizowane pierwodruki książek Glogera (ale przecież nie tylko, to problem szerszy, dotyczący wielu innych badaczy, pisarzy, twórców, artystów itd.), odzwierciedlające i poświadczające tytaniczny trud owego dziewiętnastowiecznego działacza na rzecz polskiej kultury, zmienia swój status z podręcznego składu niedostępnej nigdzie indziej wiedzy w spróchniałą już nieco, antykwaryczną ciekawostkę. Same w sobie nie prezentują wszak one żadnej pragmatycznej wartości.

Co ciekawe, z problemem o zaskakująco podobnym charakterze spotkał się sam Gloger. Oczywiście, nie chodziło o cyfrowe przetwarzanie danych, ale o „uwiecznianie” i udostępnianie śladów narodowego dziedzictwa. Jakkolwiek szeroko nie ujmować różnorodności jego zainteresowań, wyrósł nasz bohater na aktywności natury kolekcjonersko-zbierackiej. Od najmłodszych, szkolnych

Materia jest zbyt krucha,
zbyt podatna
na szkodliwą działalność
destrukcyjnych sił historii.
Podobnie kultura oralna:
uwieczniona w formie
zadrukowanych
kartek papieru traci swą tożsamość,
staje się jedną z miliona
dostępnych szerszej
publiczności ciekawostek, (...)
a nie tym, czym była oryginalnie,
czyli atomem rwącego
nurtu życia określonej
społeczności.

lat skrupulatnie gromadził zarówno produkty materialnej (dokumenty, monety, przedmioty zabytkowe), jak i intelektualnej działalności człowieka (pieśni, powiastki, przysłowia itd. – słowem: ślady tradycji oralnej). Motywujący go entuzjazm i wiara w sens takiej właśnie, „ocalającej” aktywności, uległy w pewnym momencie życia zagadkowemu załamaniu. Zaczął się mianowicie Gloger zastanawiać, jak rozumieć w ogóle coś,

co powszechnie nazywamy „tradycją”. A to dlatego, że spotkały go liczne – mówiąc delikatnie – przeszkody (konfiskata antycznych monet, brak wydawcy i sponsora dla druku książek, kończące się miejsce do przetrzymywania mnożących się zbiorów, niemożność znalezienia współpracowników itd.). Owe przeszkody utwierdziły go w przekonaniu, że zabytek sam w sobie nie jest czymś, co można uznać za fundament tożsamości człowieka, za pierwiastek, który umacnia jego zakorzenienie w bardzo konkretnej przestrzeni kulturowej i geograficznej. Materia jest zbyt krucha, zbyt podatna na szkodliwą działalność destrukcyjnych sił historii. Podobnie kultura oralna: uwieczniona w formie zadrukowanych kartek papieru traci swą tożsamość, staje się jedną z miliona dostępnych szerszej publiczności ciekawostek, muzealnym eksponatem, laboratoryjnym obiektem badań, a nie tym, czym była oryginalnie, czyli atomem rwącego nurtu życia określonej społeczności. By dać przykład: czym z pragmatycznego punktu widzenia mogła się okazać szesnastowieczna pieśń polskiego ludu dla dziewiętnastowiecznego entuzjasty kultury popularnej i wyznawcy idei wiecznego postępu? Otóż dokładnie tym samym, czym dzisiaj jest wiersz Mickiewicza dla statystycznego obywatela „światów cyfrowych”. Wyrwanie z zapomnienia, przechowywanie i upowszechnianie fragmentów zamierającej przeszłości miało sens o tyle, o ile były one aplikowane do codziennego życia, o ile mogły owe fragmenty stanowić przedmiot/obiekt myśli, emocji, zachowań, wysiłków itd. Tekst pieśni, choćby zapisano go na najnowocześniejszym cyfrowym nośniku, pozwalającym na jego badanie i przetwarzanie w najbardziej zmyślny sposób – nie ma sam w sobie większej wartości. Jest to, jak

Gloger sam by określił, „martwe ciało bez duszy”. Użyta przeze mnie tutaj jako przykład pieśń ludowa powstała bowiem nie po to, aby przetrwała jako relikw, lecz aby mogła wypełniać serca i umysły ludzi kolejnych epok. W ten sposób można mówić o wspólnocie kulturowej, tożsamościowej, a więc wartości wiecznej, przekraczającej czas i przestrzeń, co w zatrwającym stopniu kontrastuje z obserwowaną przez Glogera (dziś rozrośniętą do niebotycznych rozmiarów), niczym bluszcz oplatającą kulturę przygodnością, krótkotrwałością, natychmiastowością.

Samo w sobie i samo dla siebie zbieranie folkloru, dokumentów, przedmiotów wykopanych w ziemi – ich opisywanie, zabezpieczanie, udostępnianie – szybko przestało Glogera interesować. Nie chodzi o to, że nie chciał dbać o narodowe dziedzictwo, lecz zaczął się zastanawiać nad głębszym, nieoczywistym sensem tego typu aktywności. Nie negował, rzecz jasna, potrzeby prowadzenia „profesjonalnych” badań naukowych czy działań o charakterze kolekcjonerskim, zbyt był na nie wrażliwy i zbyt świadomy ich niezaprzeczalnej wartości. Zaczął jednakże poszukiwać odpowiedniej dla siebie, indywidualnej formy pracy na polu kultury i nauki. Dlatego nie potrafił się odnaleźć jako zawodowy (czyli świadomie stosujący rozbudowany aparat badawczy, realizujący narzucony program działania) etnolog, archeolog czy historyk „na pełen etat”. Skupił się na sposobach wpływu na codzienność swego bliższego i dalszego otoczenia. Na przykład podjął się prób reanimowania dawnych zwyczajów. Polegało to między innymi na zachęcaniu wiejskiej młodzieży do wznowienia porzuconych już wówczas praktyk związanych z obchodami określonych świąt czy uroczystości. Tworzył też podręczniki

(...) widocznym i namacalnym
owocem naszych grantów
są wydane tomy. Ale tak
naprawdę chodziło
i wciąż chodzi o coś
znacznie ambitniejszego,
o inicjowanie – i zachęcanie
do podejmowania w szerszej
skali i większych grupach –
akcji przywracania
określonych tekstów kultury
do głównego nurtu
edukacyjnego, naukowego
i popularnego
obiegu informacji.

do nauki czytania, które zawierały teksty folkloru (a więc treści swojskie, rodzime, a nie obce kulturze ludowej). Nie robił tego wszystkiego po to jednak, aby „cofnąć” bieg dziejów, przywrócić „stare i dobre” czasy, ale aby wzmocnić anemiczną w jego opinii kulturę współczesną. Chodziło mu więc o to, aby za pośrednictwem środków, które mieli do dyspozycji przodkowie, ożywić teraźniejszość i kształtować przyszłość.

Jaką namacalną wartość ma więc dla całego społeczeństwa polskiego – w świecie marzenia, którym kierował się w swej działalności Gloger – digitalizowanie i udostępnianie w bibliotekach cyfrowych jego tekstów? Niewielką. Dla badacza historii czy literatury będą to materiały archiwalne, obiekty analiz. W przypadku każdej postronnej osoby tego typu teksty stanowią kolejną ciekawostkę natury historycznej. Nie twierdzę, i pragnę to z całą stanowczością podkreślić, że idea digitalizacji, ułatwiania dostępu do źródeł archiwalnych jest niepotrzebna. Wręcz przeciwnie. Nie powinniśmy jej jednak traktować jako szczęśliwego finału prac nad rzekomym „ocalaniem” czegośkolwiek, ponieważ dostępne w Internecie skany nie są nawet „półproduktem”. Stanowią one jedynie punkt wyjścia do podejmowania pracy naukowej, edukacyjnej, wydawniczej itp. Fakt umieszczenia czegośkolwiek na cyfrowej platformie (repozytorium) nie gwarantuje, że potencjalny badacz, student, naukowiec czy grupa animatorów kulturalnych się tym czymś zainteresuje i skorzysta. Dlatego za podstawowe zadanie w planowanym projekcie, artykułowaliśmy to w każdym składanym wniosku, nie obieraliśmy nigdy samego udostępniania jakiegoś tekstu źródłowego. Owszem, widocznym i namacalnym owocem naszych grantów są wydane tomy. Ale tak naprawdę chodziło i wciąż chodzi o coś znacznie ambitniejszego, o inicjowanie – i zachęcanie do podejmowania w szerszej skali i większych grupach – akcji przywracania określonych tekstów kultury do głównego nurtu edukacyjnego, naukowego i popularnego obiegu informacji. Mówię tutaj o realizowaniu działań (a nie pasywnym drukowaniu: konferencji, seminariów, spotkań promocyjnych, wykładów, lekcji, szkoleń

itd. Lawinowo wzrastająca ostatnimi laty liczba obronionych prac magisterskich czy doktorskich, artykułów naukowych i książek, w których dorobek Glogera stanowi punkt centralny, jest chyba najlepszym ukonkretnieniem kierującej nami od samego początku idei. Idei, dodam raz jeszcze, która bezpośrednio wypływa z marzeń autora *Encyklopedii staropolskiej* o kształtowaniu rzeczywistości, zatem czymś dalekim pustemu mnożeniu woluminów na bibliotecznych półkach czy zapelnianiu nośników cyfrowych danych.

Pierwsza edycja grantu, który realizowaliśmy w Książnicy Podlaskiej, zakończyła się wydaniem trzech obszernych tomów z publicystyką Zygmunta Glogera. Finałem edycji obecnej będzie aż siedem woluminów, w których znajdą się jego teksty etnograficzne, polemiczne, rozprawy i eseje, a także korespondencja i materiały graficzne (szkice, rysunki, obrazy). Jednak prawdziwa wartość całego przedsięwzięcia tkwi w czymś mniej uchwytnym, w czymś, co trudno uwzględnić w statystykach czy ukazać w formie wykresów. Udało się nam bowiem zintegrować dwie duże instytucje naukowe: Uniwersytet

w Białymstoku (Wydziały Filologiczny oraz Historyczny) i Książnicę Podlaską, podjąć współpracę z takimi instytucjami jak Polska Akademia Umiejętności, Muzeum Podlaskie, Muzeum w Tykocinie, Uniwersytet Medyczny, Politechnika Białostocka i wiele innych. Zorganizowaliśmy dwie międzynarodowe konferencje naukowe poświęcone twórczości i działalności Glogera, na które przybyli nie tylko przedstawiciele tak skrajnie różnych dyscyplin jak muzykologia, archeologia, historia sztuki, politologia, literaturoznawstwo, ale też ośrodków zagranicznych od Szwajcarii czy Austrii, po Litwę, Ukrainę i Białoruś. Zaktywizowaliśmy (i żywię nadzieję: zintegrowaliśmy) potomków Zygmunta Glogera, także różnej maści entuzjastów dzieł starożytnika z Jeżewa, amatorów jego twórczości i osoby z różnych innych względów zainteresowane jego niezwykłą biografią. Wymieniam te fakty nie po to, aby się pochwalić, a wręcz przeciwnie, aby pokazać pokorę i uzmysłwić, jak wielką charyzmę miał Gloger, skoro działa ona również dzisiaj, po tylu latach, które upłynęły od jego śmierci.

Szczegóły na temat realizowanego grantu znajdują się na stronie internetowej: ksiaznica-podlaska.pl/dzialalnosc-naukowa/projekty-naukowe/

Programy obu konferencji:

2015: wschodzachod.uwb.edu.pl/wp-content/uploads/2015/10/program_konf_gloger.pdf

2019: ksiaznicapodlaska.pl/wp-content/uploads/2019/11/Naukowe-i-literackie-%C5%9Bwiaty-Zygmunta-Glogera-program.pdf

ŁUKASZ ZABIELSKI



– doktor nauk humanistycznych, literaturoznawca i historyk, edytor dziewiętnastowiecznych tekstów źródłowych (polskich przekładów *Fausta* A.E.F. Klingemanna, *Myśli nocnych* E. Younga). Od 2016 roku kieruje Działem Naukowym Książnicy Podlaskiej im. Łukasza Górnickiego w Białymstoku. Redaktor naczelny „Bibliotekarza Podlaskiego”. Jego zainteresowania badawcze obejmują historię i literaturę polską XIX wieku, ze szczególnym uwzględnieniem oświece-

niowo-romantycznego przełomu kulturalnego, jak również działalności młodych pozytywistów warszawskich i twórczości Zygmunta Glogera. Autor książek: *Mean-dry antyromantyczności. Kajetan Koźmian i romantycy polscy* (Kraków 2015) i *Kajetan Koźmian spoza kanonu. Studia i szkice historycznoliterackie* (Białystok 2018) oraz licznych studiów z zakresu literaturoznawstwa, współredaktor kilku książek naukowych.

fot. Bogumiła Maleszewska-Oksztol

Justyna Sawczuk

Wiktor

Pamiętam nasze pierwsze spotkanie. On – uroczy pan po osiemdziesiątce, z błyskiem w oku i łagodnym uśmiechem, ja – dwudziestokilkuletnia idealistka i perfekcjonistka, wciąż jeszcze nieświadoma, że życie zazwyczaj ma wobec nas inne plany niż my sami.

Zanim się spotkaliliśmy, znałam jego poezję. Czytałam w oryginale, z wielkim trudem, kalecząc język, bo w moich szkołach nikt nie uczył białoruskiego. Był pierwszym poetą, przy którego wierszach płakałam ze wzruszenia i tęsknoty za opisywanym, nie istniejącym już światem, choć w mojej pamięci wyrył się obraz schyłku epoki malowanej słowem Wiktora.

Połączyło nas Morze – niby jedna z wielu podlaskich wsi, ale zarówno w sercu Wiktora, jak i moim, odcisnęła trwałe ślady. Choć różnica wieku między nami wynosiła dokładnie sześćdziesiąt lat, liryczna podróż Wiktora do czasów dzieciństwa była jednocześnie moją podróżą. Niczym doświadczony przewodnik, oprowadzał mnie po swoim rodzinnym domu, a ja czułam zapach chleba pieczonego przez moją babcię oraz suszonych przez nią jabłek i gruszek. Zabierał mnie na spacer polnymi drogami – tymi samymi, którymi i ja biegałam jako dziecko i nastolatka. Mówił językiem, który wciąż brzmiał w moich wspomnieniach...

Wiktor pisał przede wszystkim w języku białoruskim, bliska mu była także gwara, „prosty język”, charakterystyczny dla części podlaskich wsi. Nie odrzucał przy tym polskości, wręcz przeciwnie – sam stał się tłumaczem swoich utwo-



fot. Mira Łuksza

rów na język polski, podkreślając, że to różnorodne Podlasie jest całością, jest jednym, że Białorusini i Polacy to bracia, sąsiedzi winni sobie nawzajem szacunek. To między innymi przekazywał poprzez swoje wiersze, zwłaszcza te, dedykowane młodszemu czytelnikowi.

Zależało mu na ludziach. Chciał, żeby go czytali. Niekoniecznie ci wysoko postawieni, mający władzę i zaszczyty, ale ci prości, zwyczajni, tacy jak on. Do legendy przeszła już opowieść prof. Teresy Zaniewskiej o tym, jak podczas zbierania podpisów pod kandydaturą pewnego literata na stanowisko senatora Rzeczypospolitej trafiła do białoruskiej wsi, gdzie jedna

z gospodyń, w poszukiwaniu dokumentu tożsamości, niezbędnego by wspomnianego poparcia udzielić, otworzyła lodówkę, pełniącą rolę szafki, a w drzwiach tejże lodówki tkwiły trzy rzeczy: dowód osobisty, *Pismo Święte* i jeden z pierwszych tomików wierszy Wiktora Szweda. Myślałam, że Wiktor nie mógł marzyć o lepszej recenzji. Jego poezja trafiła pod strzechy i do ludzkich serc...

Dał mi jedną z najpiękniejszych i najważniejszych lekcji w życiu – nauczył mnie uważności na przyrodę i drugiego człowieka, czułości w spojrzeniu na świat i doceniania tego, co mamy. Tu i teraz. Zanim będzie za późno...

WIKTOR SZWED (1925–2020) – ur. we wsi Morze k. Hajnówki. Poeta, tłumacz, dziennikarz, współtwórca Białoruskiego Stowarzyszenia Literackiego „Białowieża”, należał też do Związku Literatów Polskich. Debiutował w 1957 roku na łamach tygodnika „Niwa”. Był autorem m.in. kilkunastu tomów poetyckich, pisał dla dorosłych i dla dzieci, w języku białoruskim i polskim. Za działalność artystyczną został odznaczony m.in. Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Srebrnym i Złotym Krzyżem Zasługi „Zasłużony Białostoczczyźnie” i „Zasłużony działacz kultury”.

Tak było ...

– wspomnienie rozmowy z Krzysztofem Gedroyciem

Justyna Sawczuk: Pretekstem do naszego spotkania jest Twoja najnowsza powieść *Piwonia odrodzona*. Jak się pisało książkę, na którą pól Białegostoku czekało sześć lat?

Krzysztof Gedroyć: Pisało się różnie, towarzyszyły mi wątpliwości – i nadal towarzyszą – na ile ten język już się zużył przy okazji pierwszej *Piwonii* i czy ta druga część nie będzie takim trochę serialowym naciąganiem. Mam nadzieję, że nie.

Pisało się też ciekawie, ponieważ tematem był 1989 rok, czas, gdy odchodził komunizm, przychodził kapitalizm i na Białostocczyźnie dużo się działo. Akurat w drugiej połowie lat 90. mieszkalem w Białymstoku na stałe, więc odczuwałem te przemiany na własnej skórze.

Wspomniałeś, że druga część *Piwonii* to lata po zmianie ustrojowej, część pierwsza to z kolei lata 40. – 50. XX wieku, czyli trudna powojenna rzeczywistość. Wygląda na to, że upodobałeś sobie te przełomowe momenty.

Myślę, że największe przełomy w Polsce wydarzyły się w 1945, 1989 i w 2010 roku, po katastrofie smoleńskiej. Jak wiadomo, przełomy polityczne sprawiają, że ludzkie losy stają się wyraźniejsze, bardziej dramatyczne i wtedy więcej widać, stąd decyzja, by opisywać te zmiany poprzez losy bohaterów osadzonych w takich właśnie czasach. Wówczas bohaterowie są ciekawsi, chociaż nie zawsze szczęśliwsi.

Czytając *Piwonię odrodzoną* miałam wrażenie, że stworzyłeś opowieść o tym, co się dzieje z



fot. Mona Al-Kaber

człowiekiem, kiedy zostaje „wrzucony” w zupełnie nową rzeczywistość, jak przebiega ten proces przystosowywania się do nowych warunków.

Ciekawe, bo starając się być rzetelnym wobec tego, co czują ludzie i bohaterowie, powiedziałbym, że oni przede wszystkim bardzo mocno przeżywali to, że wszystko się zawaliło, zmieniły się sposoby na życie. Nie myślałem o tym w trakcie pisania, ale teraz, kiedy zwróciłaś na to uwagę, to rzeczywiście mam wrażenie, że to było przyzwyczajanie się do nowych warunków, sprawdzenie czy potrafią sobie poradzić w nowym świecie.

***Piwonia...* często klasyfikowana jest jako kryminał, ale wydaje mi się, że znacznie ważniejsza od**

wątku kryminalnego jest warstwa obyczajowa tej powieści.

Celowo chciałem napisać książkę po trochu popularną, czyli względnie łatwą do czytania, ale też nie powierzchowną. Rzeczywiście, oprócz wątku sensacyjnego, który zawsze wciąga, oprócz romanśów, które zawsze przykuwają uwagę, jest też sfera znaczeń innego rzędu. W pierwszej części jest to opowieść o dochodzeniu narratora, który jest niemową, do własnego języka. On uczy się mówić, ale uczy się mówić mową „tutejszą”. Część druga jest opowieścią o władzy, zarówno w sensie politycznym, jak i jednostkowym, gdy zależy nam na karierach, urzędach. Te wszystkie kwestie w opiniach o tej książce giną, ponieważ łatwiej się mówi, że to kryminał.

Kiedy Jan Kamiński pisze kolejną powieść, część białostoczan drży, szukając się na kartach tejże powieści. Zastanawiam się czy Twoi bohaterowie mieli swoje pierwowzory w rzeczywistości?

Ci główni bohaterowie wychodzą z mojej głowy, ewentualnie są zlepkami różnych postaci, natomiast czasami posługiwałem się konkretną osobą i jej psychiczność, jej sposób życia oddawałem poprzez innego bohatera w książce.

Przychodzi mi teraz na myśl sytuacja po wydaniu pierwszej części *Piwonii*. Jest tam para bohaterów, partyjnych towarzyszy, będących homoseksualistami i podobno rozeszła się wieść, że rzeczywiście tacy byli w Komitecie Wojewódzkim.

Rozumiem, że Ty o tym nie wiedziałeś?

Nie wiedziałem.

Krzysztofie, Białystok jest bardzo mocno widoczny w obu częściach *Piwonii*, chociaż nazwa Białystok nie pada.

Nazwa nie pada, ale wszyscy wiedzą, że to tutaj. To jest związane z tym, że pochodzę z Białegostoku, tutaj mieszkałem, później często powracałem. Mogę powiedzieć, że się żywię Białymstokiem i Podlasiem, jestem bardzo związany z tym miejscem – emocjonalnie i rozmowo. Nie próbowałem, ale nie wiem czy udałoby mi się napisać coś spoza związków z tą ziemią, z tym miejscem, z tymi ludźmi czy z tą szczególną umysłowością.

Chciałabym jeszcze na chwilę zatrzymać się przy Białymstoku w Twoich powieściach. Piszesz tak, że niektóre fragmenty mogłyby posłużyć za mapę tego miasta, mogliśmy poruszać się śladami Twoich bohaterów. Wiem, że w przypad-

ku pierwszej części, gdzie piszesz o czasach powojennych, potrzebny był pewien research, czy podobnie było w przypadku części drugiej?

Pytanie, które zadałaś jest tak naprawdę pytaniem o to, jak się ma pisanie do świata realnego, który nas otacza. Z tym może być bardzo różnie, moi bohaterowie bardzo mocno w tej rzeczywistości żyją, wobec czego tę rzeczywistość należałoby przybliżyć. Poza tym sięgam po miejsca, które mają dodatkowy sens, wymiar symboliczny. Miejsca znaczą w wielu wymiarach: jako osobiste wspomnienie, jako część historii. Ja chyba najbardziej ze wszystkich miejsc na świecie rozumiem Białystok i Podlasie, i dlatego mi się to łatwo pisze, z przyjemnością.

Co do poszukiwań odnośnie prawdziwości informacji o tych miejscach czy zdarzeniach, znacznie więcej pracy miałem przy okazji pisania pierwszej części. W przypadku drugiej było łatwiej, bo opisywałem czasy, kiedy sam miałem wystarczająco dużo lat, żeby zapamiętać te miejsca i te realia.

Wspomniałeś o ciepłych uczuciach, jakie masz dla Białegostoku, ale na szczęście go nie idealizujesz. Piszesz m.in. o wielokulturowości, ale nie tylko tej folderowej, także tej rodzącej konflikty...

Sztuka w ogóle jest po to, żeby opowiadać o rzeczach trudnych. Wszelka sztuka lukrowana jest po prostu fałszywa.

Obie części *Piwonii* napisałeś językiem, który w jednym z wywiadów nazwałeś „mową lokalną”, ale tak naprawdę jest to język stworzony przez Ciebie, choć zawiera wyrazy czy zwroty z gwary podlaskiej.

Rzeczywiście. Nie ma czegoś takiego jak ogólna gwara podlaska, ponieważ różne części naszego regionu mówią innymi gwarami. Stworzyłem mowę wła-

sną, wymyśloną dla potrzeb literatury, ale jest to mowa kojarząca się z Podlasiem, ze wschodniością.

A nie kusilo Cię, żeby sięgnąć po tę mowę w formie, w jakiej naprawdę występuje?

Nie. To byłoby niemożliwe, bardzo dziwaczne. Nie wiem, z którego miejsca miałbym bardziej czerpać – z Hajnówki czy z Bielska Podlaskiego? To musiało być nowe, oryginalne i w pewien sposób zaskakujące, i mam nadzieję, że takie jest.

Ale chciałem jeszcze wspomnieć o związkach mowy z rzeczywistością. To, jak toczy się nasz dialog wewnętrzny, w jakim języku, pokazuje, jak postrzegamy świat. Mój dziadek pochodził z Hajnówki i był unitą, nie mówił językiem literackim polskim, ale mówił jakimś rodzajem mowy zrozumiałej dla mojej mamy. To był język, o którym się mówi „tutejszy”. Z kolei moja mama, która otrzymała wykształcenie uniwersyteckie w Wilnie i kiedy pojawiłem się na świecie, mówiła doskonałą polszczyznę, jednocześnie rozumiała te mowy „tutejsze”. Myślę, że znała nawet jakieś piosenki, ale nigdy się z tym nie ujawniła. Miałem poczucie, iż uważała, że jej literacki język polski jest lepszym językiem.

Nie tylko Twoja mama tak myślała. To dotyczyło pewnego pokolenia. Sama pamiętam rozmowy na ten temat sprzed jakichś dziesięciu lat – wciąż panowało przekonanie, że lokalna gwara, tzw. „język prosty”, to coś gorszego, czego należało się wstydić. Posługiwało się nim w domach, ale nie było to coś do pokazywania na zewnątrz. Od paru lat obserwuję, że to się zmienia...

Tak, to się na szczęście zmienia, ponieważ młodzi ludzie inaczej do

tego podchodzą. Myślę, że ta gorszość związana była nie tylko z mową, ale też z wiejskim pochodzeniem, być może ze stygmatyzowaniem przez „polską” stronę „ruskości” czy prawosławia. Ten problem był i doskonale to pamiętam, to się czuło na podwórzu, wśród kolegów, to była „inność”, ale nikt jej nie rozważał. Tak było.

Piszesz o rzeczach trudnych, ważnych, wstydlivych, ale piszesz tak, że nie sposób się nie uśmiechnąć. Zastanawiałam się, czy ten humor nie jest taką Twoją metodą na to, żebyśmy my – czytelnicy – łatwiej sobie poradzili z rzeczami, które nas w jakiś sposób uwierają.

Cieszę się, że tak mówisz, bo książka powinna wciągać i być zachłannie czytana jak *Przygody dobrego wojaka Szwejka*, a zarazem być jak filmy Woody’ego Allena, gdzie mądrościowe spostrzeżenia są wrzucone w codzienność. Humor pomaga się zdystansować, przyciąga i przybliża sprawy bez konieczności stania „na baczność” wobec wielkich tragedii czy nieszczęść.

KRZYSZTOF GEDROYĆ (1953–2020) – poeta, prozaik, autor tomów poezji: *Kim* (2000), *Drabina, szpaki, dachy i kominy* (2001), *Bierzałowce* (2019) oraz prozy: *Listy z dolnego miasta* (2003), *Przygody K* (2007), *Opowieści dla zziębniętej duszy* (2010), *Piwonia, niemowa, głosy* (2012), *Piwonia odrodzona* (2018). Nominowany do nagrody im. J. Bierezina (1996), laureat Nagrody im. K. Iłłakowiczówny za najlepszy debiut poetycki w 2000 r. oraz Nagrody Literackiej im. Wiesława Kazaneckiego – w 2003 r. za *Listy z dolnego miasta* i w 2012 r. za powieść *Piwonia, niemowa, głosy*. Książka *Przygody K* była w 2007 r. prezentowana w odcinkach na antenie Polskiego Radia Białystok.

Justyna Sawczuk

o Krzysztofie Gedroyciu:

Jego odejście było zaskoczeniem. Nikt się nie spodziewał... Nie wiem, czego pozostawił po sobie więcej w moim życiu – życzliwych rad, serdecznego uśmiechu, słów wsparcia, gdy rzeczywistość wydawała się nie do zniesienia?

Poznaliśmy się w 2013 roku. Był bohaterem pierwszego odcinka „Strefy książki”, programu poświęconego literaturze regionalnej, który miałam okazję prowadzić na antenie TVP3 Białystok. Rozmawialiśmy o jego powieści *Piwonia, niemowa, głosy*. Na pamiątkę tego spotkania, na działce moich rodziców pojawił się krzak piwonii o imieniu Krzyś.

Zawsze, gdy mieliśmy okazję się spotkać, a częściej rozmawiać przez telefon, biła od niego życzliwość. Taka normalna, ludzka...

Czekam wiosny i lata. Bardziej niż kiedykolwiek, czekam aż pojawi się Krzyś. Nie mogę uwierzyć, że tak po prostu znowu zakwitnie...

Małgorzata Dobkowska

o Krzysztofie Gedroyciu:

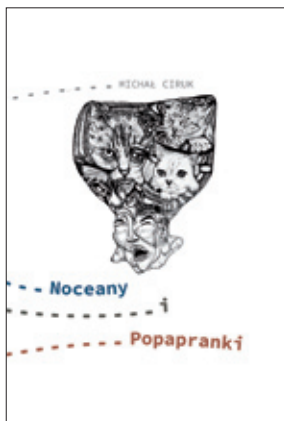
Z Krzysztofem Gedroyciem widywaliśmy się czasem na różnych imprezach kulturalnych, literackich. Natknął się na mój drugi tomik, który mu się spodobał i napisał fajną recenzję. Sam z siebie, nie prosiłam o to. Dzisiaj trudno spotkać podobne bezinteresowne, życzliwe zachowanie. Później recenzja trafiła do Wiesława Szymbalskiego, została opublikowana. Krzysztof napisał też kilka słów, zdań do chyba najbardziej „osobistego”, ważnego, trudnego dla mnie tomiku *Przełęcz*. Zrobił to chętnie.

Bardzo cieszyłam się z Jego sukcesów, z *Piwonii*. Myślałam, że pokonał ciężką chorobę, że jest dobrze, że nastal już lepszy czas... Co mi napisał wiosną tego roku? „Idą nowe czasy? (...) Czas poetów, wizjonerów”. I życzył: „Spokoju. Dystansu. Jakbyśmy już umarli i przejście mieli za sobą”.

Rozmowa jest zapisem fragmentu spotkania autorskiego, zarejestrowanego 27.03.2019 r. w Książnicy Podlaskiej im. Łukasza Górnickiego w Białymstoku.

Ewa Szarkowska

Trochę rapu, trochę Nikifora



Michał Ciruk
Noceany i Popapranki
 Książnica Podlaska
 im. Łukasza Górnickiego
 w Białymstoku
 Białystok 2020

Recenzję tego tomiku wypadłoby zacząć od jakiejś mocnej nawijki, pokazać dobry flow, a najlepiej zagadać jak mistrz freestyle'u. Bo oto znany białostocki raper, Michał Ciruk, wydał właśnie – pod egidą Książnicy Podlaskiej – swój pierwszy tomik wierszy. Jako że nie tylko raperzy czytają wiersze, poprzestać jednak trzeba na dyskursie umiarkowanie muzycznym i może nieco zbyt poprawnym.

Każdy, kto słuchał jego piosenek, wie, że Cira posiada niezwykle słuch językowy i wyjątkową wrażliwość, co

w komplecie daje dobrą, niepowtarzalną jakość. Można więc się spodziewać, że podobne cechy znajdziemy również w jego utworach poetyckich. I rzeczywiście, nie brakuje tu oryginalnych zwrotów językowych, zonglerki słowami, jak też dużej dawki liryzmu i wnikliwych obserwacji świata. Dodatkowo, wszystko to okraszone autorskimi grafikami, bo jak się okazuje, Ciruk to artysta wszechstronny.

Jak na debiut literacki przystało, tomik cechuje duża różnorodność form, tematów i ciężaru gatunkowego (co –

zdaje się – w autorskim zamyśle miał sugerować sam tytuł). Czytelnik otrzymuje zbiór kilkudziesięciu utworów, które ukazują autora z różnych perspektyw i pod różnym kątem, niczym fasetowane szkielko. Są utwory osobiste, gdzie głos i emocje podmiotu lirycznego można utożsamiać z poetą. Dotyczą one bliskich osób, wydarzeń z przeszłości („Jak miałem 5 lat / dali mi zanurzyć paluszek w kieliszku / gorzkie”), ale też są zapisem poszukiwań tożsamości, sensu życia, ustalonych wartości:

*Przepraszam
 że piję czarną wodę
 i gryzę słońce
 drwię z życia jak z ochłapu
 bo szukam krzty ciepła
 zapominam o pamięci
 bo wrzeszczy we mnie goły dzieciak
 nagi malec wyśmiany przez życie
 (...)
 Przepraszam – jestem tylko
 obrazkiem Nikifora
 krzykiem za pół darmo
 i naiwnym końcem
 (Przepraszam)*

Pojawiają się w debiutanckim tomiku także wiersze (właściwie wierszyki) lingwistyczne, zorientowane na warstwę językową: wylizanki, fraszki, czasem czysto techniczne łamańce językowe,

bardziej przypominające wprawki jakiegoś pomyslowego kalamburzysty niż utwory poetyckie *sensu stricto*:

*Klnę lęk nim kłękę.
Żakiety Żanety z przeżartej żorżety.
Krnąbrny bernardyn brnął
w grdykę sarny.
Złowieszcza włoszczyzna zwłaszcza
szczaw, przyznam.
(Łamacze językowe)*

Jednak niezbitcie dowodzą one, że Ciruk potrafi bawić się słowami, zonglować ich brzmieniem i sensem. Czy pomaga mu w tym słuch muzyczny, a zwłaszcza „rapowe” podejście do tekstu, czy na odwrót, zamiłowanie do językowych łamańców znajduje najlepsze ujęcie w takim gatunku muzycznym, jak rap – to już pytanie do samego artysty.

Widać, że takie zabawy słowem sprawiają autorowi frajdę i są źródłem nieustannej inspiracji. Dowodem na to może być sam tytuł zbioru: *Noceany i Popapranki*. Bardzo pojemny, ironiczno-liryczny, z lekka przekorny. Akcentujący to wszystko, co interesuje poetę: przesuwanie znaczeń, tworzenie neo-

logizmów, badanie granic elastyczności języka. Pojawia się też ukłon w stronę mistrza mowy polskiej, profesora Jana Miodka, któremu autor dedykuje dwie fraszki i który, jak się wydaje, patronuje jego językowym poszukiwaniom.

Najlepszy efekt poeta osiąga w tych utworach (lub pojedynczych wersach), gdzie nieprzezroczyść warstwy językowej staje się nośnikiem dodatkowego sensu lub wzmacnia ogólną wymowę. Tak, jak to się dzieje na przykład w wierszu *Frenia*:

*Schizofrenia to ucieczka
do małego miasteczka
z bladą klaczą i starym cyrkiem.
Mleczny domek bezpiecznego
odklejenia
zachęca do wejścia
przez dziurkę od klucza.
Puk puk.
Któż zacz?
Blada klacz.

Wejź klaczy
niech cię świat zobaczy

i oto i świat.*

Powyższy utwór należy do grupy najdojrzałych tekstów w tomiku. Stanowią one kolejny podzbiór całości, choć trzeba je wyłuskiwać samodzielnie, gdyż nie są ułożone według jakiegoś klucza. Są to utwory, w których treść i forma przylegają do siebie na tyle ściśle, że stanowią spójną całość i trudno byłoby wyobrazić je sobie napisane inaczej. Wyrosłe z jakiejś pojedynczej obserwacji, rozwijają temat w sobie tylko właściwej stylistyce, czy będzie to naśladowanie gwary białostockiej (wiersz *Smutne dziady*), piosenka grabarza (*Wieczny grabarz*) czy niby dziecięca zgadywanica (jak w wierszu cytowanym powyżej).

Debiutancki tomik Michała Ciruka, mimo że miejscami nierówny, balansujący między amatorskimi ćwiczeniami lingwisty a poruszającymi opisami samotności czy choroby psychicznej, pokazuje zakres możliwości literackich autora, ale też pewne niezdecydowanie, którą z tych ścieżek podążać. I chociaż Ciruk zastrzeżę w jednym z wierszy: „(...) jestem tylko obrazkiem Nikiфора”, dając sobie prawo do pewnej niedoskonałości i naturalności, kibicujemy autorowi w dokonaniu słusznego wyboru.



EWA SZARKOWSKA

– polonistka, bibliotekarka, Podlasianka. Od kilkunastu lat pracownik Książnicy Podlaskiej im. Łukasza Górnickiego w

Białymstoku. Zainteresowania: literatura, kultura regionalna, ornitologia, język francuski.

fot. Bogumiła Maleszewska-Oksztol

Dorota Sokołowska

Kim jesteśmy w czasach zarazy?



Krystyna Konecka
Kruczość. Sonetti a corona
 Polski Fundusz Wydawniczy
 w Kanadzie
 Toronto 2020

Ta książka zaczęła się od spotkania. Choć nie, ona pewnie, jak wszystko w naszym kruchym czasie, zaczęła się od lęku. A może z tęsknoty? Albo podróży pociągiem, kiedy to spotkali się ze sobą twórcy tomiku, on – skoncentrowany na fotografii, ona – na słowach? Przypadek to, czy wszystko było zapisane w gwiazdach?

Jedno jest pewne, Krystyna Konecka „zaczepiła” słowami niepewny czas, wplotła je w zarażone wirusem istnienie wszystkich ludzi na ziemi. Jak zawsze w formie sonetu, ale tym razem nadając mu wymowny i wieloznaczny symbol, w podtytule tomiku *Kruczość* – dodając „Sonetti a corona”, na znak panowania Covid-19 nad nami, ale z zaznaczeniem, że jest coś ważniejszego, co panuje nad *corona*, czyli słowo?

Powstało piętnaście utworów, w których ostatni wers jednego wiersza jest początkiem kolejnego. Każdy opatrzony jest

czarno-białą, nastrojową fotografią natury, i tylko w takim znaczeniu trzeba ten tomik czytać i kontemplować. Wiersze powstawały w zgodzie z fotografiami. Najpierw Krzysztof Korotkich, profesor z Uniwersytetu w Białymstoku, literaturoznawca, wielki miłośnik i znawca poezji przysyłał fotografie, a zdjęcia uruchamiały wyobraźnię poetką Krystyny Koneckiej.

Ważne jest, żeby pamiętać kontekst. Wiosna 2020 to czas zamknięcia, odizolowania, nawet do lasu nie mogliśmy chodzić na spacer. Tylko dom, cały świat zaszył się w czterech ścianach, ale natura miała za nic, że siedzimy zrozpaczeni pytaniem bez odpowiedzi – co dalej? Wyobrażam sobie poetkę w oknie swego domu, patrzącą na niedostępny świat rozwijającego się co roku życia. Pamiętam tamten lęk i pustkę świata, poczucie, że ziemia skurczyła się i sparciała, wyrwała do góry nogami nasze marzenia, plany podróży, utarte koleiny, po których pędziliśmy co dnia. W tej pustce każdy z nas szukał czegoś stałego: Krzysztof Korotkich ładu w zdjęciach zrobionych wcześniej w najmilszym z kawałków świata, czyli Suwalszczyźnie, a Krystyna Konecka sensu w szlachetnym zestawianiu słów. Ja szukałam pocieszenia w sztuce, która trwa mimo wszystko, zawsze.

„*KRUCHOŚĆ* jest piękną książką. Jak aksamit. Tę książkę prowadzi harmonia.

Zadaniem czytelnika jest rozpoznanie akordów. Trzeba usłyszeć piękno dźwięków.

Słowa i architektoniczne piękno sonetu trzeba wydobyć spośród tajemnicy *kruczości* tego, co w fotografiach ma kontury a jest szare. Trzeba przyjąć perfekcję obrazu za mgłą i dramatyczną samotność poetki. Wtedy wszystko będzie na swoim miejscu. To jest *cantata sonetti a corona* – wzruszające delikatnością i smakiem artystycznym połączenie obrazu, muzyki słowa i ich sensu” – napisał krytyk literacki Jerzy Binkowski. I rzeczywiście, czarno-białe fotografie oraz rytm i sens opowieści o świecie w formie sonetu stają się tu jednością, wzajemną inspiracją. Rzadko wcześniej czytałam książki, w których dokładnie tyle

samo czasu poświęcałam lekturze metafor, co przyglądaniu się fotografii. Skupienie nad oboma elementami daje poczucie harmonii, pozwalając dostrzec ład i sens łamiącego się świata.

V

Ktoś przyjazny śle zdjęcie, bym podziwiać mogła świat natury. Odległy od nas zatrzaśniętych w klaustrofobicznych klatkach. W blokowiskach pięter gdzie każdy śni oddzielnie. Jak samotny obłok. Nie chcę wierzyć, że woda i pełnia księżyca, i ten kadr z podtopioną chybotliwą kładką, i ten z bezkresnym niebem to kwestia przypadku. Leśny dukt... Na zmurszałym pniu drżąca kapliczka... Zjawia się myśl. Niepewna jak szept fal u brzegu. Stanie się metaforą? Czy będzie mi sprzyjać? Nikt nie wie (to Owidiusz) co wiersz w sobie kryje. Dlatego każdy szuka w nim czegoś innego. Może słowem osłonię przed mgłą i chaosem nad jeziorem poezję zachodu. Tymczasem.¹

To ta niesamowita estetyka pozwala patrzeć na książkę jak na jednorodne dzieło sztuki, w którym fotografia niesie wiatr, a słowo zamyka czas. Poetce i fotografowi udało się zapanować nad chaosem niepewności, jaka nadeszła. Lubię wracać do tych wierszy, bo jednocześnie sonety zanurzają się w historii wcześniejszych światowych zaraz, kiedy to Krystyna Konecka przywołuje śmiertcionosne wirusy, ani słowem nie nazywając koronawirusowego szaleństwa AD 2020. Ale nie tylko: choć to nie jest reporterski zapis tego co się dzieje, sporo tu analogii do faktów, które nami wstrząsały.

*Nie wiem, czy pożar w sercu? Czy to słońce zgasło?
(...)*

*Czy z dzieciństwa znów na mnie galopują konie
z płonącej stajni?!... Może znów zwierzęta krzyczą
w australijskim ogniu? Czy kiedyś rozliczą
podpalaczy, przez których raj biebrzański płonie?²*

Przyjaciel poetki Wiesław Solecki napisał w liście do Krystyny Koneckiej: „I sonet, i spokojna fraza wiersza, i czystość językowa. Kto dziś tak pisze? Poeci koncentrują się na języku, na jego kreacyjnej samowystarczalności i nieskończonych kombinacjach słownych znaków. U Ciebie język odzwierciedla rzeczywistość, która prowadzi do głębokich refleksji egzystencjalnych.

(...) Zachwyca mnie *Sonet XII Gra ostatni pianista...*

Puste perony, wyobraź sobie Lennona, wonderful world Armstronga i chłopak dezynfekujący klawiaturę. Zatrzymaliśmy się przed murem. (...) Zawarłaś w tym sonecie wszystko, co dla mnie stanowi esencję prawdziwej poezji. Wzbudziłaś mnóstwo myśli i zakręciłaś je w mojej głowie.

Nie wiem, jak Cię nazwać. Świecisz jasno w gwiazdozbiore Plejad”.

Przejrzysta toń sonetu. Rozświetlające mrok światło fotografii. Przesłanie – oto pierwsza, odpowiedź na pytanie, kim jesteśmy w czasach zarazy. Do smakowania w stanach głębokiego niepokoju, zamiast tabletki. Polecam.

¹ K. Konecka, *Kruchość. Sonetti a corona*, Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie, Toronto 2020, s. 16.

² Tamże, s.20.



DOROTA SOKOŁOWSKA

– dziennikarka i prezenterka Polskiego Radia Białystok, wydawca magazynu kulturalnego „Podróże po kulturze”, autorka programów promujących czytelnictwo, recenzentka teatralna i autorka audycji

dokumentalnych i reportaży. Autorka książek: *Dźwiękoczulość* (2015), *Bóg jest portem* (2016), *Sekrety Łomży i Ostrołęki* (wspólnie z Grzegorzem Maculewiczem) (2018).

foto. Bogumiła Maleszewska-Oksztol

Artur Jan Szczęsny

Pan ś nie jest okrutny. Jest niezawodny



Teresa Radziewicz

ś

Książnica Podlaska

im. Łukasza Górnickiego

w Białymstoku

Białystok 2020

Żyjemy tu i teraz.

W czymś uczestniczymy, coś obserwujemy, coś mijamy. Powiązani jesteśmy z naszą codziennością niezliczoną ilością kapilar spostrzeżeń, refleksji czy wręcz fizjologicznych relacji. Ale nasze teraz, takie człowiecze szczęście, to także historia dalsza i bliższa – nieuchronne, obserwowane przez nas przemijanie. Czasami odgrzebujemy pokłady własnych wspomnień, czasem pomaga stara fotografia na której widzimy „świat / otwarty na nowe, wciąż jasny i bogaty, choć w sepiach / i szarościach” (teraz). Kuszący jak trwająca rzeczywistość i jak wyobraźnia.

Czterdzieści jeden wierszy Teresy Radziewicz o panu ś, to wciągający przewodnik po zakolach życia i wzruszeniach. Pan ś nie jest wspomniany bezpośrednio w każdym z tych wierszy, jednak zawsze nam towarzyszy. Czy ktoś odczyta go jako świat, świt, światło czy świadomość, nie popełni wielkiego błędu – bywa wszystkim i niczym. Jest w cieniu pod jabłonią i wszędzie tam, gdzie musi pełnić swą powinność. Ocieramy się o niego każdego dnia – on otrze się o nas tylko raz. A panem ś jest tylko w naszym języku.

Autorka jak zwykle pisze prostym pięknem. Można zachwycić się szcze-

gólem frazy, lubo też pięknym obrazem. Na przykład wiersz *ten bezwład* to w zasadzie tylko opis śmierci dzięcioła zacytowany z cudzej opowieści. Mamy tu więc siedzenie w kuchni z herbatą i ptaka przelatującego nad śliwą – sie-lanka. I nagle „szaroczerwony pocisk” uderza wprost w szybę. Trzeba wybiec w „wietrzną wiosnę” i dostrzec umiarnie. I refleksja: później „bezwład przypominał małą strzałę / chwilę po tym, gdy dosięgła celu” (*ten bezwład*). Pan ś jednak i tu był, choć ominięty spojrzeniem. W naszym dzieciństwie często po-przestaje na małym, bo dzieci nie wiedzą jeszcze, „że wszystko płynie i nie wchodzi się / dwa razy do tej samej wody” (*wypominki*). Lecz potem jest i sięganie po większe – odchodzą ci, których znamy, czasami bardzo bliscy. O odejściu innych dowiadujemy się z drugiej ręki. Ale każde z tych odejść jest jak wyrwany płat ze skóry naszej istoty. A jednak buduje nas – dojrzewamy, dorastamy. Każdego dnia trochę inaczej skonstruowani. A pan ś, który „zna wszystkie języki świata”, jest zawsze obok – wreszcie przestajemy go dostrzegać, jako osuwamy. W chwilach szczęścia wręcz odważamy się „liczyć, że pan ś / długo i łaskawie, nie zechce nas zauważać” (*rytuał*). Tacy jesteśmy! Na szczęście.

No i musiało do tego dojść. Poetka w pewnym momencie uczłowiecza pana ś.

Daje mu myśli i cienie uczuć. On „lubi pa-
trzeć na śpiące kobiety, / wtedy zastana-
wia się nad chwilą ostatnią” (*pan ś przy-
gląda się kobietom*). Chce go zapytać, co
robi w Wigilię... Chce wręcz „prześledzić
statystyki, sprawdzić czy liczba zgonów
/ w wigilię jest porównywalna z liczbą
ostatnich godzin / w dni powszednie?”
(*wigilie*). Dopuszcza nawet nadzieję, że
w Wigilię pan ś odpoczywa...

Mocnym akcentem tomiku jest
wiersz *skarpety*, dla mnie jeden z najbar-
dziej poruszających. Bo choć są w tym
zbiorze wspaniałe miniaturki o odcho-
dzeniu najbliższych, z ładnie wyekspo-
nowanymi haczykami, na których może
zawisnąć trauma... Atoli ten wiersz prze-
mawia całością narracji według planu:
skrót życia bohatera, kurczący się stan

aktualny, oczywiście podane z dużą dys-
cypliną artystyczną, i końcowy obraz.
Puenta to „dwie czarne skarpetki / od
dwóch tygodni odpierające ataki burz,
deszczu / i wiatru, mocno przypięte do
suszarki na balkonie” (*skarpety*). Ale
też *pan ś przygląda się matkom* oraz *pan
ś znów przygląda się kobietom* to wier-
sze o dużym ładunku piękna i emocji,
np. „ciało miga w rozjaśnieniach, / ginie
w ciemnościach – czyste piękno, pana
ś / aż boli serce, czy ja mam serce? –
myśli pan ś” (*pan ś znów przygląda się
kobietom*). Oczywiście to nie wszystko,
bo jest jeszcze piękny wiersz *gdyby tak*,
gdzie mamy świat bardziej zmysłowy i
jasny, choć codzienny i rutynowy – ale
to przecież nasze życie, zawsze w jakimś
kole choćby częściowo zapętlone. Jest

też *nie utrzymam się brzegu* – wiersz z
początku wspomnieniowy, choć podkre-
ślone jest, że to obce wspomnienia. Lecz
czas przyspiesza i widzimy starość, a po-
tem? Zielone pędy, powódź, ruch mate-
rii ku morzu... Pan ś coś kończy, ale coś
niewątpliwie pozostaje. I trwa. Bo pan
ś nie zmienia pór roku, nie powoduje
rozkwitu i więdnienia i nie bawi się rze-
czywistością. Jaka jest więc jego rola? On
woła: „nie ja! ja tylko nie daję / żyć” (*pan
ś nie daje mi żyć*).

Nie jest pan ś okrutny, jest jedynie
niezawodny. Mało kto chce doświadczyć
spotkania z nim, bo nie wiemy co dalej.
Lecz kiedyś każdy z nas go spotka swia-
domie i popłyniemy „tą rzeką, światem,
światłem, ramię w ramię, / gdzie świt
i gdzie świętowanie” (*gdzie ś*).

ARTUR JAN SZCZĘSNY



– urodzony w 1964 roku w Krakowie, od
1979 roku mieszka w Białymstoku. Pra-
cował jako dziennikarz, reporter, redaktor
i grafik komputerowy. Współpracował
m.in. z „Tygodnikiem Białostockim”,
miesięcznikiem „Plus”, „Gazetą Współ-
czesną”, „Kurierem Porannym”, miesięcz-
nikiem literackim „Bez nazwy” i pismem
literacko-artystycznym „Kartki”. Od 2017
roku pracuje w Filii nr 9 Książnicy Podla-
skiej im. Łukasza Górnickiego w Białym-
stoku. Autor siedmiu tomików poetyckich

oraz współautor antologii wierszy poetów
z Białostoczczyzny. Uczestnik i laureat kon-
kursów literackich (m.in. Konkurs Poetyc-
ki im. Jana Kulki, Ogólnopolski Konkurs
Poetycki „O Buławę Hetmańską”, Ogól-
nopolski Konkurs Poetycki im. Jana Śpie-
waka i Anny Kamińskiej w Świdwinie).
Nagrodzony odznaką Zasłużony Działacz
Kultury za działalność na rzecz wolnego
słowa w ciężkich latach stanu wojennego
oraz Krzyżem Wolności i Solidarności.

fol. Justyna Sawczuk

„Głos Czytelników” to wyjątkowe miejsce na lamach czasopisma literackiego „Epea”. To przestrzeń stworzona z myślą o Was – naszych Czytelnikach, gdzie będziecie mogli Państwo dzielić się swoimi przemyśleniami dotyczącymi literatury i twórczością – tekstami pisanymi z potrzeby serca, a często ukrywanymi przed światem w przepastnych szufladach biurka lub kartonowych pudłach.

Dzisiaj przedstawiamy recenzję tomiku poetyckiego *Jaśnienia* Janiny Osewskiej, autorstwa jednego z naszych stałych Czytelników, a tych którzy chcą zaprezentować swoje utwory zapraszamy do kontaktu. Wystarczy wysłać propozycję tekstu w wersji elektronicznej na adres e-mail: epea@ksiaznicapodlaska.pl, w temacie wiadomości wpisując GŁOS CZYTELNIKÓW. Najlepsze z przesłanych prac zostaną opublikowane w kolejnym numerze pisma literackiego „Epea”.

Erazm Stefanowski

Jaśniejące strofy

Rezolutny wielbiciel twórczości Janiny Osewskiej, po przeczytaniu pierwszego utworu z jej najnowszej, autobiograficznej książki, powinien jak najszybciej ją zamknąć. Początków życia *Jaśnień* należy bowiem szukać w końcowych strofach tomu *Niebieska chwila* z 2017 roku. To właśnie tam jeden z wierszy podmiot liryczny

puentuje pytaniem o tożsamość: „Kim byłabym urodzona cztery lata wcześniej? Kto i jaki / wiersz o ojcu wywołałby ze mnie i z dodanego mi czasu?”. Odpowiedź jest dla Osewskiej ważna, ponieważ to ojciec nadaje dziecku tożsamość. Z utworu dowiadujemy się, że był on zesłany jako więzień polityczny do kopalni węgla w Chorzowie, „Tuż po ślubie i trwającym trzy dni weselisku”¹. A przecież już wcześniej, w lipcu 1945 roku, został aresztowany przez Sowieków podczas oblawy augustowskiej. Śmierci uniknął dzięki matce, która

wykupiła go z niewoli za samogon i słoninę². Dużą wagę do samoświadomości Janina Osewska przywiązuje również w *Jaśnieniach*. Tu jej wyrazicielką jest babcia Stefania, która

(...) *wszystko nazywała po imieniu
nawet lalkę z chlebowego ciasta –
upiekłam ci Teklę – mówiła
tutaj każde stworzenie i rzecz
mają niepowtarzalną tożsamość*

Czytelnik nie może więc się dziwić, że w liceum podmiot liryczny imieniem Nina doznał nagłej bezradności, „gdy dyrektor pomylił dziewczęta / o tym samym nazwisku i zapisał ją / do żeńskiej klasy z językiem niemieckim”, albo gdy w dowodzie osobistym Niny, zapisując

¹ J. Osewska, *Niebieska chwila*, Fundacja Sąsiedzi, Białystok 2017, s. 45.

² J. Osewska, *Opowieści wybrane*, „Epea” 2019, nr 1, s. 28.

imię i nazwisko syna, w rubryce plec wskazano: „dziewczynka”.

Literacką tożsamość Niny poetka z Augustowa wkomponowuje w oryginalny styl literacki. *Jaśnienia* nie są bowiem książką stricte poetycką, choć „Spis wierszy” wskazuje, że zawartość lektury stanowi poezja. Brak tu jednakże typowych tytułów, których rolę pełnią pogrubione pierwsze linijki utworów. Z drugiej strony nie jest to standardowa proza, mimo że bez trudu można odnaleźć w tomie długą frazę. Czy zawartość *Jaśnień* można w takim razie uznać za prozę poetycką? Do szukania odpowiedzi Janina Osewska zaprasza każdego czytelnika z osobna. Johann Wolfgang von Goethe, który powiedział, że kto chce poetę zrozumieć, musi udać się do jego kraju, miał ledwie trochę racji. Zapomniał bowiem o kobiecie, którą zrozumieć potrafi tylko Bóg. Zwłaszcza, gdy jest ona obieżyświatem. Aby zrozumieć tom *Jaśnienia*, nie wystarczy przeczytać wcześniejszych książek Janiny Osewskiej. Trzeba zapatrzeć się w jej fotografie, które, jak pisze Radosław Krupiński, „choć wyraziste i konkretne, to jednocześnie o zróżnicowanym światłocieniu – raz miękkim, innym razem kontrastowym – przez co potrafią uzyskiwać różnorodne znaczenia”³.

Choć curriculum vitae Osewskiej pojawia się czterysta lat po pierwszej kobiecej autobiografii w dziejach literatury polskiej, czyli pismach Mariany Marchockiej, warto było uzbroić się w cierpliwość. Choćby dlatego, by przekonać się, czy kobieta, która długo milczy, może mieć pewność, że ostatnie słowo będzie należeć do niej.

Tom *Jaśnienia* zawiera wiele przenikających się motywów, z których najważniejsze to podróż, tolerancja, światło i woda. A istnieje tu jeszcze miłość, eku-

Jaśnienia,
choć są
w dużej mierze
książką autobiograficzną,
ukazują wartości
uniwersalne
i ponadczasowe,
bliskie człowiekowi
każdej epoki.

menizm, zapach, rodzina czy literatura. Zupełnie tak, jakby po raz kolejny w historii świata spełniało się powiedzenie Honore de Balzaca, że „wszystko, cokolwiek się powie o kobiecie, jest prawdą”. Słowa te brzmią jeszcze bardziej intrygująco, gdy to plec piękna opowiada o sobie.

Jaśnienia, choć są w dużej mierze książką autobiograficzną, ukazują wartości uniwersalne i ponadczasowe, bliskie człowiekowi każdej epoki. Tytuł tomu mógłby przecież brzmieć: *Ja, Nina* i nawiązywałby wprost do imienia podmiotu lirycznego i pośrednio do imienia autorki. Nawet „Spis wierszy” zaczyna się i kończy słowem „Nina”. Osewska, rezygnując z wymienionego wyżej zapisu tytułu, przenosi jednak akcent z osobistego, indywidualnego „Ja/ja” na

wieloznaczne *Jaśnienia*. Dzięki temu nie straszy tu ani duch feminizmu, ani nie przebija egoizm. Tytuł tomu doskonale komponuje się z przeżyciami głównej bohaterki, które śledzimy od chwili narodzin. Jej życie ma wiele barw i odcieni. Są nimi radość i łzy, dzieciństwo i wiek dojrzały, nauka i praca, narodziny dzieci i odejście ukochanych osób, okres komunizmu, gdy „na ulicach szarego miasteczka / Nina była kolorowym ptakiem / w tych strojach z Rotterdamu”, i czas po jego upadku. *Jaśnieniem* jest wydawanie silnego blasku, wzmożone odbijanie światła, bycie widocznym. Z drugiej strony jaśnieć oznacza blednąć, tracić intensywność barwy. Metafora życia ujęta w jednym wyrazie świadczy o doskonałym wyczuciu poetyckim Janiny Osewskiej i wytrawnej wiwisekcji.

Podmiot liryczny już w premierowym utworze zabiera czytelnika w podróż życia. Nowonarodzona Nina wypada z rąk położnej podczas pierwszego obmywania ciała, a tajemnicze zgrubienie pod piersią dziewczynki wyjaśnia dopiero opis zdjęcia rentgenowskiego po dwudziestu latach i opowieść mamy, która wyznaje: „od pierwszego dnia / wymykałaś się z rąk / nie dawałaś się sformatować”. Małe serce głównej bohaterki *Jaśnień* wrywało się z piersi, pragnąc odkrywać to, co ofiarowuje jej świat: „kurnik chlew stodoła świrowek sklep / i kierat w centrum okręgu”. Mając pięć lat dziewczynka wyjechała z mamą do Warszawy „na ruchome schody przy Trasie W-Z / i na bazar Różyckiego / (...) po rytm i zapach nowych miejsc”. Mama Niny – Terenia, zawsze mówiła córce: „Jedź w świat,

³ R. Krupiński, *Uwiecznić ciszę*, „Fraza” 2018, nr 2, s. 17.

dokąd tylko możesz. Nie zastanawiaj się nad pieniędzmi. Znajdą się kiedy będzie trzeba. Tylko chciej⁴. Być może to właśnie podczas jazdy warszawskimi ruchomymi schodami narodziło się dziewczęce pragnienie zwiedzania? A może to zachęta matki sprawiła, że w sercu bohaterki zaczął wzmagać się duch „Jasi Wędrowniczki”, który wiele lat później odcisnie swój ślad na szlakach Szkolnego Klubu Turystycznego „Włóczykij”, działającego w augustowskiej „Szkoła na polance”?⁵ Może to właśnie wtedy budził się do życia „świat pod stopą”, opisany przez Osewską w pięknym egzystencjalnym liryku o tym samym tytule w tomie *Do czasu przyszłego*?⁶ Odpowiedzi na powyższe pytania szukać należałoby również na kolanach dziadka Jana, na które wspinała się Nina, „gdy zmierzch obrastał ziarno dnia”. Dziadek był dla niej złotoustym autorytetem,

*który po odbyciu służby w wojsku
carskim
z falą wielkiej emigracji osiadł
w Ameryce
i wrócił by w ciepłe jego słów
wykluwała się i rosła
wędrowną duszą wnuczki*

Jego opowieści o tym, co widział za wielką wodą, były jak „ziarna gorczycy rzucane na podatną glebę”⁷. Pęcznia-

ły pytaniami, a jednocześnie stanowiły rytuał, zasysający w inny wymiar czasu. Czasu minionego i przyszłego⁸. Ciekawość świata powodowała, że Nina lubiła marzyć, dotykać, smakować to, co tajemnicze. Dziecięca wyobraźnia nie znała granic. Czasem przecież „wystarczyło minąć betonowe wychodki / rozpedzić się przeskoczyć rów i wylądować / gdzieś w jakiejś postaci w innym czasie”. Kolejną osobą, która miała wpływ na pragnienie podróżowania przez Ninę i poznawania innych kultur, była Radka, „Bułgarka która została żoną Janka / i na oczach Niny umierała z tęsknoty / za krajem rodziną i ostrą papryką”.

Janina Osewska w motyw podróży subtelnie wplata wątek ekumenizmu i tolerancji. Obecność wokół dziewczynki osób o różnej narodowości, kulturze i religii wpłynęła na to, że Nina od dzieciństwa stawała się naturalną wyrazicielką wspomnianych wartości. Już w wieku sześciu lat bawiła się z kolegą Stasiem w dom pod stołem pośrodku salonu, i zjadła z nim „chleb z musztardą / lub ze śmietaną posypaną cukrem / byli równi: on Żyd i ona Polka”. Szacunek do tego, co nieznanne, pięknie wyraża utwór, w którym:

*do babci Weroniki przychodzą Romki
(...) rozsiadały się na schodach przed
domem
tasowały karty wróżyły z ręki*

*Nina wierzyła w każdą sztukę
i wskrzeszała babciny zwyczaj
częstowania kobiet czym chata bogata*

(...) oswajała inność

Nawet życiowe niepowodzenia nie zmieniły u Niny nastawienia do drugiego człowieka. Przykładem choćby zawód miłosny, gdy „tuż przed Paschą zakochany innowierca / wprowadził Ninę za ikonostas w Nowoberezowie”, a „potem przedarto ich wspólną fotografię”. Antidotum na lęk przed poznawaniem innej kultury jest dla Osewskiej budowanie mostu, które wymaga „wnoszenia się ponad siebie”⁹.

Przejmującym utworem z przesłaniem ekumenicznym jest w *Jaśnieniach* wiersz o Maluli – chrześcijańskim ośrodku pielgrzymkowym w muzułmańskiej Syrii. Litery tego utworu drżą niczym Nina podczas modlitwy, choć jeszcze wtedy nikt nie przeczuwał masakry chrześcijan, którzy z oprawcami budowali tam meczet. Z kart książki nie dowiemy się, że w sąsiednim Libanie zapach śmierci, prochu i modlitwy mieszał się w nozdrzach Niny z aromatem rozmarynu i lawendy. Trzeba więc zajrzeć do artykułu Osewskiej z jej wyprawy do tego kraju¹⁰. Opisany tam barwny, tętniący różnorodnością owoców, kolorowych sukien i stosów tkanin, suk w Trypolisie, jako żywo przypomina targowisko z tomu *Jaśnienia*, pełne głosów i zapachów, „serów masła mleka i zieleliny / na ladach i w koszach z wikliny”, kwiczenia świń, rżenia koni, gdań kur, gęgań gęsi i gulgotu indyków. Rytm i zapach nowych miejsc, które pięcioletnia Nina zaczęła poznawać w Warszawie, kołatały w jej sercu przez całe życie. Weronia – miasto zakochanych, „gdzie mąż brał Ninę w kołyskę ramion”, następnie

⁴ J. Osewska, *Opowieści...*, op. cit., s. 28.

⁵ Szkoła Podstawowa Nr 6 im. Armii Krajowej w Augustowie, której dyrektorem w latach 2002–2016 była Janina Osewska.

⁶ J. Osewska, *Do czasu przyszłego*, Fundacja Literacka TIKKUN im. Małgosi Arkuszewskiej, s. 16.

⁷ J. Osewska, *Opowieści...*, op. cit., s. 26.

⁸ E. Szarkowska, *Metafizyka pamięci*, „Epea” 2019, nr 2, s. 50.

⁹ J. Osewska, *Niebieska chwila*, Fundacja Sąsiedzi, Białystok 2017, s. 12.

¹⁰ J. Osewska, *Liban*, „Topos” 2009, nr 5, s. 147-158.

Watykan, dolina Val di Fiemme i włoskie Dolomity, wieża Yeatsa na Zielonej Wyspie – to tylko niektóre z miejsc odwiedzanych przez bohaterkę *Jaśnień*. Kolejne kryją się w biografii Osewskiej. Są to, między innymi, Mongolia, Australia, Nowa Zelandia, USA, Gruzja, Armenia, Indie czy Finlandia. Nic dziwnego, że w wierszu zamykającym tom *W stronę ciszy* poetka z Augustowa pisze: „Panie rozsypałeś mnie dmuchawcami / (...) wyprawileś w dalekie podróże / (...) jak mnie pozbierasz na całym świecie?”¹¹.

Kolejnym ważnym motywem *Jaśnień* jest światło. Posiada ono wyraźny wymiar egzystencjalny. Pojawia się w ważnych dla Niny momentach, choćby podczas pogrzebu wróbla, gdy w cieniu leszczyny, na witrażach liści, grają światła. Powyższy fragment pięknie komponuje się z wyznaniem miłości Janiny Osewskiej do zmarłego męża w tomie *Do czasu przyszłego*:

słynęło światło
gdy odchodziłeś w stronę ciszy
(...) a potem długo trzymałam
w dłoniach

piasek i różę
jakby to one – zwykle rzeczy –
a nie to światło
miały przywrócić mnie światu¹²

Światło jako symbol ludzkiego życia jest dostrzegalny w *Jaśnieniach* w tańczących promieniach „na obrazku z aniołem stróżem / obejmującym dwoje dzieci” oraz w wierszu, w którym Nina „kłaniała się wielu obliczom słońca / chwaliła jasność księżyca / i ciemność nocy o zastygłych gwiazdach”, a także „dziękowała wiatrom co rozniecają ogień / (...) zawiesznie świtu przed wschodem wiersza / ziemi otwartej i cieniom – świadec-

twom światła”. Janina Osewska potrafi zachwycić się światłem, ponieważ oznacza ono dla niej optymizm, ciepło, nadzieję, pogodę ducha, spokój. Płótna kąpane we wczesnym słońcu, do których tuli się dziecko, niskie promienie słońca, które scałowują z siebie zakochani, górską ciszą wnikać w Ninę jak kochanek uderzeniami promienia, czy skóra jaśniejąca od dotyku do dotyku gorących opuszków, to tylko nieliczne z przykładów życiodajnego światła malowanego w *Jaśnieniach*. „Jak dobrze nie być ślepcem / i wciąż patrzeć ze zdziwieniem” – mówi Osewska w wierszu *Poranek* z tomu *Do czasu przyszłego*. Kontrast światła/jasności oraz ciemności/cienia Osewska dostrzega tym wyraźniej, że prócz duszy poetki posiada ona także naturę fotografa. To dlatego Wojciech Kass, w posłowie do albumu Osewskiej *Okruchy*, tak pisze o jej fotografiach: „Widzieć to więcej niż patrzeć. Patrzą wszyscy, widzą nieliczni”¹³. Tajemnica dostrzegania tego, co ulotne, może zawierać się w *Jaśnieniach*: Nina już w wieku ośmiu lat nosiła okulary okrągłe jak szpule z filmami, których nie lubiła, bo pasowały jak pięść do nosa, ale gdy podczas projekcji filmu w kinie objazdowym, wyraźnie zobaczyła w ciemności obraz na płótnie „zarzucanym na szkolną tablicę / nie zmieniłyby przekonania co do roli / światła i ostrości widzenia”.

Ludzkie wędrowanie zawsze zmierza w stronę światła, które, niezależnie od tego, czy będzie nazwane Bogiem, optymizmem lub po prostu dobrem, według

Janiny Osewskiej zawsze jest życiodajne. Być może dlatego Nina, przez wiele lat, niczym niespokojny duch, nie mogła usiedzieć nad wodami Siloe. Rzuciła się wtedy w inne wody, o brzegach błotnistych i z białego piasku, lecz nikt nawet nie szepnął, który z nich jest dobry; „dopiero gdy światło / scalilo ziarna piachu w skałę / znowu stanęła nad Siloe”. Aby zrozumieć powyższy tekst i przenikający się w nim motyw światła i wody, trzeba pójść na *Spacer nad Rudawkę*, opisany w tomie *Do czasu przyszłego*, w którym Osewska stwierdza z pokorą i odwagą: „skaliste dno na którym opieram dni otwiera księgę / wzlotów i upadków – niedokończoną”¹⁴. Jeśli czytelnik wyobrazi sobie Ninę, obmywającą się w życiodajnej sadzawce, będzie to piękne połączenie ostatniego i premierowego wiersza, w którym dziewczynka wypada z rąk położnej „podczas pierwszego obmywania ciała”.

Woda jest kolejnym ważnym wątkiem wijącym się delikatnie między stronnicami *Jaśnień*, ale nie zawsze jest nazwana po imieniu. Osewska wplata tu okna jak jeziora, książki czytane dzieciom po kąpeli, oskołę i lzy w jednym z najwymowniejszych polskich utworów o katastrofie smoleńskiej (*wiadomość o katastrofie*), płótna do jaśnienia kąpane w rosie czy pamięć, która „odciąga wilgoć i suszy obrazy”.

I właśnie płótno stanowi jeden z ważniejszych symboli występujących w *Jaśnieniach*. Kiedy schnie staje się jasne i czyste, współgrające z motywem światła. Pamięć jest w takiej sytuacji

¹¹ J. Osewska, *W stronę ciszy*, Fundacja Literacka TIKKUN im. Małgosi Arkuszeńskiej, Warszawa 2003, s. 38.

¹² J. Osewska, *Do czasu przyszłego*, op. cit., s. 15.

¹³ W. Kass, *Posłowie* [w:] J. Osewska, *Okruchy*, Dom pod Brzozą, Augustów 2011, s. 105.

¹⁴ J. Osewska, *Do czasu przyszłego*, op. cit., s. 33.

lekarstwem na przykre doświadczenia, potrafi wysuszyć łzy, dzięki czemu i Nina, i czytelnik z optymizmem mogą patrzeć w przyszłość. Plótno to nie jedyny materiał, z którego Osewska tka fabułę. Inspiracją do twórczego działania dla podmiotu lirycznego są choćby produkty zdobyte w geesach, którym Nina nadawała własne przeznaczenia: wełna na zasłony, perkal na abażur, bielony len na obrusy i ręczniki, płótno na pościel i zasłony. Nawet gdy kupuje dziecku ubranka na kartki: tetrowe pieluchy, kaftaniki, śpioszki, koc z flaneli spod lady, dostrzega, że to po prostu komunizm jako „system drażył godność z treści”. Z tego powodu Osewska nie zawaha się napisać w jednym z wierszy o wielkim jak słoń dyrektorze firmy, któremu udzielała korepetycji z matematyki, a który „był niewyuczalny ale maturę dostał za ćwiartkę / cielęciny a za następna kupił tytuł magistra”.

Oprócz motywów podróży, tolerancji, światła i wody, Janina Osewska wplata w *Jaśnienia* wątek literacki. Po raz pierwszy czytelnik spotyka się z nim w chwili, gdy wiersz zaczyna wodzić Ninę na pokuszenie, a następnie podczas kupna przez nią tomów prozy i poezji iberoamerykańskiej z zaprzyjaźnionej księgarni. Podmiot liryczny miłość do książek przekazywał również swoim dzieciom, czytając im po kąpielu bajki. Z kolei literacki debiut Niny – porteparole Janiny Osewskiej, obserwujemy w wierszu, w którym Nina „przeszła przez Święte Wrota / Bazyliki św. Piotra w Watykanie / i zajrzała w zęby literackiemu koniowi”. Jej przygoda z literaturą trwa do dziś, z pożytkiem dla czytelnika.

Dostrzeżenie w *Jaśnieniach* autobiografii Janiny Osewskiej motywuje odbiorcę do zapoznania się z innymi książkami poetki oraz impresjami uniesmiertelnionymi w kadrze. Walorem

tomu jest fakt, że jego autorka nie zaprzecza bliźniaczej „znajomości” z Niną i nie manipuluje wyobraźnią czytelnika: nie wprowadza go w błąd co do własnej tożsamości i nie publikuje pod pseudonimem lub zmienionym nazwiskiem. A przecież takie sytuacje miały już miejsce w literaturze, nie tylko polskiej. Z drugiej strony Osewska nie narzuca odbiorcy swojego punktu widzenia, lecz pozwala mu na budowanie osobistej relacji z podmiotem lirycznym. Wielu odbiorców odnajdzie w Ninie pokrewną duszę, ponieważ kobieta ukazana została w roli wnuczki, córki, koleżanki, przyjaciółki, żony, matki, teściowej, babci czy wdowy. Dzięki temu bogactwo przeżyć podmiotu lirycznego jest wiarygodne. I choć „czas prowadził Ninę po krętych schodach”, zawsze była to wędrownica pełna optymizmu i chęci spełniania marzeń. Marzeń, które rozjaśniają życie.

ERAZM STEFANOWSKI



– urodzony w 1976 roku w Augustowie i tam mieszka. Poeta, prozaik, felietonista, eseista, krytyk literacki. Debiutował w 1996 roku na łamach „Przeglądu Augustowskiego”. Jego twórczość prezentowana była w lokalnej i ogólnopolskiej prasie, a także na antenie radia. Laureat kilkudziesięciu konkursów literackich. Jego wiersze publikowane były w wielu almanachach i antologiach. Od 2004 roku współpracuje z miesięcznikiem „Nasz Sztabiński Dom”, gdzie publikuje felietony, opowiadania

i poezję. Autor zbioru opowiadań *Niewiarygodne* (2014) oraz tomów poetyckich: *Zaprawione mirrą* (2006), *Oskarżony Jezus Ch.* (2018), za który otrzymał nagrodę Burmistrza Miasta Augustowa oraz *Lipcowe anioły* (2019), które zostały nominowane do Nagrody Poetyckiej im. K.I. Gałczyńskiego w kategorii Orfeusz Mazurski (2020). Stypendysta Burmistrza Miasta Augustowa w dziedzinie twórczości literackiej (2019).

Fot. Joanna Stefanowska / archiwum prywatne autora



Maria Konopnicka

Stefek Burczymucha

Seria wydawnicza: Bajkowa Książniczka
Książnica Podlaska im. Łukasza Górnickiego
w Białymstoku
Białystok 2020

Stefka Burczymuchy nie trzeba chyba przedstawiać nikomu – to klasyka polskiej literatury dziecięcej. Zabawna historia tchórzliwego chłopca w publikacji Książnicy Podlaskiej zaopatrzona została w słowniczek, dzięki któremu młodzi czytelnicy i ich rodzice nie będą mieć problemu ze zrozumieniem tekstu Marii Konopnickiej.

Książeczka została wydana w serii „Bajkowa Książniczka”, tworzonej przy współpracy z prof. Anną Nosek z Uniwersytetu w Białymstoku, specjalizującą się w literaturze dziecięcej.

Justyna Sawczuk



Celina Zubrycka

Lalka Lucy

Seria wydawnicza: Bajkowa Książniczka
Książnica Podlaska im. Łukasza Górnickiego
w Białymstoku
Białystok 2020

Lalka Lucy Celiny Zubryckiej to ciepła opowieść, która przeniesie młodych czytelników do świata zabawek. Autorka porusza temat oceniania drugiego człowieka, przywołuje sytuacje, których dzieci mogą być świadkami lub uczestnikami oraz „pokazuje”, jak krzywdzące może być osądzanie innych. Wszystko podane w nieco „zakamuflowanej” formie, gdyż bohaterami tej historii są wspomniane zabawki.

Justyna Sawczuk



Celina Zubrycka

Osioł Mateusz

Seria wydawnicza: Bajkowa Książniczka
Książnica Podlaska im. Łukasza Górnickiego
w Białymstoku,
Białystok 2020

Czy stworzenia pochodzące z dwóch różnych światów mogą się porozumieć? Czy pluszowy osioł i szara mysz mogą się zaprzyjaźnić? Odpowiedzi na te pytania mali miłośnicy literatury odnajdą w książeczce Celiny Zubryckiej *Osioł Mateusz*. Ubrana w bajkową formę lekcja próby zrozumienia i akceptacji otaczającej nas różnorodności oraz dowód na to, że dobre chęci i wytrwałość pozwalają odnaleźć wspólny język – mimo różnic, a dobre uczynki procentują np. przyjaźnią.

Justyna Sawczuk



Agnieszka Suchowierska
Miasto ze Złotym Sercem
 Fundacja Sąsiedzi
 Białystok 2020

Bohaterką opowieści jest jedenastoletnia Aga, która za sprawą starego kalejdoskopu wyrusza w podróż w czasie. Wędrując przez kolejne epoki, dziewczynka spotyka mieszkańców Białegostoku – ludzi różnych wyznań i narodowości: Polaków, Białorusinów, Żydów, Rosjan, Tatarów, Litwinów, widzi stolicę Podlasia za czasów Klemensa i Izabeli Branickich, „podgląda” młodego Ludwika Zamenhofa, bierze udział w Pierwszym Kongresie Esperantystów Województwa Białostockiego, w końcu spotyka Fanię – dziewczynkę z białostockiego getta.

Elementem łączącym kolejne etapy podróży Agi, jest legenda o Złotym Sercu – pomnik ze szczerego złota stał ponoć kiedyś na głównym placu Białegostoku jako symbol tego, że miasto to jest domem dla każdego, kto pragnie w nim mieszkać. Złote Serce jako pomnik nie przetrwało do czasów współczesnych, zadaniem głównej bohaterki jest je odnaleźć i ocalić.

Piękna, poruszająca opowieść o szacunku i tolerancji, potrzebna szczególnie teraz, gdy świat wydaje się być podzielony bardziej niż kiedykolwiek.

Justyna Sawczuk

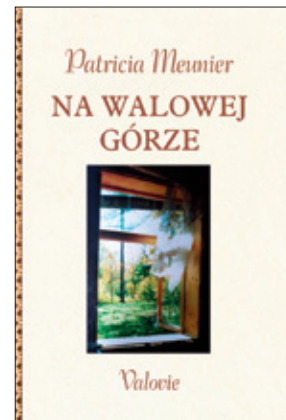


Azulejo chabrem ubrane /
Azulejo vestido com centáureas
 Antologia poezji polskiej i portugalskiej
 pod red. Katariny Lavmel
 Wydawnictwo Fundacja Duży Format
 Warszawa 2020

Antologia powstała w bardzo trudnym okresie dla nas, dla kultury – zagubienie, osaczenie strachem, defetyzm. Ludzie przywdziali maseczki, które symbolicznie zakryły im usta. Sparaliżowani obawami o życie, przyszłość ich rodzin – zamarli, odsunęli plany twórcze, artystyczne. Mimo to pukaliśmy do drzwi poetów z Polski i tych, poznanych w Portugalii, abyśmy przeciwstawili się zalewającej fali „cienia”. Nie ma zgody na to, by strach odebrał nadzieję, cele, zniszczył marzenia.

Wczytując się w treść wierszy, zanurzamy się w nie, chłonimy i dostrzegamy dwa światy, dwie tożsamości, różnicowanie kultur, problemy i wrażliwość swoich społeczności zaledwie zasygnalizowane symbolicznym tytułem: *Azulejo chabrem ubrane*. Zależało mi na tym, by (...) Stworzyć pomost, na którym twórcy ci nie tylko zblizną się do siebie, lecz więcej – by spotkali się w jednym Poetyckim Porcie, (...) w Przystani Poetyckiej. Z niej popłyniemy dalej, ku swoim celom, realizacjom, marzeniom.

Katarina Lavmel, fragment *Wstępu*



Patricia Meunier
Na Walowej Górze
 Wydawnictwo PRYMAT
 Białystok 2020

Drugi, dwujęzyczny, francusko-polski tomik poetki Patricii Meunier. Tym razem, Autorka zabiera czytelnika w podróż do Zakopanego, do domu na Walowej Górze, gdzie miała okazję mieszkać. Jak wspomina we *Wstępie*: „To było w 1999 roku, Polska na drodze rozwoju szybko wkraczała w świat konsumpcji (...)”, tymczasem Meunier – rzeźbiarka i poetka, jakby w opozycji do tego konsumpcyjnego trendu, szuka w życiu prostoty. Zachwyca się starym, drewnianym, góralskim domem i przyrodą, przeżywa wielką miłość i traci ją. Uczucia i doznania są w tym miejscu jakby bardziej soczyste, intensywniejsze, głębsze, silniejsze, a może po prostu bardziej uwypuklone na tle prostego życia na Walowej Górze?

Wspomnienia – krajobrazy, sceny, zapisane w pamięci emocje – zamknięte w poetyckich strofach.

Justyna Sawczuk



Artur Jan Szczepny
Zdroje niespokojne

Książnica Podlaska
im. Łukasza Górnickiego w Białymstoku
Białystok 2020

Wiersze z lat 1980 – 2020. Znajdziemy wśród nich teksty wcześniej niepublikowane – z czasów młodości, jak i te najnowsze – oraz wybór utworów z już wydanych tomów. Jak pisze sam autor: „(...) łatwo się zorientować, że piszę różnorodnie – tematycznie, i stylistycznie. Tak mam i to się nie zmieni, przynajmniej szybko. Są tego dwie główne przyczyny. Pierwsza to (...) praca nad dawnymi tekstami do momentu publikacji w książce... A i tu są nieliczne wyjątki, bowiem niektóre z wierszy teraz zaprezentowanych, wyglądają inaczej, niż opublikowane w tomikach. (...) Drugą przyczyną jest moja miłość do... poezji. Nie twórczości jednego poety, ani do jednej poetyki. Więc czasami na różną nutę mi śpiewa dudka miła... Bywa, iż refleksja przeważa nad wizją, bywa też, iż język jest sam sobie sterem. Nie uważam tego za wadę, a liści liczę się z tym, że inni będą uważać. Bywa, iż wędrując lirycznie z piórem, gitarą i manierką starą, żyję nadzieją, iż pokonam góry, także obojętności i uprzedzeń”.

oprac. JS



Wojciech Kassa
Metaf. 20 wierszy o położeniu

Wydawnictwo Austeria
Kraków-Budapeszt-Syrakuzy 2020

Metafizyka, metafora, meta? Tytuł najnowszego tomu poetyckiego Wojciecha Kassa wydaje się być tak pojemny, że zmieści wszystkie te znaczenia i wiele więcej. Mnie jednak znacznie bardziej zaintrygował podtytuł – „20 wierszy o położeniu”. Położeniu kogo, czego? I tym razem autor skazuje czytelnika na niejednoznaczność, choć wieloznaczność wydaje się być tutaj określeniem znacznie bardziej odpowiednim. Wystarczy zaledwie przemknąć po słowach, by odnaleźć na kartach tomu: poetę i czytelnika, Sandomierz i Sopot, spojrzenie w przyszłość i wspomnienie nieistniejącego już świata, „bramę poranka” i „brzeg nocy”, czułość i chłód, żywych i martwych...

Zamykam tom. Z chaosu wyłania się opowieść o położeniu względem siebie: człowieka, poezji i świata. Różne układy, konfiguracje, strefy wpływów. Stają się widoczne, gdy zadamy sobie trud zajrzenia pod powierzchnię słowa. Głębia w płytkim świecie pozorów.

Justyna Sawczuk



Zofia Piłasiewicz
Ćwiczenia z pamięci

Fundacja Sąsiedzi,
Białystok 2020

Tomik poetycki, autorstwa podróżniczki i reportażystki. Wiersze pełne otwartości na drugiego człowieka, na „innego”, pełne ciekawości, stanowią próbę zrozumienia tego, czego nie znamy.

Autorka z jednej strony deklaruje pragnienie poznawania świata, z drugiej – jest mocno zakorzeniona w północno-wschodniej Polsce, stąd w tomie pojawia się m.in. wiersz, poświęcony prof. Andrzejowi Strumille, Krasnogrudzie jako przestrzeni porozumienia czy wizja Augustowa, jakiego dziś nie ma – miasta wielu narodów i kultur, gdzie obok siebie żyli Polacy, Rosjanie, Żydzi, Cyganie. Ważne miejsce w tomiku zajmuje przyroda Augustowszczyzny i Suwalszczyzny. Piłasiewicz pisze o naturze z szacunkiem i wdzięcznością, a jednocześnie ma świadomość grzechów ludzkości przeciwko matce Ziemi. Powraca także myślami do trudnej przeszłości, zamkniętej we wspomnieniach i na fotografiach. Ćwiczy pamięć, by nie zapomnieć tych, których spotkała na swojej drodze, by nie powtórzyć popełnionych błędów, by zapamiętać wszystkie, zebrane opowieści. Ciepła, poruszająca, bliska liryka.

Justyna Sawczuk



Irena Batura

Borówki: reportaż z lat odległych

Wydawnictwo Młotkowski,
Augustów – Toruń 2020

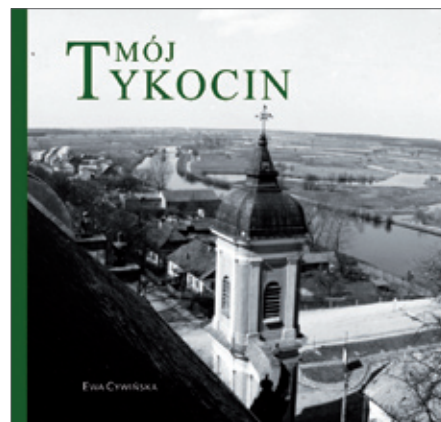
W dorobku autorki znajdziemy przewodniki turystyczne (*Augustów i okolice*, *Poziemi sejneńskiej*, *Poziemi augustowskiej*) wydane we współpracy z Wojciechem Baturą, a także artykuły poświęcone badaniom okolic Suwałk, Sejnu i Augustowa, z którym obecnie jest związana. Tomik poetycki *Borówki: reportaż z lat odległych* (2020) zawiera utwory z wcześniejszych zbiorów: *Odmierzam przestrzeń i czas* (2009), *Minione i trwałe* (2017) oraz cyklu *Borówki*.

Choć świat „lat odległych” z wierszy wysyła wyraźne sygnały, w postaci konkretnych nazw geograficznych (Hyżne, Borek Stary, Pogórze Dynowskie, tytułowe Borówki) i obecnego w nich dialektu, nazwanego tu „ginącym dialektem pradiadów” (*O kapliczce... której nigdy nie było*, s. 93), można uznać go za przestrzeń uniwersalną. Podmiot liryczny, wspominając sylwetki zapamiętanych z dzieciństwa osób (z rodziny i najbliższego otoczenia), codzienność wsi przepełnioną szczegółami,

ludowymi mądrościami, podkreślając jednocześnie konieczność ich utrwalenia, uświadamia nam, jak ważna dla jednostki jest możliwość powracania do korzeni. Widok przepięknych owocami sadów, wozu wypełnionego sianem, zapach ziół i kwiatów, smak wiejskiego chleba z marmoladą czy wspinanie się na drzewa, to obrazy, które ożyją w pamięci każdego, kto tego doświadczył. Niektóre wiersze to niemal opowieść, wzbogacona jednak, użyciem inwersji i zaskakującą puentą.

Gdzieniedzie natykamy się w wersach na miejsca Podlasia (bagna Biebrzy, Jezioro Białe, jezioro Gremzdel) – miejsca z teraźniejszości, choć spojrzenie na nie, przeplata się ze wspomnieniami. Podmiot liryczny spacerując, obserwując, podziwiając świat, porównując dźwięki i krajobrazy, buduje, tylko sobie znany, pomost do przeszłości: „A pszenica wszędzie złoci się tak samo” (*Pszenica i rezedy*, s. 42).

Joanna Jarmołowska



Ewa Cywińska

Mój Tykocin

Podlaski Instytut Kultury w Białymstoku
Białystok 2020

Mój Tykocin Ewy Cywińskiej, wydany przez Podlaski Instytut Kultury w Białymstoku w ramach Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego „Tutaj jestem”, to traktat historyczny w formie poematu, poświęcony Tykocinowi – wyjątkowemu miastu na mapie województwa podlaskiego; miastu, w którym funkcjonowała kiedyś druga co do wielkości (po Krakowie) gmina żydowska w Polsce. Ewa Cywińska, znawczyni historii tykocińskich Żydów, zabiera nas w podróż do przeszłości, zaludnionej przez charyzmatycznych rabinów, kupców, szlachciców, budowniczych świątyń i pałaców – ludzi, których połączyło niewielkie, ale tętniące życiem miasto. (...) Są w tej książce nawiązania do architektury, sztuki, literatury i muzyki. Są refleksje o tykocińskiej współczesności, stanie wojennym i Solidarności. (...) Jest w tym tekście wrażliwość na słowa, obrazy, dźwięki i zapachy. (...) Dzięki tej książce zdobywamy bezcenną wiedzę o Tykocinie, nazwanym przez autorkę „ogniwem Rzeczypospolitej”, miejscem skupiającym w sobie, niczym w soczewce, powikłane, skomplikowane losy naszego kraju.

Dominik Sołowiej,
fragment *Posłowie* (materiał Wydawcy)



Katarzyna Droga
Doktor Irka. Wojna, miłość i medycyna
 Znak Literanova
 Kraków 2020

Katarzyna Droga, bazując na faktach z życia autentycznych postaci, buduje poruszające powieści o niezwykłych kobietach. Dzięki nim poznajemy szczegóły obyczajowości i realiów pierwszej połowy XX wieku. W *Hance* wciągają losy artystów, związanych z przedwojennym kabaretem, *Kobieta, którą pokochał Marszałek* ukazuje działania niepodległościowe Aleksandry Piłsudskiej. Tym razem Droga sięga po historię lekarki Ireny Cwiertni. Impulsem do stworzenia książki, była – jak pisze w posłowie sama autorka – lektura pamiętnika doktor Irki.

Rozmowa głównej bohaterki z pielęgniarką Joanną, przenosi czytelnika z roku 1990 do okupowanej Warszawy lat 40. Młoda wówczas dziewczyna rozpoczyna naukę w Prywatnej Szkole Zawodowej dla Pomocniczego Personelu Sanitarnego dr. Jana Zaorskiego, szkole sanitariuszy i felczerów, a w rzeczywistości - tajnym wydziale lekarskim UW. Wykłady z fizjologii, egzamin z anatomii, zdobywanie praktyki lekarskiej w szpitalu pw. Przemienienia Pańskiego to studencka codzienność, współlistniująca z zawieraniem głębokich przyjaźni, wyznaniem miłości, ze snuciem przez

początkujących lekarzy, niepewnych planów na przyszłość. Świat ten łączy się jednak w *Doktor Irce* z dramatem wojny. Owa codzienność to również ciągły niepokój, strach, głód, walka o przetrwanie, cierpienie bliskich, łapanki, przesłuchania, konspiracja.

Po ostatnich wspólnych spotkaniach tuż przed wybuchem Powstania Warszawskiego w słoneczny dzień sierpnia 1944 roku, losy znajomych Ireny ze studiów rozpadają się nagle na wiele dramatycznych wątków. W szpitalach, kanałach, piwnicach i na ulicach miasta toczą się walki z bronią w ręku, łączniczki przenoszą informacje, rozkazy czy broń, sanitariuszki i lekarze opatrują rany w różnych punktach medycznych stolicy. Czytelnikom nie umkną znane nazwiska lekarek, uczestniczek powstania, poety Krzysztofa Kamila Baczyńskiego czy Krystyny Krahelskiej autorki pieśni „Hej chłopcy bagnet na broń!”. To pojedyncze historie, a jednak nieobojętne dla przyszłych pokoleń. Tak jak losy Ireny, która, opuszczając zniszczone miasto, zabiera ze sobą pierścionek z czerwonym oczkiem i pamiętnik, schowany w chlebaku.

Joanna Jarmołowska



Marek Kochanowski
Miasto rebus. Eseje o Białymstoku
 Fundacja Sąsiedzi
 Białystok 2020

Literaturoznawca, animator kultury, wykładowca akademicki prof. Marek Kochanowski stworzył cykl esejów o Białymstoku, książkę, o której sam pisze we *Wstępie*: „Łączę w niej dwie narracje: plan osobisty oraz przemyślenia o szerszym charakterze, wykraczające poza spojrzenie ograniczone stolicą Podlasia”. I rzeczywiście sporo tu wspomnień, własnych odczuć i przemyśleń. Autor maluje obraz miasta, jakie pamięta z czasów, gdy był dzieckiem, a następnie nastolatkiem. Tę, wspomnianą z pewną czułością przestrzeń, zestawia Kochanowski z Białymstokiem współczesnym i... nie szczędzi mu krytyki. Jego rodzinne miasto jawi się jako pozbawione perspektyw miejsc, z którego uciekają młodzi.

Miasto rebus to obraz pokolenia, którego moment wkraczania w dorosłość przypadł na 1989 rok i okres transformacji. To także próba ukazania jak kształtuje się indywidualna i zbiorowa pamięć, jak przeszłość łączy się z przyszłością. To w końcu subiektywna opinia na temat literackiej i kulturalnej kondycji stolicy Podlasia, którą postrzegam jako rodzaj prowokacji do dyskusji. Czytelnik sam winien ocenić czy ma ochotę dać się sprowokować.

Justyna Sawczuk



Sebastian Markiewicz

Było. Dwanaście miniatur nostalgicznych

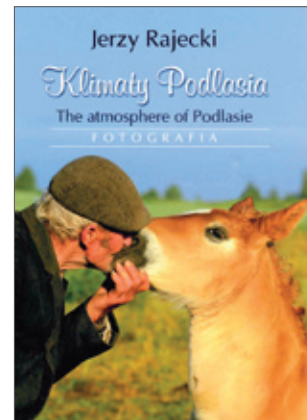
Podlaski Instytut Kultury
2020

O prozatorskich miniaturach Sebastiana Markiewicza można powiedzieć, parafrazując samego autora, że jest ich dwanaście, a każda jak poemat. Mają one bardzo osobisty charakter. Przedstawiają czasy dzieciństwa umiejscowione w późnym PRL-u, czyli w latach 80. i 90. XX wieku. Co ważne, ich autor zbywa milczeniem rozgrywające się wówczas ważne wydarzenia historyczne, skupia się natomiast na codzienności. Każdy, kto sięga pamięcią do czasów PRL-u, wie, że były one wyjątkowe, zanurzone w alkoholu i oparach tytoniowego dymu, przepełnione absurdami życia codziennego, ale w wymiarze międzyludzkim dalekie od powierzchowności i sztuczności, być może dlatego, że w ogromnej większości pozbawione telefonów i nieznaną

jeszcze internetu. „Mieliśmy mniej, ale byliśmy bardziej” – stwierdza w jednej z miniatur Markiewicz.

(...) Nie ma w tych portretach fałszu, niepotrzebnego naddatku, egzaltacji czy łatwego sentymentalizmu. Uczuciowość tych opowiadań jest świetnie wyważona pomiędzy wzruszeniem i śmiechem. (...) Proza Markiewicza to nie tylko forma, sięgająca po najlepsze realistyczne wzorce. Opowiedziane historie są także bardzo emocjonalne, a więc mają tę cechę, która jest niezbędna, by mówić o dobrej literaturze: nie pozostawiają czytelnika obojętnym. Zostają z nim także na dłużej, wywołując lawinę własnych wspomnień.

Katarzyna Kościewicz
(materiał Wydawcy)



Jerzy Rajecki

Klimaty Podlasia. The atmosphere of Podlasie. Fotografia

Białystok 2020

Fotografie z albumu *Klimaty Podlasia* Jerzego Rajeckiego, ułożone zostały w sześć rozdziałów. Każda z części „Miejscowi”, „Drogi i bezdroża”, „Polami i łąkami”, „Rzeki i rozlewiska”, „Domostwa” oraz „Podlasie mistyczne” rozpoczyna się krótkim wstępem, zaledwie otwierającym katalog wrażeń, jakie towarzyszą oglądaniu zdjęć.

Na zdjęciach królują: zieleń, żółty, kolory ziemi, czasem intensywniej różnorakie barwy słonecznego światła, zachodzącego nad rozlewiskami. Paleta barw rozszerza się wraz z pojawianiem się kwitnących polnych i ogrodowych kwiatów, tradycyjnych malowideł na ścianach, oknach i werandach drewnianych domów, sfotografowanych miejsc sakralnych, a także ludzi. Wszystko to razem tworzy harmonię, pokazuje symbiozę człowieka z otaczającą go naturą, przenikanie się dzikości i piękna z tradycjami i obyczajami, które odchodzą już do przeszłości.

Joanna Jarołowska

Jesteśmy w internecie

Szukaj nas na:

ksiaznicapodlaska.pl/epea

Znajdziesz tam:

wiersze, opowiadania, eseje, felietony,
informacje o nowościach wydawniczych
i konkursach literackich,
rozmowy z ludźmi kultury
oraz archiwalne wydania naszego pisma.



Zajrzyj i... zaczytaj się razem z nami.

Nabór tekstów do nieregularnika „Epea. Pismo literackie”

PISZESZ

wiersze, opowiadania, reportaże, eseje, dramaty,
felietony, recenzje książek lub bajki dla dzieci?

PRAGNIESZ

podzielić się swoją twórczością z innymi?

Redakcja nieregularnika „Epea. Pismo literackie”
ogłasza nabór tekstów do szóstego numeru

Już dziś prześlij swój tekst
na adres e-mail: epea@ksiaznicapodlaska.pl

Jeden autor może zgłosić maksymalnie trzy teksty.
Jeden tekst nie może przekraczać 8 stron maszynopisu
(czcionka: Times New Roman, rozmiar 12,
interlinia 1,5 wiersza).

Zgłoszenia przyjmujemy do 31 stycznia 2021 r.

Do współpracy zapraszamy zarówno doświadczonych twórców,
jak i tych, którzy są na początku swojej literackiej drogi.

**Przyjmujemy jedynie teksty dotychczas niepublikowane
(również w Internecie) i niezgłaszane do konkursów literackich.**

Redakcja nie zwraca przesłanych tekstów
oraz zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania.
Wybrane teksty zostaną opublikowane w szóstym numerze
nieregularnika „Epea. Pismo literackie”.